

Miecz i Tomahawk

Miroslav Zamboch

Książka III z Agent JFK



calibre 0.9.27



MIROSLAV ŽAMBOCH

JÍŘI W. PROCHÁZKA

Agent JFK tom 03

Miecz i tomahawk

Meč a tomahawk

PRZEŁOŻYŁ

Andrzej Kossakowski

ILUSTRACJE

Dominik Broniek

Miecz i tomahawk





MORSKA ŻMIJA

Wody Atlantyku miały taki sam kolor jak niebo. Brudną szarość stołu w zapomnianym przez Boga i ludzi barze na skraju miasta.

John Francis Kovař przetarł twarz, żeby choć na chwilę pozbyć się uporczywego pieczenia w oczach. Na próżno, kolejna fala rozbiła się o niską burtę i znów poczuł lodowatą strużkę aż na gołym ciele.

Prześliznął się wzrokiem po ludziach siedzących na ławkach lub leżących w śpiworach pomiędzy pakunkami z prowiantem i beczułkami z wodą. Stu pięćdziesięciu chłopów, trzydzieści trzy pary wioseł, jeden prostokątny żagiel na, wydawałoby się, zbyt wiotkim maszcie. To było szaleństwo, największe i najryzykowniejsze szaleństwo jego życia, płynąć otwartą łodzią, czterdziestopięciometrowym drakkarem, przez ocean.

Prawda, że niebywałym szczęściem zostawili za sobą Gotlandię, Danię, wybrzeża Norwegii, Irlandię, Islandię, Grenlandię. Przed nimi leżała Nowa Fundlandia, najgorsza część drogi ku brzegom Ameryki Północnej, czy też Vinlandii, jak ją nazywali wikingowie.

Nadbiegła kolejna fala, jasnowłosy demon Snori Sturlurson napał na wiosło sterujące i wyrównał kurs łodzi, żeby sprawniej ślizgała się po nadciągających falach o groźnym wyglądzie.

JFK spojrział w niebo. Pociemniało, pośród szarości uformowała się gęstsza, niżej położona warstwa chmur.

- Trzymiesięczna płaca, podłe żarcie w najbardziej zaplutej spelunce, jaka istnieje -

mruknął, starając się przy tym nie poczuć smaku soli między zębami.

A wszystko zaczęło się tak dobrze.

Ljuba Bytewska, szefowa oddziału do zwalczania międzyświatowego przemytu, zawołała Kovařa do biura, ledwie odbył konieczną kurację w szpitalu i dwumiesięczną rekonwalescencję, będącą w rzeczywistości ciężkim treningiem. Kovař miał uczucie, że od czasu rozpoczęcia pracy w agencji tylko Bytewska stanowi pewny punkt oparcia w jego życiu. Nadal była świetnie zbudowaną kobietą,

o bujnych, ale równocześnie znakomicie prezentujących się kształtach, które wprowadziłyby w zachwyt każdego miłośnika sztuki baroku. Z oczu, w jednej chwili przychylnych, a w następnej twardych jak stal, oraz starannie ważonych słów widać było, że za twarzą współczesnej Wenus z Vestonic kryje się doskonale funkcjonujący mózg.

- Razem z komtesą de Villefort i Vincentem Vegą spisał się pan więcej niż dobrze -

oznajmiła dźwięcznym głosem, nalewając równocześnie szklaneczkę wyśmienitego koniaku.

- I to za cenę poważnych szkód osobistych.

Kovař wiedział, że nie doczeka się większego uznania z jej strony.

- Zgodnie z tradycją każda trzecia misja jest ulgowa. Taki zasłużony płatny urlop na jakiejś plaży, gdzie przez parę tygodni potrzebujemy obserwatora. Pańska pierwsza misja była wprawdzie, ehm, ehm - przybrała rozbawiony wyraz twarzy - nieco specyficzna, ale doszłam do wniosku, że na urlop zasłużył pan bardziej niż ktokolwiek inny.

JFK wiedział, że mowa była o jego przemytniczej przeszłości, kiedy de facto stał po przeciwnej stronie barykady niż agencja.

- Ma pani na myśli pracę w stylu: plaża, gorące kobiety i zimne koktajle?

- No, chyba że byłby pan zainteresowany zimnymi kobietami i gorącymi napojami... -

odparła z przymrużeniem oka. - To też by się dało załatwić.

- Pierwszy wariant bardziej mi się podoba.

Obraz wstęgi białego piasku zwieńczonej zielenią palm, za którymi znajdował się dobrze zaopatrzony bar, nie wyglądał źle.

* * *

Fala uderzyła w łódź, kadłub zatrzęsł się, drgania wytrąciły Kovařa ze wspomnień.

Nadciągała burza, nie było już wątpliwości.

- John! - zwrócił się do niego z typowo północnym akcentem Spar Gurgysson, przysadzisty chłop z rękami jak orangutan, podając mu dzban pełen gorącego piwa. - Kucharz właśnie wygasił ogień. To ostatni gorący posiłek na kilka następnych dni.

Kovař podziękował skinieniem, wziął kufel i szybko wypił zawartość, żeby rozkoszować się słodkawym smakiem piwa i rozgrzać od środka. Zauważył zawistne spojrzenia siedzących w pobliżu członków załogi. W odróżnieniu od Gurgyssona wykorzystaliby okazję i pozbawili Kovařa należytą porcji.

- Dla niektórych to będzie ostatni posiłek do czasu, aż się znajdą w Walhalli - mruknął

któryś.

- Szczęśliwi chłopcy, można sobie wyobrazić, jacy będą dumni po tej burzy, już im zazdroszczę - usadził czarownik mężczyzną przypominający krasnoluda.

W ramionach był szerszy niż większość pozostałych, ale co najmniej o półtorej głowy niższy od najniższego z nich. Należał do kręgu dowódców Sturlursona i był powszechnie lubiany za swoje niekończące się historyjki, a nazywał się Jori Loset.

Kovař przyjacielsko wykrzywił do niego twarz.

- Walhalla, tam chociaż będzie ciepło - powiedział, z trudem pokonując szczykanie zębami.

Obfita porcja morskiej piany zalała naraz wszystkich bez wyjątku, przez chwilę wypluwali więc wodę.

- Piwo, miód pitny - ciągnął Kovař, otrząsając się razem z innymi. - Mnóstwo dobrego jedzenia. - Wskazał kucharza, który wraz z pomocnikiem starannie chował szczupłe zapasy. -

Ładne dziewczyny, na które przyjemniej będzie popatrzeć niż teraz na Spara, niech nas Thor nie ukarze za jego brzydotę.

Słuchacze nie wytrzymali i parsknęli śmiechem, równocześnie drakkar wpłynął na falę i pokład uniósł się pod ostrym kątem, tak że wszyscy się poprzewracali.

- A przede wszystkim nie będzie mi tam Jori deptał po twarzy - dokończył Kovař, wygrzebując się spod gromady rechoczących mężczyzn.

Burza uderzyła z wściekłym wyciem wiatru, głuchy szum fal zamienił się w huk wodnych lawin walących się nieprzerwanie gdzieś z góry, a światło dzienne ściemniało do mokrej szarości.

Snori Sturlurson zmagał się teraz z wiosłem sterowym do spółki z Olafem i Ormem Brigvassonami. Cała trójka starała się za wszelką cenę utrzymać łódź we właściwym kierunku, tak żeby nie ustawiała się bokiem do nacierających fal. Sturlurson rozkazał

pozostawić na maszcie tylko reję bez żagla. Ale i to wystarczyło, żeby wichura gnała ich z szaloną szybkością. Skuleni na ławkach ludzie trzymali się ze wszystkich sił, żeby nie wypaść za burtę.

Kovař mrużył oczy i starał się odgadnąć, jak długo smukły, sprawiający wrażenie kruchego kadłub wytrzyma wściekły atak oceanu. Wystarczyło, że zaleje ich jedna większa fala i pełna wody łódź pójdzie na dno. Już teraz po pokładzie przelewało się jej zbyt dużo.

- Wylewać wodę! - ryknął, nie zdając sobie sprawy, że użył języka staronordyckiego.

Oparty na hipnozie kurs, wspomagany intensywną nauką i dwoma miesiącami praktyki, przyniósł

spodziewany efekt.

Nie czekając na innych, wstał i sięgnął po cebrzyk. Łódź pochyliła się gwałtownie bez ostrzeżenia, buty mu się pośliznęły i zaczął niepowstrzymanie zsuwać się na burtę.

Rozpaczliwie szukał czegoś, czego mógłby się uchwycić, ale wszędzie było zbyt dużo wody.

Namacał róg ławki, złapał się ze wszystkich sił, lecz drewno pękło. Zrozumiał, że za chwilę wypadnie za burtę. Nagle coś go złapało za przedramiona z siłą imadła. Gdy masa wody spłynęła, ujrzał twarz wykrzywającego się doń Spara Gurgysson.

- Już mógłbym być z dala od tej ulewy! - ryknął Kovař tak głośno, żeby go wiking usłyszał poprzez wycie wichury. - To ci zapamiętam!

Później odwrócił się do pozostałych.

- Za cebrzyki! Myślicie sobie, że sam jeden będę moczył buty?!

* * *

Burza szalała już drugi dzień. Sturlurson razem z braćmi Brigvassonami nadal mocował się ze sterem, Kovař zmuszał załogę do ciężkiej pracy przy wiadrach i cebrzykach. Wody było wszędzie pełno, niektórzy ludzie, powaleni nieludzkim zmęczeniem, leżeli przywiązani do ławek, niezdolni do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Kovař też czuł, że zaczyna mu brakować sił. Chłód i skrajne wyczerpanie jakby pożerały go coraz większymi kawałkami, czuł, że niedługo nie zostanie z niego nic. Napełniony w trzech czwartych cebrzyk wyśliznął

się z nieposłusznych rąk, to samo przytrafiło się niemal w tej samej chwili McCathailowi, rudowłosemu gościowi z Irlandii. Mówiono o nim, że jest szaleńcem i berserkiem, ale Kovařowi się spodobał. - Rzucisz go na dobre, cherlaku, prędzej niż ja - wycedził Irlandczyk przez zęby i schylił się po naczynie.

Woda ściekała mu ciurkiem z dwóch zaplecionych warkoczyków i szczeciniastych wąsów.

Kovař rozejrzał się po omdlewającej załodze. Długo już nie wytrzyma, to było jasne.

- Ta samochwała McCathail, rodem z jakiejś małej wysepki, twierdzi, że zabraknie mi sił prędzej niż jemu! Założę się o dziesięć srebrnych, że nie zdierży!

Burza osłabła na krótką chwilę, słowa Kovařa usłyszeli wszyscy.

- A ja dam dwadzieścia każdemu, kto wyleje więcej cebrzyków niż ja! - ryknął

Irlandczyk. - John zawsze tylko dużo gada.

Ktoś zarechotał, ktoś szybko sięgnął po skórzany worek.

Zakład wyrwał ludzi z letargu i rezygnacji, wody w łodzi zaczęły naraz ubywać.

- Dwadzieścia srebrniaków, ci, co chrapią, będą żałować do śmierci! - mruknął któryś.

Burza nie chciała się poddać, nagły bałwan wodny oślepił wszystkich na moment.

Kiedy ustąpił, Sverre Bjorkedal klęczał na człowieku, którego fala o mało nie zmyła za burtę.

- Na tobie, Knucie, mi nie zależy, ale cebrzyka byłoby szkoda - wycedził skądś przez zęby, zabrał naczynie poturbowanemu wikingowi i wziął się do roboty.



Kovař leżał obok nasiąkniętego morską wodą pakunku z suszonym mięsem, tępo wpatrując się we własne ręce. Po trzech dniach moczenia w słonej wodzie były pozbawione jakiegokolwiek koloru, pozdierana skóra odchodziła cienkimi pasmami, a w niezliczonych skaleczeniach i zadrapaniach w promieniach wychodzącego zza chmur słońca błyszcząły kryształki soli.

- Świetnie, urlop, słońce, szum morza, romantyczność - udało mu się powiedzieć zeszywniałymi wargami. Już nie było mu zimno, albo przynajmniej tego nie czuł.

* * *

Ljuba Bytewska podała mu kopertę zawierającą ręcznie napisane rozkazy i dysk, na który wgrano dane niezbędne do transferu na miejsce przeznaczenia.

- Okno startowe zaplanowano na pojutrze. Zespół doktora Carla Marii już jest gotowy.

Niech pan czeka, aż nastawią bramę na pana nowe biodane. Nie chcielibyśmy, żeby swój urlop roboczy zaczął pan poturbowany.

Carl Maria von Wonder był, jak mówiono, najwybitniejszym specjalistą od podróży pomiędzy światami równoległymi i potrafił dostarczać agentów nawet do takich miejsc, które inne oddziały agencji uważały za niedostępne. A przede wszystkim potrafił sprowadzać ich z powrotem. Zawistne języki utrzymywały, że nie potrzebuje do tego rozbudowanej technologii ani w CERN, ani w przepaści Macocha na Morawach. Wystarczy mu tylko powiedzieć

„abrakadabra”, ponieważ jest podobno wcieleniem praojca wszystkich czarodziejów.

Kovařowi było to obojętne. Von Wonder wydawał się wprawdzie dziwakiem, ale znał się na swojej robocie, a tylko to się liczyło.

Niedbale udał, że salutuje, i odwrócił się, by odejść, gdy bezgłośnie otworzyły się pneumatyczne drzwi. Do pracowni Ljuby Bytewskiej bez pukania mogło wchodzić niewielu ludzi. Szef wydziału, czasem sam główny szef agencji. Żadnego z nich Kovař jak do tej pory nie widział. Poza nimi tylko kurier niosący informacje o pierwszym stopniu utajnienia.

Gdy Kovař ujrzał w drzwiach skupioną twarz kuriera z ciemnym magicznym tatuażem na skroni, zrozumiał, że stało się coś złego i naszła go nieprzyjemna myśl, że jego urlop w ramach pracy właśnie się skończył.

- John, niech pan poczeka na korytarzu - powiedziała Bytewska i spojrzała na kuriera pytająco.

* * *

- I właśnie dlatego tu jestem - wymamrotał Kovař.

- John, wróciłeś do przytomności - odezwał się McCathail. - Naliczyłem czterysta dwadzieścia jeden wylanych cebrzyków.

Kovař przewalił się na bok z trudem, tłumiąc jęk. Wszystko, kości, stawy, mięśnie, a nawet to, o czym nie miał pojęcia, że istnieje, bolało go niewiarygodnie. On wylanych cebrzyków nie liczył.

- Zmyślasz - rzekł chrapliwie. - Nie uwierzę, że umiesz rachować więcej niż do trzech.

Irlandczyk zarechotał, co zabrzmiało jak odgłos wydawany przez obracający się kamień młyński.

- Ja mam tylko czterysta dwadzieścia, wygrałeś - dodał Kovař.

- My, Irlandczycy, tacy jesteśmy, że zawsze musimy wygrać - mruknął zadowolony McCathail. - Albo uroczyście przegrać.

Morze uspokoiło się, z rzadka tylko przez burtę drakkarza wpadała piana wodna, rześka bryza napinała do połowy zrefowany żagiel, gnając ich szybko naprzód. Snori Sturlurson znów samotnie stał u steru.

Kovař podziwiał nadludzką wytrzymałość jasnowłosego mieszkańca Północy. Snori nie był najsilniejszym członkiem załogi, ale miał w sobie jakby stalową sprężynę, chłodną zawziętość, a w oczach nieugiętość i pewność godne wytrawnego dowódcy, które czyniły z niego prawdziwego jarla. Może króla. Kovařowi wydało się zabawne, że po tak krótkim pobycie w tym świecie zaczyna już myśleć niczym człowiek z epoki.

- Nie ma już ani kropli! - jakiś pełen wściekłości głos przerwał ciszę.

Taki bas mógł wydobywać się tylko z piersi wielkiej jak beczka i Kovař poznał, do kogo należy, nawet się nie odwracając. To Thori Sigfusson, olbrzymi Gotlandczyk, jedyny, który oprócz Sturlursona trzymał się na nogach. Ostrożnie poruszał się między leżącymi wikingami z na wpół pustym wiadrem i wyżętą szmatą.

- Cztery razy po sto i dwadzieścia jeden wiader wody, a łódź sucha do ostatniej deski!

- uskarżał się.

- Nie możesz czekać na następną burzę. Nie zwyciężyłeś mnie - odpowiedział

McCathail, nie ruszając się z miejsca. - Pół wiadra się nie liczy.

Sigfusson zajrzał do wiadra, rozejrzał się po drakkarze i zachmurzył niezadowolony, aż brwi zbiegły mu się w jedną kosmatą linię. Mógł je spokojnie czesać, tak jak swoją czarną brodę.

Później na jego surowej twarzy pojawił się uśmiech i przez chwilę wyglądał jak duże dziecko, które znalazło ulubioną zabawkę. Postawił wiadro, rozpiął spodnie i wysikał się do niego. Kovař stwierdził, że pęcherz moczowy Gotlandczyka musi być solidnych rozmiarów, tak jak cały Sigfusson, ale mimo to nie wystarczyło.

- Hej, chłopcy, pomóżcie mi zwyciężyć naszego małego Irlandczyka - zabasował Thori, zawiązując spodnie.

Pierwszy wstał, stękając, Spar Gurgysson, a za nim inni.

Nie trwało długo, a Sigfusson pokazał McCathailowi pełne wiadro.

- Jest pełne?

- Jest - wycedził McCathail z niezadowoleniem. - Zabierz te szczyny dalej ode mnie, śmierdzą, jakbyście wszyscy zadali się z kozłem.

Wśród powszechnego rechotania zawartość wiadra znalazła się za burtą, a Sigfusson pysznił się jak paw. Kovař nie przyłączył się do ogólnego rozbawienia, powrócił myślami do przeszłości.

* * *

Gdy niecałe dziesięć minut później wrócił do gabinetu Ljuby Bytewskiej, uzyskał pewność, że urlop się skończył, a kłopoty nie stukają dopiero do drzwi, ale zajęły już miejsca w pierwszym rzędzie.

- Straciliśmy agenta rezydenta - ostro powiedziała szefowa Oddziału Kryzysowego w Wydziale do Zwalczania Przemytu Międzyświatowego. - Tu chodzi o coś większego niż kilka ton substancji magicznej w niewłaściwym świecie. Ktoś chce zmienić historię zamierzchłego świata.

Kovař nie rozumiał, co to znaczy, jednak powoli przywykał już do tego stanu rzeczy.

- A ponieważ chce użyć do tego środków, które do tego świata nie należą, dotyczy to właśnie naszego oddziału - ciągnęła Bytewska.

Kovař wiedział, że za tym stwierdzeniem kryje się nieco więcej. Taka robota należała do Wydziału Militarne go i jego oddziałów tajnego reagowania. Dlatego nie pytał o nic i czekał.

- Musi pan natychmiast wkroczyć do akcji. Natychmiast, to znaczy... - Spojrzała na niewidoczny dla Kovařa monitor.

- Jutro dokładnie o siódmej trzynastu i piętnastu sekund - odezwał się głos doktora Carla Marii von Wondera, dobiegający z niewidocznego głośnika. - Kolejne okno będzie dostępne dopiero za blisko dwa miesiące.

- Ma pan dość czasu na podstawowy hipnotyczny kurs języka, który przyspieszy przyswojenie staronordyckiego w praktyce, zaliczenie ewentualnej kuracji regenerującej i briefing tuż przed misją.

Ljuba Bytewska mówiła zwięźle, wpatrując się w ekran monitora, na którym z pewnością wyświetlały się kolejne informacje.

- Czy będę miał partnera? - zapytał Kovař.

Przypomniał sobie pojedynek Napoleona z tajemniczym X-Hawkiem, a także izbę tortur i nie bardzo kwapił się do samotnej wyprawy w nieznane. To mogło być gorsze od zwiadowczej misji w Afganistanie.

- Komtesa de Villefort nie jest jeszcze w pełni sił, a co więcej, pomiędzy wikingami jako kobieta byłaby bezużyteczna.

- Vega? - podsunął Kovař.

Z Vincentem Vegą pracował już kilka razy i wiedział, że dobrze mieć obok siebie tego milkiwego mężczyznę. Jego obecność często stanowiła różnicę między życiem a śmiercią.

Bytewska pochyliła się nad stołem bliżej ku Kovařowi.

- Vincent jest jak niesterowany pocisk, JFK, dobrze pan o tym wie. Musi mieć cel. Gdy go dostanie, za pomocą gołych rąk zdobędzie nóż, potem pistolet, samolot, a w końcu wygrzebie z ziemi bombę atomową i wymaże cel z powierzchni globu. Pana czeka delikatna praca, nie jest wskazane, abyście we dwóch wyłukli połowę mieszkańców świata odpowiadającego mniej więcej dziesiątemu stuleciu naszej własnej historii. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w odpowiednim momencie skontaktuje się z panem nasz kolejny agent. W tej chwili nie mogę powiedzieć, kto to będzie. Pana czas już biegnie, kapitanie - zakończyła rozmowę.

Kovař odwrócił się, ale w drzwiach przystanął.

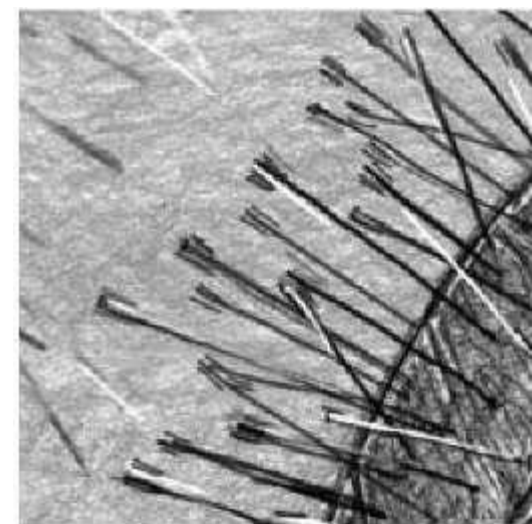
- A co pani powie Vedze na mój temat?

Bytewska uśmiechnęła się i na moment zniknęły z jej twarzy zmarszczki spowodowane niekończącymi się zmartwieniami.

- Niech go pan sam zapyta. Ale mam nadzieję, że po powrocie obroni mnie pan przed obojgiem, Vegą i komtesą. Będą mnie chcieli rozedrzeć, jeśli stwierdzą, że posłałam pana gdzieś bez wsparcia.

Zamyśliła się na moment.

- No, z Vegą może bym sobie poradziła, ale komtesa pokroi mnie na małe kawałeczki i rzuci krokodylom na pożarcie, jeśli coś się panu stanie.



NA OCEANIE

- Solidną porcję jadła dla każdego - zarządził Sturlurson od steru i gestem przywołał jednego z braci Brigrvassonów, żeby na jakiś czas zajął jego miejsce. - I roznieć ogień, potrzebujemy piwa. Gorącego piwa - dodał chmurnie.

- Mamy ostatnią beczkę - oznajmił niepewnie Trockel.

Kovař z rozbawieniem obserwował, jak na twarzy kucharza, będącego jednocześnie szafarzem zapasów, chęć sporządzenia napitku walczy z wrodzoną oszczędnością i ostrożnością, będącą nadzwyczaj istotną kwestią w wyprawach takich jak ta.

- Wiem - kiwnął głową jarl i bardziej zważył się, niż usiadł na jednej z przymocowanych do pokładu skrzyń, służących również jako ławy. - Jeśli mamy zemrzeć na morzu, to niech nasze wspomnienia o pełnym żołądku będą chociaż świeże.

Na drakkarze zapanował spokój, zakłócany tylko przez rzucane od czasu do czasu przekleństwa skupionej przy ogniu załogi.

Kovař odwrócił się, żeby słońce grzało mu w plecy; starał się wykorzystać każdy ciepły promień. Oczy same zamykały się ze zmęczenia, ale nie mógł sobie pozwolić na sen.

Na to było jeszcze za wcześnie.

Sturlurson obserwował go ze swego miejsca, włosy wysuszył już na wietrze i teraz głowę jarla otaczała grzywa jasnych loków, które podczas burzy uwolniły się z pieczołowicie związanego warkocza.

- Dobra robota, John - rzekł po chwili jarl.

JFK kiwnął głową.

- Tam na dole byłoby nam zimno. - Wskazał palcem dno łodzi.

Zmęczony wiking uśmiechnął się nieznacznie, a później zamknął nagle oczy i usnął na siedząco.

Kovař z wdzięcznością przyjął dzban gorącego napoju, kromkę chleba i pasek solonego mięsa. Pociągnął solidny łyk, aż oparzył sobie gardło. Zauważył, że Trockel zaliczył

go do drużyny jarla, którą tworzyło pięciu ludzi, radzących i debatujących razem z nim o celu wyprawy. McCathail otrzymał swoją porcję zaraz po nim.

- Jak długo według ciebie potrwa, zanim zobaczymy brzegi Vinlandii? - wyrwał go z zadumy Irlandczyk.

Obaj rozmyślali o tym samym. Kovař próbował wyobrazić sobie położenie Grenlandii, drogę, którą przebyli, i kierunek wiatru, który gnał ich przez trzy dni na południowy zachód.

To oznaczało, że mogli być całkiem niedaleko od Ziemi Baffina, a nawet od Nowej Fundlandii.

Jednak bez wyposażenia nawigacyjnego niełatwo było trafić na właściwe miejsce.

Chociaż stosownie do instrukcji, jakie otrzymał przed wyruszeniem w podróż, było obojętne, czy wyląduje w Zatoce Hudsona, czy w Zatoce Świętego Wawrzyńca. Kovař starał się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów mapy, którą ostatni raz widział przed dwoma miesiącami. Zrekonstruował również krótki briefing, przed tym jak von Wonder wysłał go w drogę.

- To nie nasz świat, JFK - ostrzegła go Ljuba Bytewska swoim oficjalnym, służbowym tonem. - Nawet jeśli jest do niego bardzo podobny. Według tego, co o nim wiemy, jest to świat, w którym decydującym wydarzeniem dla dalszego rozwoju cywilizacji ma się stać spotkanie rdzennych mieszkańców kontynentu amerykańskiego i żeglarzy z północnej Europy, wikingów.

Kovař przyjął już do wiadomości fakt istnienia nieskończonej liczby światów równoległych, których egzystencja zależała od utrzymania kruchej równowagi panującej między rzeczywistościami. Transfer ludzi, przedmiotów, wiedzy z jednego świata do drugiego mógł tę równowagę zakłócić. I właśnie po to istniała agencja.

- Wikingowie zorganizowali już kilka ekspedycji, które dopłynęły do Ameryki, ale nie zdołali wybudować ani jednej stałej osady. Zawsze stawały im na przeszkodzie wrogie stosunki z mieszkańcami kontynentu północnoamerykańskiego, Indianami - mówiła dalej Bytewska.

Kovař nigdy nie uważał się za twórcę pokoju, więc wyraził swoje zdanie przełożonej.

Udała, że tego nie dosłyszała.

- W związku z zabójstwem naszego rezydenta mamy powody przypuszczać, że w sprawę zaangażowana jest jakaś trzecia strona. Pomiary przeprowadzone przez naszych fizyków świadczą o tym, że do tamtego świata został przemycony przedmiot, który do niego nie należy i ma wyraźny wpływ na poziom stabilności równowagi. Pana zadaniem, Johnie Kovařu, jest nie dopuścić do interwencji tej trzeciej strony w wyprawie Snori Sturlursona.

Według naszych analityków prawdopodobieństwo sukcesu jego wyprawy jest największe. No i oczywiście znaleźć przemycony artefakt. Ze względu na to, że jest to najpewniej jakiś rodzaj broni, z pewnością zetknie się pan z nim podczas misji.

- Jeszcze jeden dzban?

Kovař drgnął i nieświadomie uniósł rękę ku szyi pytającego, który wyrwał go z rozmyślań i wspomnień, ale na szczęście w porę się wstrzymał. Miał się na baczności, bo ostatnim ostrzeżeniem, jakie otrzymał przed misją, było, że agent nieprzyjaciela może kryć się wśród załogi Sturlursona.

- Masz szczęście, podczas burzy dwóch chłopca wypadło za burtę i wszyscy się zgodzili, że jeśli ktoś ma prawo do dolewki, to ty i Sturlurson. - Wiking wskazał śpiącego jarla.

- No, chętnie! - Kovař kiwnął głową i podstawił dzban. - Za wieczną radość tych, którzy przylecieli do Walhalli na skrzydłach burzy. - Wzniósł toast dzbanem.

- Oto hołd godny skalda - stwierdził Sverre Bjorkedal, przyłączając się do toastu. -

Kiedy dotrzemy do Vinlandii, zaśpiewam wam pieśń o tej burzy i o całej naszej drodze! -

obiecał.

Mężczyźni zamruczeli z zadowoleniem. Kovař uświadomił sobie, że wspinające się coraz wyżej słońce, wypite piwo i zjedzony posiłek powodują, że jego nastrój w końcu się polepsza. A to było ważne, niezwykle ważne.

Sturlurson obudził się jeszcze przed południem, a spostrzegłszy, że niebo jest czyste, wyjął niewielką deseczkę z wbitym w nią kołkiem i zaczął obserwować cień, który kołek rzucał na deszczułkę.

JFK wiedział, że jest to odmiana kompasu używanego przez wikingów, proste urządzenie pozwalające z grubsza określić szerokość geograficzną. Jarl posilał się, bez przerwy obserwując swój przyrząd.

- Znajdujemy się bardziej na południe niż Królestwo Normañskie i bardziej na północ niż Bizancjum
- stwierdził wreszcie z zadowoleniem.

Kovař po raz tysięczny pożałował, że nie ma żadnego wyposażenia. Kompas z dobrym chronometrem otrzymałby bez trudu od agencji. I to po zabiegach spowalniających rozpad w świecie, do którego nie należy. Ale gdyby ktoś to spostrzegł, ewentualny agent natychmiast zorientowałby się, że Kovař jest jego nieprzyjacielem. A tak JFK był tylko jednym z wielu mężczyzn kroczących zawiłymi ścieżkami życia, których Snori Sturlurson zgromadził pod swoim dowództwem.

Wkrótce znów wciągnęli na maszt prostokątny żagiel z płótna łączonego ze skórą i popłynęli w kierunku wytyczonym przez jarla. JFK zgadzał się z jego decyzją. Wikingowie dobrze sobie radzili na oceanie z minimalnym nawet wyposażeniem i prymitywnymi mapami.

Woda bulgotała pod dziobem, a za rufą tworzyła się długa bruzda. Kilku ludzi rozwiązywało pakunki, kontrolując, czy zapasy jęczmienia, mięsa z renifera i cebuli nie zamokły.

- Szybko płyniemy, szybciej niż okręty Haralda, kiedy uciekał z Morza Śródziemnego

- zauważył siwowłosy mężczyzna, który nawet na środku oceanu pozostawał w kolczudze z długimi rękawami, stanowiącej cały jego majątek.

Kovař popatrzył na niego zamyślony. Sam nie umiał ocenić prędkości łodzi. Siedem węzłów? Był wśród załogi zwykłym szcurem lądowym.

- Punkt na horyzoncie! - zameldowała czujka na dziobie.

Meldunek wywołał powszechne poruszenie, Sturlurson wraz ze swoimi najbliższymi doradcami przeszedł na przód, Sverre Bjorkedal wspiał się na wyrzeźbionego węża wystającego przed dziób łodzi i osłonił oczy przed słońcem.

Wszyscy ucichli, słyhać było tylko bulgotanie i syk wody.

- To okręt - powiedział po dłuższej chwili.

Olav Fryggvasson zachmurzył się.

- Nie słyzałem o nikim, kto by się w ciągu kilku ostatnich lat wyprawił aż za Grenlandię. I nie słyzałem o nikim z żyjących oprócz Leifa Eriksona i jego syna, który by się na to odważył. Gdy odpływaliśmy, wszyscy byli na lądzie. A prześcignąć nas nie mógł nikt.

Thori Sigfusson podrapał się po głowie. Był największy i najsilniejszy na drakkarze. Z

początku nie zwracał uwagi na pokpiwania, którymi wypróbowywało Sigfussona w pierwszych chwilach rejsu kilku ciekawych, tak że zaczęto go w końcu uważać za dobrodusznego olbrzyma, pozwalającego innym na wszystko. Skończyło się na tym, że w każdej ręce trzymał za nogę po jednym żartownisiu i maczał ich w wodzie tak długo, aż poprosili o wybaczenie im czynów niegodnych mężczyzny, jak je nazwał. Od tej pory nikt się z niego nie wyśmiewał i wszyscy zgodnie stwierdzili, że jest bardzo mądrym człowiekiem, ponieważ nie chciał zmywać obrazy krwią i wystarczyła mu do tego morska woda. Kilka godzin moczenia w tej wodzie, jak na stronie przyznawali sami poszkodowani.

- To spore szczęście napotkać inny okręt tak daleko od brzegu - powiedział swoim głębokim głosem.

- Dobre szczęście czy złe szczęście? - zapytał McCathail.

To było trafne pytanie, a Kovař nie miał pewności, czy to w ogóle szczęście, czy też pech. Może ten okręt nie znalazł się tu przypadkowo, ale w wyniku przemyślnej akcji kogoś, o kim nic nie wiedział.

- Całkiem mnie zaciekawiło, co to za jedni - głośno pomyślał Loset.

- A ja bym wolał płynąć do Vinlandii najkrótszą drogą - nie zgodził się z nim Gurgysson.

Wszyscy dyskutowali z ożywieniem, Bjorkedal pozostał w niewygodnej pozycji jako obserwator, spoglądając przed dziób.

- Zbliżamy się do nich - stwierdził w końcu.

Część załogi wydała okrzyk radości, niektórzy dobyli mieczy. Kovař już zdążył ich poznać. Większość załogi stanowili ludzie, którzy z różnych powodów musieli opuścić rodzinne strony, ludzie obciążeni przelewem krwi lub zatargiem z kimś mocarnym. Nikt nie był na pokładzie nowicjuszem, każdy brał udział w najeździe na Normandię, Irlandię, Anglię, niektórzy na Bizancjum. Jeszcze inni wyprawiali się Wołgą aż do dalekich siedzib Pieczyngów i innych dzikich plemion. Jedno ich łączyło. Nie bali się nikogo i niczego, wszyscy wierzyli, że gdy umrą na polu bitwy, ich dusze podążą prosto do Walhalli, nieba wojowników, gdzie będą przebywać aż do końca świata, jedząc, pijąc i walcząc, jak to robili przez całe życie.

- Obiecałem, że powiodę was do Vinlandii - zwrócił się do załogi Sturlurson. - W

naszej umowie nie było nic o walce na morzu. Jeżeli oczywiście nikt nas nie zaatakuje.

Odpowiedział mu gromki śmiech. Drakkar, na którym płynęli, Morska Żmija, był

wysokiej klasy okrętem wojennym z potężnymi burtami, świetną dzielnością morską, okrętem królów wikińskich. I kto by go miał napaść bez powodu?

- Jeżeli chcemy przyrzeć się z bliska tej kropce na horyzoncie, muszę mieć na to waszą zgodę - ciągnął Sturlurson, kiedy ludzie się uspokoili.

- Zmieciemy wszystko, co nam stanie na drodze - oświadczył pewnie Jori Loset.

Fryggvasson spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Na Morzu Śródziemnym widywałem okręty większe niż nasz. Plujące ogniem, miotające oszczepy tak jak my strzały. Dopóki człowiek nie objedzie całego świata, nie może twierdzić, że go zna.

Loset wzruszył tylko ramionami. Fryggvasson umiał czytać i pisać runy i z tego powodu uważano go w połowie za czarodzieja.

- Zdecydowaliście, a więc płyniemy w kierunku tego okrętu. Do broni! - zawołał

Sturlurson, a w odpowiedzi podniósł się krzyk entuzjazmu.

Po wielu dniach spędzonych na pokładzie nudzili się. JFK starał się odgadnąć, czy jarl jest zadowolony z decyzji załogi, czy nie, lecz nieprzenikniona twarz jasnowłosego wikinga nie zdradzała żadnych uczuć.

Podczas gdy Morska Żmija zbliżała się do celu, załoga otwierała skrzynie, w których znajdowała się broń, nakładała przeszywanice, kolczugi, obwieszała burty drakkara różnokolorowymi tarczami, osłaniając je przed nieprzyjacielskimi strzałami. Kovařa znów zdumiało, jak dobrze przygotowani są do walki wikingowie Sturlursona. Za kolczugi trzeba było płacić srebrem i na ogół mieli je jedynie dowódca i kilku najlepszych wojowników, pozostali musieli zadowalać się gorszą ochroną. Miecze, które widział na pokładzie, należały do tych o najwyższej jakości, przywożonych z irlandzkich klasztorów pomimo ścisłego zakazu suzerena. Niektórzy wikingowie, a było ich niemało, mieli broń wykonaną ze stali damasceńskiej, pochodzącą z Bizancjum lub Arabii. U pasa Snori Sturlursona zamiast typowego miecza wikingów wisiał długi dwusieczny miecz germański i krótki, saksoński.

Głownia zdobiona złotem na sposób właściwy barbarzyńcom, zwany „cloisonné”, charakterystycznym dla okresu chaosu przed trzystu lat, o którym wspominało w pieśniach znanych już Kovařowi, nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że broń ta dawno temu należała do króla.

JFK zaprzestał obserwacji i też zaczął się przygotowywać. Orm, jeden z braci Brigvassonów, z podziwem przyglądał się kolczudze, którą agent ostrożnie nakładał. W

odróżnieniu od większości zbroi wikingów miała długie rękawy, sięgała aż przed kolana, a na plecach i na piersi w okolicy serca i kręgosłupa była wzmocniona dodatkową warstwą krążków.

Orm pomacał kolczugę palcami.

- Z Birki? Wykonana sposobem „dwa kółka z ośmioma”? - zapytał. - Niejeden król nie ma takiej kolczugi!

Kovař pokręcił ramionami, układając kolczugę na ciełe.

- Nie kupiłem jej - odpowiedział młodzieńcowi z uśmiechem i przypiął do pasa miecz.

Był to typowy miecz wikingów ze skromnie zdobioną żelazną głownią i prostą gardą, ale klingę wykonano z najlepszej stali damasceńskiej. Nie pochodziła z żadnej słynnej pracowni płatnerskiej obecnej doby, lecz z kuźni Patrika Bezdecha, zatrudnianego przez agencję specjalisty od wyrobu broni za pomocą starych technologii. Wiadomo było, że przy wyrobie odzieży, broni czy jakiegoś innego przedmiotu należało użyć technologii tego świata, w którym agent miał pracować. Efekt Maurby'ego, powodujący szybką degenerację, nie pojawiał się w takim przypadku i nie istniała potrzeba stosowania żadnych pieczęci czy innych

techniczno-magicznych

działań, które umożliwiały choćby krótkotrwałe

wykorzystanie przedmiotu, jak na przykład samolotu Harrier w okresie wojen napoleońskich.

W odróżnieniu od płatnerzy z dziewiątego i dziesiątego wieku Patrik Bezdech miał do dyspozycji najlepsze metody diagnostyczne i Kovař mógł być pewny, że jego broń nie ma żadnych pęknięć, źle wykutych miejsc ani innych defektów, które mogłyby się ujawnić w najmniej odpowiednim momencie. Jego kolczudze również poświęcono maksymalną uwagę.

W tym przypadku technicy i historycy agencji skopiowali stosowany przez wikingów, a później zapomniany sposób łączenia różnie wyprofilowanych krążków, co gwarantowało, że nawet rzucony z pełną siłą oszczep nie wniknie głębiej niż na dwa, trzy palce. Komplet, kolczuga z przeszywanicą, gwarantował więc, że rana w większości przypadków nie będzie śmiertelna.

Orm Brigvasson z zawiścią wzruszył ramionami.

- Nie kupiłeś, powiadasz. No, nie co dzień trafia się człowiekowi takie szczęście, żeby zabić w bitwie króla albo chociaż potężnego jarła. Czy gdybyś przypadkiem zginął w boju, mogę sobie wziąć twoją kolczugę?

Kovař wskazał palcem Spara Gurgyssona.

- Dopiero po nim, pierwszy o to zapytał.

- No dobrze, jeśli zginiesz, a Gurgysson po tobie, przyjdzie moja kolej - oznajmił

młodzik z powagą.

- Ale żaden z nas nie może przy tym spaść do wody - krzywiąc się, zwrócił uwagę Spar, który sprawdzał właśnie swoje dwie tarcze. - Trochę tu za głęboko.

- Nie bój się - uspokoił go Orm. - Będę na was uważał.

* * *

- Ten okręt ma dwa maszty - oznajmił nagle Bjorkedal.

Wzbudziło to niedowierzanie i zaniepokojenie. Okręt z dwoma masztami? Kto to widział!

- Nie masz majaków przed oczami? Już dawno nie widziały baby! - pokrzykiwali do skalda, jednak Kovař wyczuwał obawę w tym dowcipkowaniu.

Cały wolny czas w szpitalu, a później podczas rekonwalescencji poświęcił na naukę, ale zdążył nauczyć się o wiele mniej, niż potrzebował jako sprawny pracownik agencji. Która cywilizacja dziewiątego, dziesiątego wieku naszej historii była zdolna wybudować dwumasztowy okręt i wypłynąć nim na pełny Atlantyk? Nie wiedział. Z drugiej strony to nie była Ziemia, lecz świat równoległy, a on miał zadbać o to, żeby jego rozwój przebiegał

naturalną drogą, bez żadnych wpływów z zewnątrz. Jednak tu coś miało pójść inaczej. A co mianowicie, tego prawdopodobnie nie było nawet w gigantycznej bazie danych agencji.

- Może powinniśmy im po prostu zejść z drogi - po mniej więcej godzinie powiedział Bjorkedal.

Już nie obserwował okrętu samotnie, dotrzymywało mu towarzystwa kilku członków załogi.

- Wydaje mi się, że wcześniej mieli trzy maszty, tylko burza pozbawiła ich jednego.

To o wiele większy okręt niż Morska Żmija. I wyższy.

Ci, którzy nie mieli tak dobrego stanowiska obserwacyjnego i tak doskonałego wzroku jak skald, podnieśli pełną niedowierzania wrzawę.

- Żmija ma sto pięćdziesiąt stóp długości - zauważył któryś prawie z urazą w głosie.

- Jeśli mnie oczy nie mylą, a widziałem już sporo wielorybów i wiem, że niełatwo ocenić wielkość i odległość na morzu, to ten okręt ma co najmniej dwieście stóp długości, a może i więcej.

- Im większy okręt zdobędziemy, tym obfitszy ładunek wpadnie w nasze ręce - z niezachwianą pewnością oznajmił Jori Loset.

- Lepiej zejść im z drogi - radził inny. - Ludzie nie mogą budować takich wielkich okrętów, chyba sam Thor nim płynie!

- Thor zaprzągłby parę baranów i jechał po wodzie jak ty po śniegu - zbył go McCathail śmiechem. - Nie wierzę, że zdołalibyśmy im umknąć, nawet gdybyśmy chcieli. Z

tego, co widzę, płynie prosto na nas. A powiedziałbym, że nawet z uszkodzonymi masztami jest szybszy od Żmii.

Kovař zgadzał się z nim. Okręt zrobił zwrot, jego maszty ustawiły się w jednej linii, a dziób mierzył prosto w ich łódź.

Snori Sturlurson znów stanął u steru i trzymał poprzedni kurs.

- Chcieliśmy walki, to będziemy ją mieli. Czego sobie więcej życzyć - powiedział z pewnym zamiśleniem.

Thori Sigfusson nabrał wiadro morskiej wody, wyczarował z kieszeni kawałek mydła kasztanowego i starannie umył twarz i włosy, a potem uczesał się grzebieniem wydobytym z kieszonki w pasie.

Kovař z niedowierzaniem obserwował jego czynności. Wikingowie nie przestawali go zdumiewać.

- Chcesz wstąpić do Walhalli brudny? - wykrzywił się McCathail i zużył kolejne wiadro.

- Obiecuję, że zanim tam wyruszysz, umyję cię i uczeszę ci włosy i wąsy - odparł

Kovař, wzruszając ramionami.

Spar Gurgysson zarechotał i rozejrzał się po wszystkich.

- Słyszycie Johna? Musimy go pilnować, po bitwie każdy jest tak zmęczony, że ledwie może się ruszać! Już się cieszę na myśl o tym, jak będzie niektórych mył.

* * *

Okręty zbliżały się do siebie, wikingowie stopniowo rozróżniali coraz więcej szczegółów.

Kovař z niemiłym zaskoczeniem poznał, kto na nich oczekiwał kilkaset kilometrów od wybrzeża Ameryki. Napotkali trójmasztową dżonkę, trochę uszkodzoną przez burzę. Ale nadal był to okręt rozmiarami i technologią wykonania przewyższający drakkar o wiele żeglarskich generacji. Długi na osiemdziesiąt metrów, ze sterem na rufie, kompletem żagli z bambusowymi wspornikami, które zmieniały je w profilowane skrzydła zdolne do uchwycenia najlżejszych podmuchów wiatru. W odróżnieniu od smukłego drakkara kadłub dżonki był solidny i szeroki, a mimo to płynęła co najmniej tak szybko jak Morska Żmija, a raczej szybciej. Pokład znajdował się o dobre dwa metry wyżej niż burta drakkara. Chociaż prawdopodobnie podczas burzy okręt nabrał sporo wody. Chińczycy? Japończycy? Raczej Chińczycy.

Żarty ucichły, wikingowie spoglądali zza tarcz na zbliżający się okręt. Nikt nie okazywał strachu, wszyscy wazyli szanse. Przeciw nadpływającemu kolosowi nie były zbyt wysokie.

- Ilu ich tam może być? - zastanawiał się McCathail. - Chociaż to wszystko jedno -

dodał, krzywiąc twarz w grymasie mającym oznaczać rozbawienie.

Kilku ludzi popatrzyło na niego z obawą. Wszyscy wiedzieli, że cieszy się sławą berserka.

Na o wiele mniejszej niż dżonka Morskiej Żmii płynęło stu pięćdziesięciu wikingów.

Kovař nie mógł odgadnąć, jak liczna może być załoga znacznie przecież większej jednostki.

Trzystu? Siedmiuset ludzi?

Rozróżniał już poszczególne postaci zgromadzone na dziobie, groty oszczepów sterczących nad ich głowami.

- Będzie trzy razy tylu co nas - powiedział głośno Bjorkedal.

Kovař podejrzewał, że wiking celowo zaniżył swą ocenę, żeby nie odbierać ludziom odwagi.

- No to będziemy musieli zabijać ich szybko, żebyśmy skończyli do wieczora, nie lubię wojować po ciemku - odparł Sigfusson, a jego słowa podniosły nieco nastrój.

Sto metrów przed dziobem żaglowca Sturlurson napał na ster i zmienił kierunek.

Minęli dżonkę w bezpiecznej odległości, obserwując, jak marynarze błyskawicznie wspięli się na maszty, zmienili położenie żagli, a okręt zaskakująco szybko zrobił zwrot. Szybko utracili dystans, który uzyskali, zmieniając kierunek i płynąc ukośnie do wiatru. Sturlurson nie czekał, znów zmienił kurs i ominął dżonkę z drugiej strony. Obejrzeli przy tym duży ster poruszany kołem usytuowanym w najwyższym miejscu pokładu rufowego.

- Bardzo sprytnie - mruknął Fryggvasson, widząc sternika wraz z dwoma mocno pracującymi pomocnikami.

Druga burta dżonki była bardziej uszkodzona przez burzę, zwalony maszt pogruchotał

środkowy pokład i zniszczył burtę prawie do linii zanurzenia. Załoga zakryła ubytek skórą, żeby nie nabierać więcej wody. Kovař uświadomił sobie, że miejsce uszkodzenia stanowi ich jedyną szansę na sforsowanie wysokiej burty żaglowca. Może naprawdę lepiej było spróbować ucieczki. Teraz jednak wiedział, że z pozoru niezgrabny okręt jest szybszy niż ich drakkar, przynajmniej przy tym wietrze, jaki był aktualnie. Sądząc z tego, jak manewrował

kapitan dżonki, nie miał zamiaru pozwolić im na ucieczkę. Sturlurson miał rację, szykując się do ataku. W ten sposób sami mogli wybrać miejsce i dogodny moment.

Znów zbliżyli się do burty dżonki, mijając ją w odległości kilkudziesięciu metrów. Z

górnego pokładu rzucono ku nim niecelnie kilka oszczepów, żołnierze w płytkowych zbrojach

chroniących również uda i w kryjących twarze hełmach obserwowali ich, stojąc nieruchomo jak milczący płot.

- Do wiosła - zawołał jarl.

Załoga błyskawicznie usunęła uszczelnienia otworów na wiosła. Zaledwie wynurzyli się spoza dżonki, zaczął ich hamować przeciwny wiatr i wydawało się, że wrogi okręt nie tylko doścignie drakkar, ale uderzy w niego dziobem. Lecz takiego błędu Sturlurson nie mógł

popęłnić.

- Rzucić żagiel! - podał kolejną komendę. - I mocno tam przy wiosłach! Raz, dwa, raz, dwa! - zaczął nadawać rytm wiosłarzom.

Kovař zrozumiał, że Sturlurson nie chce robić zwrotu, ale wykorzystać symetryczny kształt kadłuba i zmniejszyć wzrastającą szybkość.

- Ludzie z bosakami i linami, przygotować się! Musimy się do nich przyczepić, mamy jedyną szansę, jeden atak! Najlepiej uzbrojeni na czoło!

Sturlurson przebiegł już z rufy na dziób, skąd kierował drakkarem za pomocą zapasowego wiosła sterującego.

Kapitan dżonki nie przewidział tak niezwykłego manewru; próbując uniknąć zaskakującego ataku, obrócił okręt za bardzo na wiatr i dżonka nagle straciła szybkość.

Morska Żmija natomiast pędziła gnana rytmicznymi pociągnięciami wiosła. Kovař stwierdził, że stoi w drugim rzędzie klina uderzeniowego, jaki uformował się w środku łodzi. Przy wiosłarzach na całej długości burty stali ludzie z bosakami, mający za zadanie szepić oba okręty.

- Wiosłami do tyłu! Raz, dwa! Wiosła z wody! Hakować! - krzyczał Sturlurson od steru.

Morska Żmija zatrzęsa się, tracąc nagle szybkość, z pokładu dżonki sypnęła się chmara strzał i oszczepów, ale większość z nich wpadła do wody przed dziobem drakkara.

Chińscy wojownicy nie przypuszczali, że łódź może tak nagle zahamować. Wikingowie skryli się za tarczami przed następną salwą, Kovař poczuł, jak jego tarcza zatrzęsa się od uderzeń strzał. Człowiek obok niego nagle uklęknął na kolano, oszczep przebił tarczę i trafił go w ramię.

- Na Thora! Nie powojowałem sobie! - wycedził przez zaciśnięte zęby, odczołgując się pod osłonę burty.

- Atak!

Pierwsi wikingowie natarli przeciw gęstwie oszczepów. Kovař odrzucił jeden z nich tarczą, przeciął drugi, trzeci dosięgnął jego piersi, ale nie przeszedł przez kolczugę. Zanim przeciwnik zdążył pchnąć drugi raz, zbił oszczep w dół, a zaskoczony oszczepnik posłał

na tamten świat cięciem w szyję.

Nawet nie wiedząc, jak to się stało, znalazł się na czele klina uderzeniowego.

Racjonalna część jego umysłu doradzała, żeby się opamiętał, że nie należy do ryczącej w bojowym szaleństwie hordy zabijaków z Północy, że jest tylko agentem wykonującym swoją pracę. Ale to nie był czas na racjonalne myślenie. Stał się jednym z wikingów i wiedział, że albo przeżyje, albo zginie.

Ogromny Sigfusson jednym cięciem przerąbał dwa oszczepy, uderzeniem tarczy zwałił wojownika przed sobą, a następnemu rozrąbał hełm razem z czaszką. Pośliznął się jednak i upadł na ciała zabitych. Zanim któryś z przeciwników zdążył pchnąć Sigfussona w plecy, Kovař rzucił na niego swoją tarczę, a kilku wikingów poszło w jego ślady.

Formacja zbrojnych w pancerzach rozpadła się pod niemal samobójczym atakiem wikingów. Kovař znalazł się naprzeciw jednego z wrogów. Krzywa szabla otarła się o jego pierś, a potem o ramię, ale kolczuga wytrzymała. Napař na żołnierza i przycisnął go do drewnianej ściany, uderzył tarczą w głowę raz i drugi, odwrócił się dla obrony przed kolejnym nieprzyjacielem, ale zanim zdążył zaatakować, Bjorkedal zabił tamtego od tyłu.

- Zdaje się, że zwyciężamy! - Skald wyszczerzył zęby, w poprzek jego czoła ciągnęła się płytką szrama.

Kovař się rozejrzał. Środkowy pokład należał do nich, walka trwała już tylko w dwóch miejscach. Nagle usłyszał komendy w obcym języku. Spojrzał wyżej, mężczyzna w czarnym pancerzu z emblematem smoka na piersi krzyczał donośnie. Pozostali przy życiu żołnierze starali się jak najszybciej opuścić środkowy pokład, za dowódcą formował się szereg ludzi z łukami.

- Na nich, zanim nas wystrzelają! - ryknął Kovař.

McCathail zareagował pierwszy. Wyrwał zza pasa toporek, wziął zamach i z bojowym okrzykiem cisnął w dowódcę. W następnej chwili gnał już po stromych schodkach na przedni pokład, jakby nie zdając sobie sprawy, że w pojedynkę nie ma żadnych szans. Toporek trafił

dowódcę w pierś, przerąbał pancerz i wbił się głęboko w ciało. Łucznicy się zawahali. Kovař pognał za McCathilem, udało mu się go dogonić. W ostatnim momencie jego miecz wspomógł topór dzielnego Irlandczyka. Walczyli ramię w ramię.

Czas jakby stanął, zamarł w chaosie mieczy, ostrzy, oszczepów i toporów. Cięcie, krycie, odbicie obcej tarczy, złamanie czyjejs ręki, kopnięcie zataczającego się przeciwnika, rozplatanie głowy. Raz za razem, bez względu na zranienia i ból. Wszędzie potoki krwi, dźwięczenie kling, krzyki umierających i poranionych.

Kovař wraz z trzema towarzyszami został sam na otwartej przestrzeni, gdy nagle otworzyły się drzwi wiodące pod pokład i wynurzyły się z nich dziesiątki nieprzyjaciół, niekończący się wąż nacierających ludzi. Nie mieli ani oszczepów, ani mieczy, w rękach trzymali kusze.

Kovař ryknął, poleciała pierwsza salwa, w pierś wbiło mu się pięć lekkich bełtów, twarz drasnął

szósty. Zdażył pochylić głowę, po helmie zadzwoniły kolejne. Było ich takie mnóstwo, że aż od nich pociemniało. Zanim uświadomił sobie, że Chińczycy używają samopowtarzalnych kusz, tarcza zaczęła mu ciążyć naszpikowana dziesiątkami bełtów, a on sam krwawił z niezliczonych drobnych ranek.

- Za mną! - wrzasnął, rzucając się naprzeciw mrowiu ludzi.

Biegł z nim tylko jeden człowiek, dwaj pozostali padli. Nie mieli zbyt dobrych zbroi ani szczęścia w walce.

Rząd kuszników cofał się przed nimi, spanikowani ludzie odwracali się do ucieczki.

Kovař nie wahał się, zabijał lekko ubranych wojowników tuzinami. Wydawał się nieśmiertelny, z pierśią i ramionami naszpikowanymi lekkimi bełtami przypominał

jeżozwierza. Krew, śmierć i znowu krew. W pewnym momencie został sam, jego towarzysz upadł ze strzałką sterczącą z oka. Był sam pośrodku zacieśniającego się kręgu błyszczących noży.

Tego przeżyć nie mogę, pomyślał, szykując się do ostatniej walki.

Nagle pojawił się Spar Gurgysson, krąg rozpadł się i krwawa jatka rozpętała się na nowo.

Po walce długiej jak wieczność nastała wreszcie cisza. Kovař klęknął na kolano, wokół siebie widział samych zabitych, w pewnej odległości od niego ktoś chwiał się na nogach.

- Dobić rannych! - usłyszał bezlitosny rozkaz Sturlursona.

To był czas dzikich czynów i dzikich obyczajów. Kovař rozejrzał się i zaczął wyciągać ze zbroi jeden bełt po drugim. Przy trzydziestym szóstym syknął z bólu. Ten dosięgnął uda, kolczuga go nie zatrzymała. Pozwolił krwi swobodnie płynąć, a sam doliczył się pięćdziesięciu siedmiu wyciągniętych pocisków, i to nie licząc tych, które sterczały na plecach. Bez ociągania zszedł pod pokład. Musiał się dowiedzieć, dlaczego Chińczycy pojawili się na pełnym oceanie i dlaczego tak uporczywie dążyli do walki.

Ostrożnie przechodził korytarzami, szukając kajuty kapitana. Tu też walczono, ale nie tak zaciekle jak na górze. Wikingowie nie nawykli do okrętów posiadających pomieszczenia pod pokładem, po walce szybko wynieśli się z zamkniętej przestrzeni. Coś takiego na morzu uważali za nienaturalne.

Kovař w końcu znalazł najlepiej wyposażoną i największą kajutę. Na stole wykładanym drogimi kamieniami leżały mapy ze stosunkowo dokładnym konturem wschodniego wybrzeża obu Ameryk. Znalazł kasetkę z dokumentami, ale nic mu z niej nie przyszło. Wszystkie papiery pokryte były niezrozumiałymi znakami chińskiego pisma. Kovař uświadomił sobie, jak bardzo potrzebuje lingwisty lub chociaż tunelu komunikacyjnego ze specjalistą z agencji.

Rozczarowany odłożył pliki dokumentów, przypadkowo jego wzrok padł na papier pokryty ilustracjami. Ze zdumieniem stwierdził, że to nie jakieś sobie obrazki, ale dość dokładnie

przedstawiony emblemat agencji z inicjałami EF, z którym agenci nie rozstawali się nawet podczas misji. Oprócz nazwiska umieszczano na nim miniaturowym pismem dane pomocne dla ochrony agenta lub, w najgorszym razie, do identyfikacji zwłok. Kovař znalazł

też ilustrację przedstawiającą indykator Geiger-Thurgau'a, cud techniki wskazujący zsynchronizowany czas w każdym ze światów, w którym indykator właśnie się znajdował, i inne dane potrzebne agentowi. Był tam też rysunek szczególnego naszyjnika z emblematem wyglądającym jak sztuczny twór przypominający węża pożerającego własny ogon. Czegoś takiego Kovař nigdy dotąd nie widział. Rysunek uzupełniono osobno dodanym tekstem.

Nie miał wątpliwości, dżonka pływała w tym obszarze celowo, a jej kapitan miał za zadanie wyszukiwać agentów. Nie było przy tym jasne, czy orientował się w całokształcie spraw, czy też prawdziwy przeciwnik rezydował na drugim końcu świata w pobliżu tronu chińskiego cesarza.



Kovař usłyszał zbliżające się kroki i szybko wsunął papier między pozostałe. Nie chciał, żeby ktokolwiek powziął podejrzenie, że nie jest zwyczajnym wikingiem. Sięgnął po złoty łańcuch wiszący na ścianie i złapał porcelanową butlę, w której, jak się domyślał, Chińczycy od tysiącleci przechowywali wino ryżowe. Udając, że nie usłyszał kroków, zaczął

łapczywie pić. Dopiero teraz uświadomił sobie, że boli go całe ciało i że chwieje się z wyczerpania.

Odwrócił się ku nadchodzącemu.

Był to Jori Loset, prawa ręka Sturlursona.

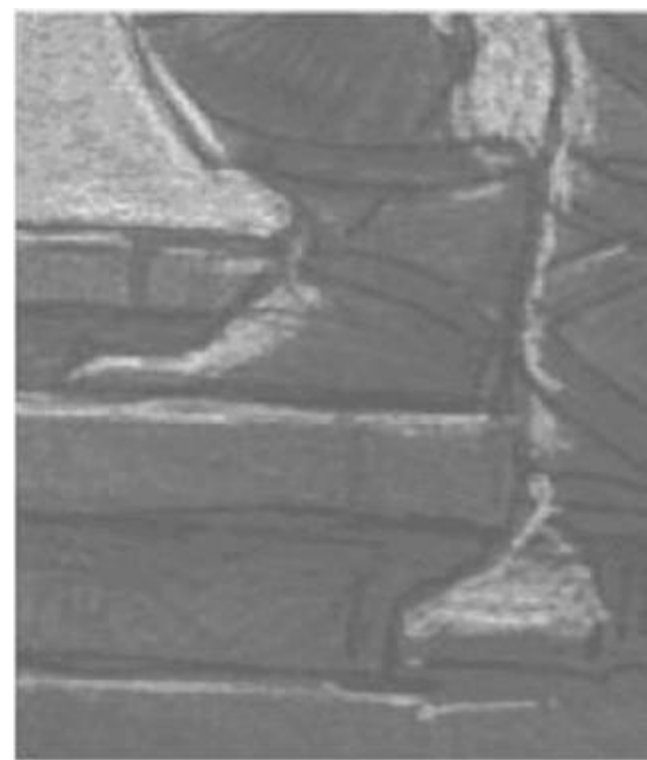
- Dobre picie - rzekł Kovař z szerokim uśmiechem kogoś, kto właśnie zażywa zasłużonej odmiany losu, i machnął w jego kierunku butlą. - Dobry łup! - Wskazał złoty łańcuch.

Jori skrzywił twarz.

- Zostaw mi trochę, a ten dziwny łańcuch będziesz musiał dorzucić do innych łupów.

Teraz Sturlurson wzywa nas wszystkich na górę.

Kovař podał mu butlę i z lekka się zataczając, ruszył korytarzem z powrotem. Pod pokładem smród śmierci był silniejszy i żołądek podchodził mu do gardła.



NOCNE RENDEZ-VOUS

Ocean był spokojny. Sturlurson rozkazał przywiązać oba okręty do siebie, a pomiędzy kadłubami umieścić rogoże, których Chińczycy prawdopodobnie używali do takich samych celów. Martwych żółtoskórych, jak wikingowie nazywali Chińczyków, wrzucono do wody. To oznaczało, że wyrzucono za burtę całą załogę dżonki. Kovař naliczył trzystu osiemdziesięciu trzech ludzi. Sądząc

jednak po rozmiarach powierzchni pod pokładem, na początku rejsu było na okręcie jeszcze więcej ludzi. Wyglądało na to, że przemierzali morza już od lat i przez ten czas ocean pobrał swoją daninę.

Zmęczony usiadł na środkowym pokładzie i otepiały z wyczerpania przypatrywał się, jak Olav Fryggvasson krząta się między rannymi i opatruje ich w miarę swoich najlepszych umiejętności. Przemywał rany olejem i morską wodą, przecięte żyły przypalał rozpalonym żelazem. Wikingowie znosili ból ze stoickim spokojem, wydawało się, że współzawodniczą o to, który swoje rany traktuje z większym lekceważeniem.

McCathail osunął się na pokład, zakrwawiony toporek wysliznął mu się z ręki, w twarzy pokrytej zaschniętą krwią gorzały tylko oczy.

- No jak, mam cię umyć? - Kovař przypomniał McCathailowi swoją obietnicę.

- Jeszcze nie wybieram się do Walhalli, dam ci znać, jak nadejdzie pora - wychrypiął

Irlandczyk, położył się na plecach i przymknął powieki.

Pomocnik Fryggvassona, niewielki chłopina z garbem i długimi rękami, obchodził

rannych w brzuch i dawał im do picia odwar cebulowy. Fryggvasson obwąchiwał otwarte rany, sprawdzając, kto cierpi na chorobę cebulową, czyli komu z rany wydobywa się zapach cebuli. Oznaczało to poprzecinane jelita i pewną, bolesną śmierć.

- Mnie nie musisz sprawdzać - zatrzymał Fryggvassona wiking mniej więcej w wieku Kovařa. Włosy i wąsy miał starannie uczesane, miecz, bez jednej choćby szczyrby pomimo stoczonych przed chwilą walki, ułożony na udach. - Dobrze wiem, że mam chorobę cebulową, czuję swoje wnętrzności, nawet nie muszę pić tej wstrętnej lury. A tu - wyrwał z rany strzałę z nieznacznym tylko syknięciem - widzę tłuszcz na grocie, który trafił mnie w serce. Nasz jarl naprawdę dobrze o nas dbał, a ja odwdzieczyłem mu się tym, że wyprawilem na tamten świat dziesięciu i do tego jeszcze pięciu złotych ludzi.

Jeden z wikingów podał rannemu porcelanową butlę w kształcie gruszki, pełną mocnego wina chińskiego, i umierający bohater solidnie się napił.

- Myślę, że już czas na wywar z maku, bo za chwilę zacznę lamentować niczym stara baba. - Skrzywił usta jakby w uśmiechu i znów napił się wina. - To bezbarwne piwo jest tak mocne, że polecę na nim wprost do Walhalli.

- Makowy wywar przygotowany - krzyknął pomocnik Fryggvassona.

Sturlurson wziął czarkę i podszedł do umierającego wojownika.

- Dziesięciu i jeszcze pięciu ich zabiłem - powtórzył ranny i pozwolił, aby dowódca napił go odwarem.

Po niedługim czasie dołączył do martwych przyjaciół.

- To była dobra walka, sam powiedz, John! - zamruczał Sigfusson, a potem odwrócił

się do Bjorkedala: - Hej, skaldzie, zaśpiewaj pieśń o tym, jak przebiliśmy się z Johnem przez żółtych, a on pierwszy rzucił mi na plecy tarczę, żeby mnie nie zabili, kiedy pośliznąłem się na krwi.

- Zaśpiewaj, bardzie, o tym, jak uciałem głowę złotemu wojownikowi w czarnej zbroi!

Podniosła się wrzawa życzeń i żądań, której wtórował szum fal, skrzypienie lin i drewna.

* * *

Sverre Bjorkedal wstał ciężko, starając się oszczędzać poranioną nogę. Spod bandaża na udzie nadal przesączała się krew.

- Dziś wieczorem zaśpiewam o wszystkich, ale najpierw o tym, jak rudy Irlandczyk McCathail pokonał przechwalającego się Johna, a potem przegrał dwadzieścia srebrnych z powodu wiadra szczyń!

Ludzie zahuczeli z aplauzem. Siwobrody wojownik z rozciętą piersią odsunął chochlę z odwarem makowym i pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie. Chcę posłuchać tej pieśni, nawet gdybym musiał kwiczeć z bólu jak niedorznięty prosiak - wydusił z trudem.

Bjorkedal wyczarował skądś lutnię i swoim chrapliwym, a mimo to pełnym uczucia głosem zaczął śpiewać.

Kovař przyłapał się na tym, że mimo woli pozwolił wciągnąć się w atmosferę pieśni i znów powrócił myślami do tych chwil, w których z każdej strony groziła im śmierć, gdy przebijali się przez wysokie fale, a sól wody Atlantyku skrzypiała im między zębami.

- I tak to było. - Sverre wziął ostatni akord.

John Kovař ocknął się z transu. Umierający, który odtrącił napój powodujący bezbolesną śmierć, przestał oddychać, ale na jego ustach zastygł uśmiech. Był już po drugiej stronie.

- Brigvassonowie, weźcie kilku ludzi i sprawdźcie ładownie tego wielkiego okrętu -

poleciał Sturlurson. - Dziś będziemy pić i jeść, ile dusza zapagnie, w drogę ruszymy dopiero jutro.

Jarl był blady jak pierwszy śnieg, w walce odniósł niejedną ranę i stracił mnóstwo krwi, trzymał się na nogach tylko dzięki niezwyklej zaciętości.

Skald znów szarpnął struny.

Kovař napił się wody, lecz odmówił kolejnej porcji mocnego wina żółtych ludzi.

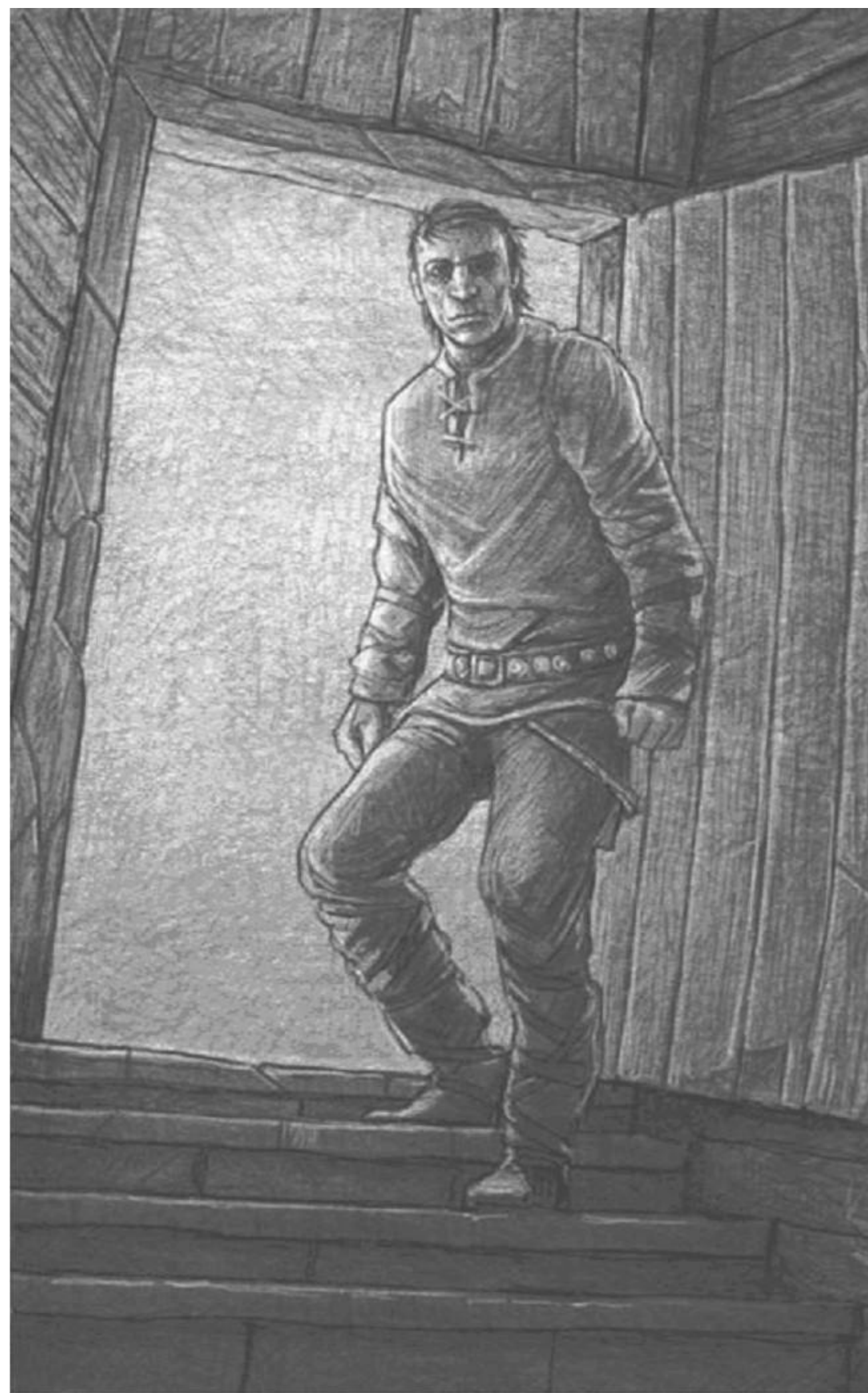
Wiedział, że wieczorem, gdy wszyscy zasną zmorzeni zmęczeniem, bólem i alkoholem, zajrzy jeszcze raz pod pokład i spróbuje dowiedzieć się więcej z dokumentów w kajucie kapitana.

Czas płynął i firmament obracał się jak zawsze. JFK przyglądał się gwiazdom, staremu znajomemu Wielkiemu Wozowi, Gwieździe Polarnej niezmiennie wskazującej północ i innym znanym mu gwiazdozbiorom.

Większość ludzi już spała, tylko na dziobie zabawiało się kilku ostatnich pijących.

Ogień starannie ugaszono, nie żarzyły się nawet węgielki. Wikingowie bali się ognia na łodzi i Sturlurson musiał na początku rejsu użyć całego swego autorytetu, żeby zmusić kucharzy do gotowania. Ci twardzi ludzie zadowalali się zazwyczaj zimnym jedzeniem, nawet podczas długich podróży.

Kovař wstał po cichu. Całe ciało miał obolałe, czuł się tak, jakby go przepuszczono w tę i z powrotem przez rzędy walców, a później dla większego efektu położono na kowadle. Po dwóch miesiącach pobytu w tym świecie działanie specjalnych szczepionek regenerujących siły aplikowanych agentom przed uciążliwą akcją ustało i teraz musiał się opierać wyłącznie na wytrzymałości swego organizmu, którą dzisiaj wykorzystał do maksimum. Jeszcze raz sprawdził, czy jest dobrze przygotowany do wyprawy. Zostawił kolczugę i płaszcz, noszony na wzór wielu wikingów na prawym ramieniu, spięty szpilą. Rękawy bluzy starannie obwiązał wokół przedramion, żeby o nic nie zawadzić, spodnie pod kolanami podwinął w podobny sposób. Miecz również zostawił, ukryty przed niepożądanym wzrokiem. Ktoś mógłby się zdziwić, że tak cenna broń leży bez dozoru. W ciasnych pomieszczeniach pod pokładem miecz tylko by przeszkadzał, zresztą liczył na to, że nikogo nie napotka.



Dopiero potem ukradkiem ruszył do wejścia pod pokład. Kroki stawiał ostrożnie, odzywające się od czasu do czasu trzeszczenie desek ginęło w szumie wody uderzającej o kadłuby obu okrętów.

Otworzył drzwi i wszedł do wąskiego korytarza. Było zupełnie ciemno, a ponieważ nie miał żadnego źródła światła, musiał radzić sobie po omacku. Przez kilka długich minut stał

bez ruchu. Gdzieś przed nim pobrzękiwały bambusowe dzwonki pobudzone do życia łagodnym kołysaniem dżonki, zapach niedawnej walki zdążył się już ulotnić. Okręt nie był

już żywym organizmem pływającym po powierzchni oceanu, lecz opuszczonym drewnianym schronem skazanym na zagładę.

Kovař zaczął powoli posuwać się naprzód, licząc kroki, tak jak to zrobił, wracając na górę po spotkaniu z Jori Losetem. Po piętnastu krokach skręcił w prawo w korytarz prowadzący prosto do kajuty kapitana. Zapach śmierci był silniejszy, tutaj walczone prawie tak samo zaciekle jak na pokładzie i deski nasiąkły krwią.

Ostrożnie pchnął drzwi. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie poddały się naciskowi i pozostały zamknięte.

Kovař znieruchomiał i rozważał sytuację. Nie przypominał sobie żadnego mechanizmu zamykającego, a pamiętał, że zostawił drzwi otwarte. Czyżby była to robota nieprzyjacielskiego agenta? Po chwili wahania zaparł się nogami o podłogę i uderzył mocno w deski ramieniem. Cokolwiek zamykało te drzwi, zostało wyważone. Hałas był dość głośny, ale nie tak donośny, jak się obawiał. Wśliznął się do środka, zamknął za sobą i przez czas potrzebny do dziesięciu wdechów stał w ciemności i czekał. Potrzebował światła. Przez głowę przemknął mu szereg myśli: noktowizor, reflektorek na broni, latarka ręczna, zapalniczka. Niczego takiego nie posiadał. Z trudem opanował się, żeby nie zakląć. Jeśli w przyszłości w kryzysowej sytuacji zacznie rozglądać się za swoim ulubionym HKMP5 z trzydziestoma nabojami kalibru dziewięć milimetrów, to pewnie zapłaci za to brzuchem przebitym czymś mieczem.

Bez dalszej zwłoki zbliżył się do ściany, na której, jak pamiętał, wisiała praktyczna lampa olejowa, zdjął ją, uklęknął i z kieszeni w zanadrzu wyciągnął zestaw do rozniecania ognia. W ciągu miesiąca spędzonego w szpitalu i późniejszej rekonwalescencji odwiedzali go najróżniejsi specjaliści od techniki, rolnictwa, a nawet historycy. Najbardziej rozbawił go profesor Septemba, uczony paleontolog. Z początku wykłady o biologii prehistorycznych dinozaurów wydawały się Kovařowi po prostu zbędne. Aż do chwili, gdy żwawy siedemdziesięciolatek przytaskał ogromną skrzynię pełną łowieckiej i bojowej broni, życząc sobie, aby Kovař na podstawie nabytej już wiedzy określił, gdzie i jaką bronią powinien trafić poszczególne gatunki archaicznych jaszczurów, żeby zlikwidować je jednym strzałem.

Mimo że JFK oddawał się wspomnieniom, jego ręce pracowały metodycznie i rutynowo. Na szyi miał zawieszony kamienny krążek z otworem w środku, w woreczku zaostrzony patyk z twardego drewna i dwie płytki z miękkiego drewna z zagłębieniami oraz skórzany rzemyczek. Patyk osadził w otworze krążka, przycisnął do niego pasek i okręcił

wokół, ścisnął płytkami, na dolną nasypując po omacku szczyptę hubki. Pociągnął za rzemyczek, patyk zakręcił się, powtórzył czynność po raz drugi i trzeci, jakby w zabawie z jo-jo, aż z zagłębienia w górnej płytce zaczął się wydobywać słaby dym. Drewniany pył zatlił

się, przy kolejnym ruchu patyka hubka zajęła się ogniem. Kovař błyskawicznie przytknął

nasączony olejem knot i lampa się zapaliła. Płomień pozornie chwiał się na boki, ale Kovař wiedział, że to nieprawda. W rzeczywistości to okręt kołysał się na falach. Sprzątnął przybory do rozniecania ognia, odwrócił się ku stołowi i kasetkom z dokumentami kapitana. Wszystko leżało na swoim miejscu, jak wówczas, gdy opuszczał kajutę za dnia. Jeśli ktoś się tu wybierał, to jeszcze nie zdecydował się na wyprawę. Kolejny powód do pośpiechu.

Bez namysłu zwinął wszystkie mapy, jakie znalazł. Na ich przejrzenie będzie czas później. Dodał do tego papiery i rysunki wyposażenia agentów oraz ilustrację przedstawiającą dziwnego węża.

W momencie, w którym zdecydował, że przebywa w kajucie zbyt długo, usłyszał

zbliżające się kroki. Odgłos ostrożnego skradania, ale do tego, aby poruszać się po deskach bezgłośnie, trzeba by mieć inne obuwie niż to, które nosili wikingowie.

Nie chciał dać się przyłapać w pomieszczeniu bez możliwości ucieczki. Palcami zgasił

lampę i wysliznął się na korytarz. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, z której strony dobiegał odgłos kroków. Było ciemno i cicho, intruz wyraźnie wyczekiwał. Kovař miał pewność, że nie jest to żaden z wikingów, którzy obawiali się dżonki i za nic nie weszliby w nocy pod pokład. Gdzieś na korytarzu stał przed nim agent drugiej strony, który starał się zmienić ten świat, przestawić zwrotnicę na inny tor. Przypomniawszy sobie, co mówiła Ljuba Bytewska. Zabił naszego człowieka, specjalistę od walki bez użycia broni. I zrobił to gołymi rękami. Oczywiście istniało mnóstwo sposobów, jak wykorzystać łut szczęścia do zapewnienia sobie sukcesu, ale do tego potrzebny był ktoś o wielkiej odwadze i pewności siebie.

Kovař wahał się, czy nie byłoby rozsądniej uciec w przeciwnym kierunku. Spod pokładu na pewno wiodło więcej wyjść. Jednak nie znał dżonki i nie miał światła.

Przypomniawszy sobie o bocznym korytarzu. Jeśli dotrze tam na czas, będzie mógł się w nim schować. Jak najostrożniej postawił pierwszy krok. Deski podłogi zdradziły go jednak, tak jak poprzednio jego wroga. Gdzieś w ciemności ktoś przesuwiał się tak samo jak Kovař. Szedł mu naprzeciw.

Odwagi i pewności siebie rzeczywiście mu nie brakuje, przekonał się JFK.

Aby wyostrzyć słuch do maksimum, zamknął oczy i postąpił krok do przodu. Był

pewny, że poznałby odgłos wyciąganego z pochwy miecza czy noża. Oczywiście, o ile znajdujący się przed nim człowiek nie miał broni już od dawna dobytej. Na tę myśl zjeżyły mu się włosy na potylicy. Królestwo za latarkę, pomyślał. Król Ryszard by się nie ucieszył.

Skupił się na dźwiękach i zapachu. Kolejny krok.

Już był blisko, ostrzegł go zapach skóry, jaki nieznamy rozciącał wokół siebie.

Musiał siedzieć blisko ognia. Kovař podświadomie przyjął bardzo niską postawę bojową, jakiej w innym świecie i w innym czasie używali wojownicy kung-fu w trzcinowych czólnach. Deska zatrzeszczała blisko przed nim. Kovař kopnął nisko nad podłogą, wspierając się o nią ręką jak mistrz capoeiry. Trafił w goleń, może kolano, nie miał pewności. Ani kość, ani staw nie puściły, przeciwnik miał tę nogę odciążoną. Kovař cofnął się błyskawicznie, poczuł podmuch powietrza, instynktownie zablokował cios przedramieniem i natychmiast również drugą ręką. W ostatniej chwili.

Przeciwnik ruszył na niego, starając się dosięgnąć krótkimi uderzeniami bez rozmachu. Chyba nie ma broni, pomyślał Kovař, uchylając się odruchowo. W ostatniej chwili wyczuł, że nadchodzi cios, zbił dłonią łokieć celujący dokładnie pod szczękę. Przez chwilę był w kontakcie z przeciwnikiem, wytrącił tamtego z równowagi i kopnął kolanem w krocze.

Niestety, trafił w udo. Napastnik odwinął się i odpowiedział potężnym kopniakiem. Kovař aż jęknął, gdy cios trafił w dolne żebra. Nie zdołał odbić uderzenia, przed upadkiem uratowała go ściana korytarza, odbił się od niej i poderwał naprzeciw nieprzyjacielowi szybciej, niż obaj się spodziewali. Skłonił się i pochylił, uderzenie musnęło mu skroń, rzucił się jeszcze bardziej do przodu, prawie padając, uderzył przeciwnika ramieniem w żołądek i objął ręką w pasie.

Runęli z głuchym hukiem. Kovař poczuł palce na swojej grdyce. Pozostając w klinczu, trzasnął napastnika pięścią w twarz, poprawił łokciem i uderzył bykiem. Ręka przeciwnika poluzowała chwyt, ale ledwo ledwo uniknął palca celującego w oko. Wykorzystał to, że jedną nogę ma podkurczoną pod siebie, odbił się do przodu i wyrwał ze zwarcia. W tym samym momencie wyciągnął nóż, tak żeby było to wyraźnie słychać, ale nie zwrócił się przeciw nieprzyjacielowi, tylko pobiegł korytarzem na pokład. Ten człowiek był dobry, cholernie dobry i Kovař nie robił sobie złudzeń. Gdyby nie powiódł mu się nagły atak i nie miał więcej szczęścia, niż zasłużył, leżałby teraz w korytarzu martwy, ze zdruzgotaną krtanią, wydłubanymi oczami lub rozbitymi jądrami. A agencja straciłaby następnego pracownika, chociaż on by z tego powodu żałoby nie nosił.

Na zewnątrz zmusił się do oddychania powoli i głęboko i trzymając się w cieniu, wrócił na miejsce, na którym poprzednio leżał. W piersi bolało go piekielnie, wyglądało na to, że ma złamane jedno lub dwa żebra.

Miał nadzieję, że mimo ciemności nocy na środku oceanu spostrzeże, gdzie położy się człowiek, który wyjdzie na pokład dżonki. Ponad godzinę czuwał, oczekując podejrzanego dźwięku, skrzypnięcia drzwi, klątw mężczyzn, o których ktoś się potknie. Nie usłyszał jednak zupełnie nic oprócz niekończącej się pieśni fal i wiatru, z którą mieszało się skrzypienie drewna i szelest podartych żagli wysoko na masztach chińskiego okrętu.

W końcu zrezygnował. Skoro on nie zdołał zidentyfikować przeciwnika, to nieprzyjaciel też nie będzie do tego zdolny. A w odróżnieniu od niego pozyskał z kapitańskiej kajuty mapy i dokumenty. Chociaż ze względu na nieznamość chińskiego na nic mu się one pewnie nie zdadzą. Usnął niespokojnym snem człowieka, który wie, że niebezpieczeństwo jest blisko.



POZDROWIENIE KONTYNENTU

Rano wszystkich obudził mocny głos Sturlursona. Kovař stwierdził, że zazdrości jasnowłosemu wikingowi żelaznej kondycji. Wczoraj śmiertelnie wyczerpany, osłabiony ranami, dziś znów był wodzem w pełni sił.

- Wstawać! Jesteście gorsi niż owce, kiedy spadnie pierwszy śnieg! - głos niósł się po pokładach obu okrętów. - Brigvassonowie sprawdzą wiosła i naprawią, co trzeba, McCathail z Johnem przejrzą podpokład tego dziwnego okrętu, a Fryggvasson im w tym pomoże. Bjorkedal zbierze zapasy, Loset zadba o rannych!

Rozkazy następowały jeden za drugim i po chwili załoga była już w ruchu. Sturlurson znał nazwiska wszystkich członków wyprawy, ich wady i zalety i potrafił umiejętnie to wykorzystać.

- A jeśli te leniwe bliźniaki jeszcze chwilę poleżą, to przysięgam, że tylko oni będą trzymać nocne warty, dopóki nie złapią po jednej syrenie dla każdego chłopca!

Po pokładzie przewaliła się salwa śmiechu, a bracia Olaf i Orm Brigvassonowie starali się udawać, że ciężko pracują.

Kovař wstał z trudem. Bolało go całe ciało, wszystkie mięśnie, a każdy oddech stwarzał taki problem, że nadal nie był pewny, czy nie ma jednak połamanych żeber. Krótki pojedynek w korytarzu poturbował go gorzej niż poprzednia bitwa.

- Oddałbym całe srebro, jakie jest na tej piekielnej łodzi, za filiżankę dobrej kawy - zamruczał.

- Co mówisz? - McCathail odwrócił się do niego.

Kovař ze zdumieniem stwierdził, że odezwał się w staronordyckim.

- No, potrzebuję czegoś porządnego w żołądku. Gorącego, dobrego. Pokrzykiwania Sturlursona od samego rana tego nie zastąpią.

Rudy Irlandczyk kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Pulchne, ciepłe ciało przy boku i ciche szeptanie do ucha, tak ja sobie wyobrażam miły poranek - wmieszał się do rozmowy Fryggvasson. - Arabskie kobiety wiedzą, jak rozbudzić mężczyznę. - Zrobił rozmarzoną minę, widać wspominając lepsze czasy.

- Lepiej weźmy się do roboty, żeby nam jarl nie pokazał, co robi z takimi, którzy nie wykonują jego rozkazów dostatecznie szybko. - McCathail przybrał obojętny wyraz twarzy.

Wikingowie nie odpuszczali sposobności do zamienienia kilku słów lub zdań o kobietach, które przydarzyło im się poznać w łóżu. Irlandczyk był pod tym względem inny.

Kovař zamierzał kiedyś zapytać go o to.

Weszli pod pokład tylnym wejściem. Przednie zastrzegł dla siebie Sturlurson z kilkoma ludźmi. Słusznie przewidywał, że kapitan miał swoją kajutę gdzieś w pobliżu i chciał

ją przejrzeć.

Kovař był pełen podziwu dla pomysłowości i poziomu myśli technicznej starożytnych Chińczyków. Poszczególne przedziały okrętu oddzielono od siebie grodziami wodoszczelnymi, rozwiązaniem technicznym, jakie zachodnioeuropejscy budowniczowie okrętów zaczęły stosować setki lat później. Ściany korytarzy ozdobiono kolorowymi malowidłami. Ich motywy zmieniały się stosownie do przeznaczenia poszczególnych części okrętu. W porównaniu z drakkarem był zdumiewająco duży, a sądząc po wyposażeniu, służył

celom wojskowo-dyplomatycznym. Większość przestrzeni zajmowały kajuty dla załogi, żołnierzy, pomieszczenia na broń, zapasy, magazyny narzędzi i materiałów. Kajuty dla dowódców znajdowały się w tej części, którą przeglądał Sturlurson.

- Tu mamy kolejną drabinkę na dół. Postawię pintę najlepszego piwa przeciw duńskim szczynom, że tam na dole będziemy już pod powierzchnią morza - mruknął niezadowolony McCathail.

Fryggvasson przechylił lampę olejową tak, żeby rzuciła jak najwięcej światła na dół.

- Balast kilowy, może jeszcze jakieś zapasy, więzienie. Sądząc po smrodzie, jaki stamtąd ciągnie, nic innego tam nie ma. A pod powierzchnią już dawno jesteśmy, i to dobrych dziesięć stóp, nie musisz się obawiać, dzielny Irlandczyku - powiedział obłudnie.

- Skąd to możesz wiedzieć, ty nędzny czarodzieju? - McCathail nie opuścił okazji do przytyku.

- Zmierzyłem wysokość jednego stopnia schodków i policzyłem, o ile szczebli zesziłszy. Potem to

sobie pomnożyłem.

- Żaden uczciwy człowiek nie umie mnożyć. Kiedyś zapłacisz za te swoje czary. -

McCathail splunął, lecz nachylił się z ciekawością nad włazem na niższy poziom. - Ale nieźle byłoby zajrzeć do więzienia tego dziwnego okrętu.

W tej samej chwili Kovař uświadomił sobie, że słyszy brzęczenie łańcucha. Popatrzył na Irlandczyka, który nic nie mówił.



Zeszli na samo dno, sądząc po ukośnie biegnących ścianach, aż do kilu. Pod nogami zapluskala im woda, która, co dziwne, nie śmierdziała. Kilka kroków przed nimi w świetle lampy ukazała się jasna drewniana krata. Kovař poznał bambus. Klatka była mała, mieścił się w niej ledwie jeden człowiek.

W pierwszej chwili byli przekonani, że znaleźli trupa, ale w wychudzonej twarzy pojawiły się nagle dwa błyszczące punkty, oczy, w których odbijało się światło. Więzień pozostał więc przy życiu. Był to Chińczyk, tak samo jak ponad trzystu innych, których wczoraj pobili.

- Wygląda na to, że dość długo tu siedzi - mruknął McCathail. - Nie podoba mi się zamykanie ludzi w klatkach. Może powinniśmy mu pomóc.

Nie wyciągnął miecza, tylko sięgnął po nóż.

- Szybko pójdzie - uspokajająco mruknął do więźnia, choć ten wyraźnie nic nie rozumiał.

Ale gest pojął, bo z rezygnacją opuścił ramiona.

- Sturlurson posłał nas tu, żebyśmy przynieśli wszystko, co jest ciekawe. Ten więzień jest ciekawy. Dlaczego w ogóle go zamknęli? - powiedział Fryggvasson z zadumą.

Kovař się nie odzywał. Wędrowny wiking w odróżnieniu od swoich współplemieńców czasem nie wyrażał się wprost i pozostali przyzwyczaili się rozważać jego słowa.

- Dobrze, zabierzemy więźnia na górę, niech Sturlurson sam go zabije - zgodził się McCathail bez protestu. - Przynajmniej nie będę musiał czyścić noża.

Rozbicie klatki zajęło im tyle czasu, że wrócili na drakkar ostatni. Jeśli Sturlurson ze swoimi ludźmi przyniósł coś z dżonki, to zostało już dawno schowane. Znalezione złoto jarl przeznaczył dla całej załogi, żeby każdy miał pewność, że nie ominie go jego część. Poza złotem i srebrem nic wikingów nie interesowało.

Teraz z ciekawością przyglądali się półnagiemu Chińczykowi w pętach.

- Naprawdę jest żółty. A ja myślałem, że oni tak zżółkli po śmierci - zauważył któryś.

- I mały. Jak tacy mali ludzie dali radę zbudować taki wielki okręt? - zastanawiał się Sigfusson.

McCathail przyprowadził jeńca przed Sturlursona, cofnął się o krok i puścił łańcuch, na którym go dotąd trzymał. Równocześnie wyciągnął toporek. Kovař widział rudego Irlandczyka w walce i wiedział, że jeśli jarl wyda rozkaz, Chińczyk nie zdoła zrobić ani jednego kroku.

- Skąd przyplłynęliście? Czy jesteście ludźmi? Kto wami rządzi? - pytał Sturlurson, starając się wyraźnie artykułować każde słowo.

Kovař zdawał sobie sprawę z absurdalności tych pytań. Pomiędzy chińskim a staronordyckim nie było niczego wspólnego, żadnej najwęższej kładki. Jarl nie miał szans na porozumienie.

- Co umiesz? - wiking zadał następne pytanie, wskazując palcem jeńca.

Wydawało się, że człowieczek właściwie zrozumiał gest. Albo zdecydował się zagrać va banque, jako że wśród bandy uzbrojonych po zęby ludzi, którzy niedawno zabili wszystkich jego

pobratymców, nic innego mu nie pozostało.

Uklonił się, aż długi warkocz zawiązany na ciemieniu opadł na pokład ponad połowę swej długości. Potem wyprostował się, rozejrzał i bez śladu strachu ruszył ku rannemu wikingowi leżącemu nieopodal. Był to starszy mężczyzna. Kovař zamienił z nim kilka słów podczas podróży. Nazywał się Hardulf Sven i miał córkę, którą zgwałcił syn sąsiada. Na zgromadzeniu starszyzny nie znalazł sprawiedliwości, bo ojciec winowajcy był bogaty i miał

wielu wpływowych krewnych. Dlatego pewnego dnia z bratem i dwoma synami napadł na siedzibę nieprzyjaciela. Z powodzeniem. Zabił gwałciciela i wszystkich jego krewniaków, którzy chwycili za broń. Żeby nie płacić pogłównego i zachować majątek dla swoich synów, wypłynął na morze, gdzie nie obowiązywało zwyczajowe prawo. W bitwie z Chińczykami odniósł szeroką na trzy dłonie ranę brzucha. Nie miał cebulowej choroby, lecz Fryggvasson zawyrokował, że i tak umrze. Miał zbyt potłuczone narządy wewnętrzne.

Chińczyk ukląkł przy rannym i zręcznymi ruchami zaczął odwiązywać bandaż.

McCathail spojrział na Sturlursona, ten jednak z zainteresowaniem śledził poczynania jeńca.

Irlandczyk wzruszył ramionami i zawiesił toporek u pasa.

Jeniec odkrył z grubsza zszytą ranę, mruknął w swym języku coś wyraźnie pogardliwego, obwąchał ją i wyciągnął rękę w bok ruchem tak jednoznacznym, że Kovař aż się uśmiechnął. Taki sam gest wykonywali chirurdzy tysiąc lat później.

Fryggvasson, którego robota została tak źle oceniona, zachował spokój.

- Chce nóż, ostry nóż - powiedział i sięgnął do pasa.

- Nikt nie ma ostrzejszego noża ode mnie - oznajmił chełpliwie McCathail i podał jeńcowi własną broń.

Chińczyk przyjrzał się jej, pokiwał głową, podszedł śmiało do ognia i przeciągnął

kilka razy klingę przez żarzące się węgle. Znow pochylił się nad rannym gotowy do cięcia.

- Zostawcie go - Sven słabym głosem powstrzymał wikingów, którzy ruszyli mu na pomoc. - Jeśli już mam umrzeć, to mogę się przed tym trochę zabawić.

Chińczyk otworzył ranę, pociekła krew zmieszana z ropą. Stanowczym gestem wskazał worek ozdobiony czerwonymi i niebieskimi wizerunkami smoków, który w charakterze łupu przynieśli ludzie pod wodzą Sturlursona.

Zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować, Fryggvasson podał mu worek.

Wikingowie patrzyli zafascynowani. Co żółty cudzoziemiec zrobi z rozprutym Svenem?

Worek zawierał środki do opatrywania ran pielęgniarza, a raczej lekarza, jak zmienił

pierwotną opinię Kovař, zobaczywszy znakomicie wykonany zestaw noży, igieł i nici.

Chińczyk przez chwilę grzebał w ranie, potem wsunął Svenowi pod język ciemny kryształ i ranny wkrótce zasnął. Cała operacja trwała dobrą godzinę, podczas której przyglądający się z zaciekawieniem wikingowie zachowali całkowite milczenie. Fryggvasson asystował

Chińczykowi i jakimś cudem zdołał przewidywać, jakiej pomocy jeniec właśnie zażąda.

W końcu Chińczyk wyprostował się i mimo niepewnej sytuacji, w jakiej się znajdował, na jego twarzy pojawił się wyraz dumy z zabiegu, którego właśnie dokonał.

Fryggvasson ze znużeniem zwrócił się do jarla:

- To lekarz. Jeśli zaopiekuje się rannymi, do jutra umrze ich nie dziesięciu, jak przypuszczałem, a ledwie połowa. Svenowi też pewnie się uda.

Wikingowie zahuczeli z uznaniem. Wszyscy spodziewali się, że zawzięty Sven nie przeżyje.

- Ten lekarz jest lepszy nawet niż Abu Ali Ibn Sina - ciągnął Fryggvasson.

Kovař nie był pewny, miał jednak wrażenie, że usłyszał nazwisko jednego z najsławniejszych lekarzy arabskich. W tym świecie urodził się zapewne kilkadziesiąt lat wcześniej niż w jego własnym.

Chińczyk ożywił się.

- Lekarz, lekarz - powtórzył po Fryggvassonie i wskazał na siebie.

- Kto zaręczy, że ta żółta skóra nie będzie nam szkodzić? - zapytał się Sturlurson, rozglądając się po załodze.

- Powinniśmy go zabić - odezwał się Jori Loset. - Ma dziwny kolor, porządni ludzie nie mogą mieć takiego.

Wielu członków załogi przytaknęło.

- Ja za niego zaręcę - oznajmił Kovař, patrząc prosto na Loseta.

Tylko on mógł się mu sprzeciwić. Był lubiany wśród pozostałych i miał opinię niebezpiecznego wojownika.

- Skoro John się tego podjął, to sprawa załatwiona - zakończył Sturlurson. - Odwiążcie Morską Żmiję, a tę ogromną bestię spalcie. Nie chcę jej już spotkać na morzu.

Kovař wiedział, że ryzykował swoim wystąpieniem. Mógł skierować na siebie uwagę obcego agenta. Z drugiej strony Fryggvasson znał trochę arabski, a wydawało się, że Chińczykowi też ten język nie

jest zupełnie obcy.

Może udałoby się dowiedzieć, co było napisane w dokumentach, które z takim trudem pozyskał.

Przez kolejne pięć dni pogoda im sprzyjała. Wiał rzeński północno-zachodni wiatr, który pędził łódź do przodu, na zachód. Kovař nie chciał zbyt ingerować w nawigację Sturlursona, więc sam z sobą robił zakłady, czy dotrą na wybrzeże amerykańskie bardziej na północ, w obszarze Zatoki Hudsona, czy Zatoki Świętego Wawrzyńca. Ta druga możliwość wydawała się dogodniejsza, bo bardziej na południe klimat stawał się łagodniejszy, a z tego, czego zdążył nauczyć się przed misją, wiedział, że w okolicy Rzeki Świętego Wawrzyńca mają większe szanse natrafić na plemiona indiańskie trudniące się nie tylko łowiectwem, lecz również uprawą roli i rybołówstwem. Mimo to nie wiedział, jak ma wypełnić główny cel misji, jakim była pomoc wikingom w nawiązaniu przyjacielskich stosunków z rdzennymi mieszkańcami tych ziem.

Co gorsza, nie potrafił sobie nawet tego wyobrazić. Mężczyźni, z którymi pływał, stanowili najbardziej nieokrzesaną i najdzikszą bandę, z jaką się kiedykolwiek zetknął. Na swój sposób honorową i stosunkowo uczciwą bandę, o ile można było mówić w tych kategoriach o średniowiecznych piratach, których od śmierci dzieliło tylko ostrze ich broni.

Chyba że Indianie okażą się ulepieni z tej samej gliny.

Kovař oparł się o burzę, splunął w szybko uciekającą do tyłu wodę i zamyślony spoglądał na zachód, gdzie spodziewał się dojrzeć wybrzeże. Wiedział, że Huroni, Algonkinowie czy Irokezi nie umieli wytwarzać żelaza i z tego powodu mogą być dla wikingów łatwym kąskiem. Ale mnóstwo małych kąsków może udusić nawet słońca.

Równie dobrze mogli napotkać któreś z walecznych plemion, na których istnienie przygotował go Haveti, antropolog agencji. Utrzymywał on, że o Ameryce sprzed roku tysięcznego posiadają tak mało wiadomości, że wszystko jest możliwe.

- Ziemia już blisko - wyrwał go z rozmyślań Spar Gurgysson.

- Widziałeś jakieś ptaki? - zapytał Kovař.

- Nie, ale w wodzie pływa pełno ryb. Pośrodku oceanu jest jak na pustyni. A tu wszędzie wokół nas życie aż kipi - odparł krępy mężczyzna i uśmiechnął się szeroko. - Byłby tu obfity połów - dodał jeszcze.

Jakby na potwierdzenie jego słów kilkaset metrów od drakkara wynurzył się szary przedmiot w kształcie cygara, niewiele tylko mniejszy od łodzi. A za nim kolejny i kolejny.

Znaleźli się pośród stada wielorybów.

- Te są ogromne! - zakrzyknął Gurgysson, a inni pospiesznie kreślili w powietrzu znak tego boga, którego uważali za swego patrona.

Kovař przełknął ślinę, bo zdołał sobie wyobrazić, jak skończyłoby się spotkanie kruchej łodzi z

którymś z tych kolosów.

- Są nadzwyczajne - mówił dalej Gurgysson jakby w uniesieniu. - Za duże na to, żeby dało się je złować, ale to nie szkodzi.

Kovař stwierdził, że wikingowie nigdy nie przestaną go zaskakiwać. Dopatrywali się piękna tam, gdzie nikt by się tego po tak prymitywnych ludziach nie spodziewał.

Chiński lekarz, który, jak sam mówił, nazywał się Li Cheu, stanął wraz z Fryggvassonem blisko nich i też obserwował stado wielorybów.

- Mówi, że za chwilę zobaczymy ziemię. Ma to być ogromna wyspa. Podobno niedobrze jest zostawać na niej zbyt długo. Zima jest tam bardzo surowa - półgłosem powiedział wiking.

- Już się dogadaliście? - zainteresował się Kovař.

- Niezbyt dobrze. Każdy z nas zna trochę arabski. Arabię odwiedzili przed dwoma laty, a ten mały żółtek uczy się języków jak nikt inny - wyjaśnił Fryggvasson z nutą zawiści.

- Nie być żółtek, być Chińczyk Li Cheu - oznajmił poważnie lekarz.

- Mówię ci, jednego dnia powiesz mu, że jest śmierdzącym tyłkiem, a on na drugi dzień powie ci, że jesteś pachnąca rzyć pełna zepsutych ryb - z pozornym zniechęceniem pokręcił głową Fryggvasson i spróbował kilku słów po chińsku.

Li Cheu roześmiał się.

- Co mu powiedziałaś? - chciał wiedzieć Spar.

- Że jest taki sam bękart jak jego ojciec, król królów - odparł Fryggvasson.

- Ale tego na pewno mu nie chciałaś powiedzieć - zaśmiał się Kovař.

- Nie, chciałem powiedzieć: taki sam bękart jak jego ojciec, król wszystkich sraczy, ale w tej ich gmatwaninie dźwięków wszystko brzmi tak samo.

- Ziemia, ziemia na lewej burcie! - krzyknął Olaf Brigvasson stojący na dziobie na stopniu wyciętym w figurze węża zdobiącego łódź.

Fryggvasson i Li Cheu zaprzestali żartów i pośpieszyli do Sturlursona. Kovař zdawał

sobie sprawę, że o ile rzeczywiście to jest wyspa, to prawdopodobnie Nowa Fundlandia albo Wyspa Baffina, w zależności od tego, gdzie się znajdują. W każdym razie wylądować na niej nie byłoby zbyt korzystnie.

Sturlurson, o dziwo, uważnie wysłuchał Fryggvassona, z trudem tłumaczącego wypowiedź Li Cheu, i zwrócił drakkar w kierunku południowo-zachodnim. Ziemia z lewej burty przybliżała się stopniowo,

już mogli rozpoznać strome zbocza opadające wprost ku powierzchni morza. Pomiędzy ciemną zielenią drzew iglastych majaczyły jasnoszare skały, na których jeszcze teraz, w końcu lipca, na stokach zwróconych na północ leżały białe połacie śniegu.

- To nie jest zła ziemia - mruknął Sven, któremu skutkiem starań medycznych Li Cheu wracały na twarz kolory. - Owce na pewno by się wyżywiły, a tam, wewnątrz, może i krowy.

- Ale to nie Vinlandia, tu wino na pewno nie rośnie - pokręcił głową McCathail. -

Irlandia jest bardziej gościnna niż ta ziemia, a i tam wino nie rośnie.

Kovař w milczeniu próbował ocenić, jak daleko na północ się znaleźli. Jeśli gdzieś około pięćdziesiątego stopnia szerokości północnej, to Sturlurson dobrze trafił i w ciągu najwyżej dwóch dni powinni natknąć się na cieśninę koło wyspy Belle. A stamtąd w krótkim czasie dostaliby się do Zatoki Świętego Wawrzyńca.

Pogoda jakby na jakiś czas odmieniła swoje nieprzyjazne oblicze, nadal wiał pomyślny wiatr, a fale były mniejsze niż przez ostatnie tygodnie.

Na drugi dzień brzeg przesunął się na południe, Sturlurson pozwolił mu zniknąć za horyzontem i w dalszym ciągu uporczywie sterował na zachód. Kilka godzin obserwowali na północy zamglone szczyty górskie i wtedy Kovař dokładnie zorientował się, gdzie się znaleźli. Wpływali przez cieśninę obok wyspy Belle do Zatoki Świętego Wawrzyńca, wgrzającej się głęboko w kontynent amerykański. Sturlurson, prowadzony intuicją doświadczonych żeglarzy, nie dał się skusić wyspą i dzięki utrzymaniu początkowego kursu widział teraz przed sobą ląd kontynentu, a nie wyspy Nowej Fundlandii. Woda utraciła szary kolor, wydawała się raczej niebieska, bez trudu dało się w niej spostrzec ławice ryb. Z czasem przywykli do widoku wielorybów i zainteresowanie obudziły dopiero stada morsów i fok.

Sverre Bjorkedal wyrzucił za burtę skórzane wiadro na linie i wyciągnął pełne wody.

Nabrał trochę dłonią i ostrożnie wypił.

- Nie jest tak słona, jak powinna. Gdzieś blisko jest rzeka, duża rzeka.

Przed zachodem słońca sokoli wzrok Loseta wypatrył mniejszą zatokę rozciągającą się w kierunku północno-wschodnim, przez co doskonale chroniącą przed przeważającymi wiatrami wschodnimi lub zachodnimi. Sturlurson nakazał zwinąć żagiel i drakkar, tylko na wiosłach, cicho wśliznął się na spokojne wody.

Dwa dni żeglugi wystarczyły, aby krajobraz zupełnie się zmienił. Łądu już nie pokrywał północny, przeważnie iglasty las, a o wiele bardziej różnorodny las mieszany, o wszystkich możliwych odcieniach zieleni. Brzeg nie był skalisty, lecz lądowanie na kamienistej plaży, na której znajdowały się ostre granitowe progi, wymagało całego doświadczenia dowódcy. Ledwie kil dotknął dna, jarl rozkazał dwudziestu ludziom wskoczyć do wody. Przeciągnęli łódź jak najdalej się dało, a potem wspólnymi siłami całej załogi wywlekli ją na brzeg, poza wyznaczoną przez morszczyń granicę

przyływu.

Kovař otarł z czoła pot zmieszany z morską wodą. Należał do grupy trzymającej straż, podczas gdy pozostali zakładali obóz i gromadzili drewno na ogniska. Poza pasem kamienistej plaży znajdował się około stumetrowy odcinek wyraźnie soczystej trawy, a dalej, jakby go tam ktoś zasadził, rósł las. Nie, puszcza albo bór, których nigdy jeszcze nie tknęła siekiera drwala.

Głęboko odetchnął. Wiatr przynosił zapach żywicy, pobekiwanie sarny, nawet woń rozkładającej się padliny. To były zapachy dziewiczej ziemi, na której człowiek nie odcisnął

jeszcze najmniejszego piętna. Jeśli na niej żyli, to tylko dlatego, że szanowali jej prawa.

Kovař poczuł, jak jeżą mu się włosy na potylicy. Stwierdził, że znowu ostrożnie, z uwagą wciąga powietrze głęboko do płuc. Obudził się w nim dziki łowca, mieszkaniec pralasu.

Napełniło go to jakąś niezrozumiałą, trudną do zaspokojenia tęsknotą. Przypomnił sobie jedno z ostrzeżeń Bytewskiej: „Jeśli znajdzie pan coś, co panu zagra w duszy, to niech się pan postara, żeby ta struna nie dźwięczała zbyt głośno. W przeciwnym razie zniknie pan, przestanie być Johnem Francisem Kovařem, a stanie się kimś innym, w innym świecie i w innym czasie”. Teraz rozumiał, dlaczego miała wtedy taki zamyślony i rozmarzony wyraz twarzy. Sama musiała doświadczyć podobnego przeżycia. A teraz Kovař poczuł zew tej dzikiej, dziewiczej ziemi. Nie była pusta, żyli na niej Indianie. W odróżnieniu od wikingów choćby z grubsza spodziewał się, czego może od nich oczekiwać.

Straż, jaką pełnił Kovař, skończyła się, z chwilą gdy wrócili ludzie wysłani na zwiady.

Sturlurson wybrał ich, bo pochodzili z południa Szwecji i byli przyzwyczajeni do poruszania się po dziewiczym borze. Cała trójka była uzbrojona w łuki długie na ponad sześć stóp i dobrze umiała się nimi posługiwać. Każdy niósł przerzuconego przez ramię upolowanego jelonka.

- Jak okiem sięgnąć nie ma tu żadnych ludzi - powiedział jeden z nich, zwracając się do Kovařa. - Zwierzyna zupełnie nie boi się człowieka i po prostu je z ręki. Jeśli nas Sturlurson puści jeszcze raz do lasu, wszyscy będziemy mieli świeżą dziczyznę.

Kovař tylko kiwnął głową. Indianie będą zamieszkiwać w najdogodniejszych ku temu miejscach, to znaczy w pobliżu Rzeki Świętego Wawrzyńca, stanowiącej wygodną drogę wodną i źródło pożywienia.

Na drugi dzień opuścili zatokę. Musieli naprawić maszt i wymienić kilka desek, a w pobliżu nie znaleźli odpowiedniego drewna. Przez cały dzień pomału płynęli na zachód, znów mieli brzeg po lewej i po prawej burcie. Niektórzy przypuszczali, że płyną deltą ogromnej rzeki, ale woda pozostawała nadal częściowo słona, a na wybrzeżu widoczne były ślady przyływów i odpływów. To zjawisko jednak można było zaobserwować w przypadku wielkich rzek nawet dość daleko w głębi lądu. Kovař nie miał pewności, ale przypuszczał, że przepływają obok wyspy Anticosta. Żałował, że nie poświęcił więcej uwagi geografii tych okolic.

Po dwóch dniach znaleźli zatokę, która spodobała się Sturlursonowi. Kobieta, ze skałkami na zachodzie i wschodzie oraz bagnistą plażą na północy. Tutaj także kilkadziesiąt metrów od brzegu rósł nieprzebyty bór. Drzewa były o wiele wyższe niż na poprzednim kotwiczowisku. Ogromne jodły, jawory, buki, w suchszych miejscach poprzetykane białymi pniami brzoź. Dziewiczy las zachęcający do łowów.

- Naprawimy łódź, uzupełnimy zapasy - zarządził Sturlurson i rozdzielił robotę między ludzi.

Kovař z Fryggvassonem i McCathalem mieli zbadać okolicę bez zajmowania się łowami. Ich zadaniem było znalezienie jakichkolwiek śladów obecności ludzi. Wyruszyć zamierzali dopiero następnego dnia, bo choć noce były jeszcze krótkie i niezbyt ciemne, jak wszędzie na północy, to nikt przy zdrowych zmysłach nie poszedłby w nieznaną przed północą. Oprócz tego Sturlurson zdecydował, że wypiją resztę piwa, a nikt nie chciał stracić nawet kilku łyków smacznego napoju.

- Czy to mądrze? - zastanawiał się Gurgysson, idąc po dzban. - Potrzeba napicia się piwa często przeniesie człowieka przez największe przeszkody, jakie zgotuje mu los. Jak go zabraknie, to aż tak bardzo nie będzie się nam chciało żyć.

- To nie tak - zaśmiał się Bjorkedal, który wyciągnąwszy nogi w stronę ognia, trącał

struny lutni. - Prawda, takim ludziom jak ty piwo dodaje sił w drodze ku nieznanemu, z tym się zgadzam. Ale w drodze powrotnej wystarczy myśl o domu.

Kilku ludzi zaśmiało się głośno, inni pozostali zasmuceni.

- O ile masz dokąd wrócić - rzekł półgłosem McCathail.

Kovař rzucił mu krótkie spojrzenie, ale doszedł do wniosku, że to nie jest odpowiedni czas na pytania. Wokół było aż nadto ciekawych uszu, a Irlandczyk uchodził za zamkniętego w sobie.

- I jeśli ty chcesz wracać - uzupełnił Li Cheu, ziewając. - Wasza piwo straszna, ale jak nic inne nie ma, też dobra.

Spośród pacjentów Fryggvassona uratował wszystkich z wyjątkiem jednego, który miał pecha, że nie zginął od razu w bitwie. To zapewniło Chińczykowi poważanie wszystkich wikingów, a Sturlurson przyjął go do załogi. Tylko Jori Losetowi nadal się nie podobał, ale nigdy nie oponował przeciw decyzji jarla.

Zamyślony Kovař obserwował ludzi wokół siebie. Jak się domyślał, tylko niewielu z nich tęskniło do domu. Wydawało się, że było to jednym z kryteriów, jakie brał pod uwagę Sturlurson, kompletując załogę. Jednak skoro chciał się tu osiedlić, a nie zabrał ze sobą żadnej kobiety, to oznaczało, że wiedział więcej, niż okazywał. Wiedział, że żyją tu ludzie. Kto ze starych wikingów dotarł aż do Ameryki, do Vinlandii? Najślawniejsze dni Leifa Eriksona miały dopiero nadejść. Nieprzyjacielski agent z pewnością również dostrzegł staranne, choć skryte przygotowania jarla. Co robi? Jeżeli miał ustanowioną drogę ucieczki wprost z Ameryki, to może spróbować zniszczyć całą wyprawę. Zatruc wodę lub jedzenie. Jeżeli jednak musi wrócić do Norwegii, byłoby to działanie samobójcze. Jedyną

możliwość stanowiłoby przymuszenie wikingów do powrotu, na przekór tajnym planom doświadczonego Sturlursona.

- Chyba krótko przed lądowaniem widziałem dym w pobliżu brzegu - powiedział

McCathail tak cicho, żeby poprzez trzaskanie ognia mogli go usłyszeć tylko Kovař i Fryggvasson.

- Też widzieć - przytaknął Li Cheu.

- Żółta skóra ma słuch jak ryś, a zachowuje się jak tchórz - mruknął rozzłoszczony McCathail.

- Ruda głowa szepcze jak uliczny kramik - Chińczyk nie pozostał dłużny.

- Kramik? - nie rozumiał Fryggvasson.

- Kobieta sprzedaje towar na ulicy - wyjaśnił Li na pół po arabsku, na pół w staronordyckim.

- Chodzi mu o sprzedawczynię - domyślił się wiking i McCathail zarechotał.

- Jarl mówił ze mną o naszej wyprawie - rzekł po chwili cicho Fryggvasson. - Nie powinniśmy dać się zauważyć, a jeśli tak się stanie, za żadną cenę nie wolno nam walczyć.

Przychodzimy w pokoju.

Kovař oczekiwał jakiejś uwagi ze strony wojowniczego zazwyczaj Irlandczyka, lecz McCathail tylko przytaknął.

- Powinniśmy iść spać, jutro czeka nas długi dzień.

Zasnęli rozłożeni wokół ogniska. Kovař uświadomił sobie, że chociaż nie wie, co go czeka i jakim niebezpieczeństwem będzie musiał stawić czoła, mimo wszystko czuje się całkiem zadowolony. Jak już od dawna nie był.



SKRÄLINGAR

Rano wyruszyli wczesnie, gdy tylko wstał pierwszy brzask, a oni zdołali w słabym świetle dostrzec źdźbła trawy. Wartownicy dopiero budzili ludzi odpowiedzialnych za rozniecenie ognia i przygotowanie czegoś ciepłego do jedzenia, a Kovař z McCathilem i Fryggvassonem już zostawili obóz za sobą. Szli lekko ubrani, bez kolczug, tylko Fryggvasson wziął ze sobą miecz. Irlandczyk polegał na jednym ze swoich toporków, a Kovař zadowolili się scramasaksem, długim nożem bojowym. Ponadto każdy niósł oszczep.

Z początku bór wydał im się nieprzebyty i mieli wrażenie, że każdy krok okupują takim wysiłkiem, jakby przedzierali się przez krzewy. Jednak im dalej od brzegu, tym drzewa były wyższe i szło się im wygodniej, musieli tylko co chwila przełazić przez zwalone pnie ogromnych drzew, których czas już przeminął.

Szli cicho, w milczeniu, uważnie śledząc otoczenie, i często przystawali. Kovař i Fryggvasson polegał głównie na wzroku, McCathail podczas przystanków długo węszył z zamkniętymi oczami.

- To bardzo bogaty kraj - zamruczał. - A ludzi tu niewielu - dodał po jakichś dwóch godzinach marszu.

Kovař nie podjął rozmowy. Las wydawał mu się dziwnie znajomy, a równocześnie obcy. Rosły tu dobrze mu znane drzewa, jawory, buki, wysokie jodły, a w miejscach wystawionych na działanie niesprzyjających warunków atmosferycznych wytrzymałe świerki kanadyjskie. Obcość przejawiała się w dzikości, niedostępności terenu i obfitości zwierzęcych tropów, które były widoczne w wilgotnej glebie.

Nad potokiem, który można było nazwać rzeczka, zatrzymali się i zaczęli żuć kawałki solonego mięsa zabranego na drogę. Nie było smaczne, ale chcieli uzupełnić zapas energii.

Nagle kolor wody zmienił się raptownie, zauważyli to jednocześnie.

- Na Thora - wychrypiał Fryggvasson.

Wydawało się, że rzeczka jest pełna ryb, tak pełna, że z pozoru nie zostawało w niej już miejsca na wodę. Wszędzie roiło się od srebrzystych podłużnych kształtów, starających się przeciwstawić prądowi potoku.

- Łososie płyną na tarło - rzekł Kovař, przyglądając się zafascynowany.

- Idziemy - powiedział nagle McCathail. - Raczej nie chcemy się zaprzyjaźnić z tymi tam kudłaczami. Ryb wystarczy dla wszystkich, ale one mogą pomyśleć co innego.

Teraz Kovař też poczuł zapach wielkiego drapieźnika przyniesiony z wiatrem. Co innego oglądać ogromnego grizzly w ogrodzie zoologicznym, a nawet spotkać go z ciężkim sztucerem w ręce i zapasowym rewolwerem dużego kalibru. Ale zupełnie czym innym jest takie spotkanie dla uzbrojonego w oszczep, który naraz wydaje się bronią lichą i użyteczną nie bardziej od wykałaczki.

Wynieśli się jak młodzieniec z łóżka urodziwej dziewczyny, gdy nastaje świt, i poszli dalej.

Oddalili się od brzegu na dwie, trzy mile, żeby lepiej poznać okolicę, lecz nadal wytrwale posuwali się w kierunku, w którym poprzedniego wieczoru zauważyli nikły słup dymu. Kovař mógłby przysiąc, że już dawno minęli to miejsce, ale Fryggvasson i McCathail aż do popołudnia byli pewni, że cel jest jeszcze wciąż przed nimi.

- Na łodzi wszystko wydaje się blisko, a my musimy przejść kawał drogi, żeby dotrzeć tam, gdzie chcemy - nie pozwolił się przekonać McCathail, a drugi wiking tylko kiwał głową na znak, że się zgadza.

Na polance powstałej w miejscu, gdzie przewróciły się niedawno trzy buki, zrobili postój. Pnie zapewniały naturalną osłonę, trawa wydawała się miękka i sucha.

- Dobre miejsce na nocleg - Kovař wyraził opinię za wszystkich trzech.

- Rozpalę ogień - dodał Fryggvasson i rozejrzał się za suchym chrustem.

- Pójdziemy spać bez ognia. Nie chcemy przecież, żeby nas ktoś znalazł - powstrzymał

go Kovař, rozgniatając jednocześnie moskita, który usiadł mu na czole. Jakby na komendę, nagle pojawiło się ich całe mnóstwo. Wszyscy trzej zaryli się w trawę, jak mogli najstaranniej przykryli gałęziami, a twarze posmarowali błotem. Pomogło, choć najważniejsze pozostało zachowanie stoickiego spokoju.

Leżeli obok siebie, w pogłębiającym się cieniu szybko następującego zmroku. Kovař dopiero teraz poczuł, że mieli za sobą ciężki dzień. Trudna droga przez pralasnę nie była miłą przechadzką. Chciał zapytać McCathaila, jak daleko są od wybrzeża, kiedy wyczuł, że cisza zmieniła się w pełne napięcia oczekiwanie. Za chwilę też to usłyszał. Szelest odgarnianych kęp trawy, cichy bulgot wody, gdy ktoś

wszedł w niewidoczną kałużę. Położył dłoń na rękojeści scramasaksu i sprawdził, czy ma pod ręką oszczep. Nie widział go w trawie, ale wiedział, gdzie sięgnąć. Grot skierował w kierunku przybliżających się odgłosów.

Ukazali się, przechodząc wolno pomiędzy bukiem, którego gałęzie wyrastały z pnia kilka metrów nad ich głowami, a gęstwiną krzewów dzikiej róży. Smukli, żyłaści, z wygolonymi ciemieniami i ciemnymi włosami splecionymi w długie, cienkie warkoczyki.

Było ich czterech, każda dwójka niosła na zrąbanych drągach młode jelonki. I kilka dużych ptaków podobnych do indyków. Ich przywódca, lekko przygarbiony mężczyzna z trzema rytualnymi bliznami na lewej połowie twarzy, zatrzymał się przed wkroczeniem na polankę, przez chwilę węszył niczym dzikie zwierzę, ale w końcu ruszył w poprzednim kierunku.

Indianie. Nie tacy, jakich znał z historyjek dla młodzieży, z wyidealizowanych książek Karola Maya lub późniejszych westernów, w których służyli tylko za tarcze strzelnicze dla rewolwerów białych zdobywców Dzikiego Zachodu. Ci Indianie byli nieucywilizowani, dzicy. Wojownicy i łowcy, było to widać ze sposobu, w jaki się poruszali, jak cicho, niemal bezszelestnie, przechodzili przez bór, niosąc ciężkie brzemię.

Cała czwórka rozplynęła się między drzewami, a Kovař i jego towarzysze jeszcze długą chwilę trwali w bezruchu.

- *Skrälingar* - powiedział w końcu cicho Fryggvasson.

Kovař z początku nie rozumiał, co to znaczy, ale potem pojął, że tym słowem wikingowie nazywali rdzennych mieszkańców Vinlandii.

- Jutro zobaczymy, dokąd szli - rzekł McCathail, który, sądząc po szeleście gałęzi, starał się jak najwygodniej umościć na nadchodzącą noc.

Kovař zrobił tak samo i z pewnym rozbawieniem stwierdził, jak mało potrzeba człowiekowi do szczęścia. Deszcz nie padał, moskity przestały dokuczać, nawet wiatru w lesie nie dało się odczuć. Zapowiadała się całkiem przyjemna noc.

Rano znów zzuli paski mięsa. Jeśli niczego nie złowią, będą musieli głodować w drodze powrotnej, z niepokojem stwierdził Kovař. Zazwyczaj nie był zbyt czuły na tym punkcie, ale teraz wiedział, że musi bardzo oszczędnie gospodarować siłami.

Ruszyli w kierunku, w którym wczoraj poszli Indianie, choć nie byli pewni, czy idą właściwą drogą.

- Rusałka leśna zostawiłaby więcej śladów niż oni - zaklął McCathail po półgodzinie bezowocnego wpatrywania się w ziemię i rozglądania po okolicy.

Kovař miał pewne doświadczenie w poszukiwaniu śladów, ale McCathail, który według swoich opowieści trudnił się łapaniem złodziei bydła, nie miał wśród wikingów równego sobie w sztuce czytania ziemi, jak nazywał swoją umiejętność. Fryggvasson również nie był nowicjuszem, ale i on przestał liczyć na szczęśliwy traf.

- Chodźmy po prostu przed siebie - zaproponował Kovař, a Irlandczyk przytaknął ze złością.

Dobrze zrobili, bo po jakichś stu krokach natrafili na wąską ścieżkę wydeptaną raczej przez zwierzęta niż przez ludzi.

- Gdzieś blisko musi być łatwo dostępna słodka woda - mruknął Irlandczyk, oglądając odciski łap na skraju dróżki. - To wygląda na ślady jakiejś kuny, ale tak wielkiej kuny jeszcze nigdy nie widziałem.

Mógł to być przerośnięty rosomak, pomyślał Kovař, lecz nie chciał się wymądrzać.

Łatwo się szło po ścieżce, aż musieli specjalnie zwalniać kroku, żeby nie wpaść na tych, których mieli tylko obserwować.

Obraz pralasu wkrótce się zmienił, jakby ktoś jakimś sposobem próbował wpływać na wygląd puszczy. Przybywało polanek po wywróconych drzewach, którym mieszkańcy nie pozwalali zarosnąć, obsadzając je jadalnymi roślinami na własne potrzeby. Kovař z zadowoleniem zajadał orzeszki laskowe, których wszędzie rośło pełno. Nie były jeszcze całkiem dojrzałe, ale ani jemu, ani Fryggvassonowi to nie przeszkadzało. Na innych poletkach rozpoznali kukurydzę, po której wspinały się łodygi fasoli, a przy ziemi rosły zielone dynie.

- Sprytne - stwierdził Fryggvasson. - Ta wysoka roślina daje podporę fasoli, a dynie zatrzymują wodę dla wszystkich.

- Zejdźmy ze ścieżki, już musimy być blisko - rzekł McCathail w tym samym momencie, w którym Kovař chciał to zaproponować. - I rozdzielmy się, żeby więcej zobaczyć.

Bez dalszych rozmów zeszli w gęstwinę leszczyn, jarzębin oraz krzewów dzikiej róży i głęboko pochyleni ruszyli, każdy w swoją stronę.

Kovař skierował się najbardziej w prawo. Wyszedł na skraj lasu, choć zajęło mu to więcej czasu, niż przypuszczał. Otwierał się tam widok na wioskę, wcale nie tak bardzo odmienną niż te, które znał z Europy w swoim świecie.

Osada nie została w żaden sposób ufortyfikowana. Jej mieszkańcy polegali zapewne na odludności miejsca, które wybrali sobie na siedzibę. Las w najbliższej okolicy był

wytrzebiony, a ziemia przeznaczona na poletka podobne do tych, które napotkali wcześniej.

Kilkadziesiąt metrów od chaty położonej najbardziej na wschód płynął potok, sądząc z wydeptanej ścieżki i prymitywnego molo zbudowanego z nieobrobionych kamieni, Indianie czerpali stamtąd wodę.

Kovařa zdumiało, jak bardzo domostwa tej wioski podobne były do budowanych w Norwegii i Szwecji. Długie od dziesięciu do dwudziestu metrów, szerokie mniej więcej na pięć, pokryte owalnymi dachami. Tylko ściany i dach miały zrobione z kory brzozonej zamiast z plecionych prętów pokrytych gliną. Uważnie przyglądał się jednej chacie po drugiej, starając się ocenić, ilu

mieszkańców może mieć wioska. Na zewnątrz spostrzegł tylko kilkoro bawiących się dzieci i nielicznych starców zażywających odpoczynku. Z boru po jego prawej ręce dobiegał odgłos ścinania drzew, dalej, wzdłuż nurtu rzeczki, pracowała niewielka grupka. Kovař nie miał pewności, ale wydawało mu się, że to kobiety wyprawiające skóry. W

każdym razie liczba domostw wydawała się za duża dla ludzi będących w zasięgu wzroku.

Możliwe jednak, że większość Indian wyruszyła po żywność, na morze albo do rzeczki pełnej łososi.

Słońce przebyło już połowę drogi ku zenitowi i zrobiło się przyjemnie ciepło. Rzeński wiaterek przynosił wilgotny zapach oceanu. Stado różnobarwnych ptaków wybrało sobie na miejsce odpoczynku krzew, pod którym się ukrywał. Starał się w ogóle nie ruszać, bo spłoszone ptaki mogły ostrzec Indian. Nagle zaczęło go drapać w gardle i musiał stłumić atak kaszlu. Z niebezpiecznej sytuacji wybawił go jastrząb, który spadł z góry po zdobycz, a reszta błyskawicznie uciekła. Po południu Kovař doszedł do wniosku, że niczego więcej się nie dowie, i zaczął tyłem odczołgiwać się od wioski. Za pierwszym szeregiem krzewów chciał się odwrócić i jak najszybciej wrócić na miejsce noclegu, gdzie miał spotkać pozostałych. Nie zaobserwował niczego niepokojącego, a mimo to poruszał się jak najciszej, a na czworaki uniósł się dopiero pod gałęziami krzywo rosnącego jaworu. Natychmiast jednak opadł na ziemię w wysoką trawę. W bok od niego stała kobieta, Indianka. Zbierała orzechy laskowe do woreczka zawieszzonego na przedramieniu. Instynktownie sięgnął po scramasax, lecz ze stłumionym przekleństwem zaraz wycofał rękę. Na plecach, w skórzanym kokonie, kobieta niosła dziecko. Raczej niemowlę, poprawił się Kovař, słysząc popłakiwanie dobiegające z zawiniątka. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aż Indianka skończy pracę.

Miał okazję dobrze jej się przyjrzeć. Sądząc po sprawnych ruchach i mocnych, umięśnionych nogach, które krótka tunika zakrywała zaledwie do połowy ud, była młoda, a mimo to miała na twarzy zmarszczki, jakie w świecie Kovařa mogłyby należeć do osoby co najmniej dwukrotnie starszej. Życie na łonie przyrody zawsze jest trudne, stwierdził to podczas służby w armii. Z drugiej strony wyglądała na zadowoloną i cały czas mruczała jakąś niezbyt melodyjną śpiewkę.

Krzewy w pobliżu były dosłownie oblepione orzechami, a kobieta wyraźnie chciała nazbierać jak najwięcej. Kiedy Kovař mógł w końcu ruszyć w dalszą drogę, powietrze już się ochłodziło, a słońce skłaniało ku horyzontowi. Czołgał się jeszcze ostrożniej niż z rana, obawiając się spotkania z mężczyznami wracającymi z polowania. Tak się jednak nie stało i bez większych problemów dotarł na umówione miejsce.

Wyglądało na opuszczone, Kovař podniósł kamyk i rzucił między przewrócone pnie, gdzie spali. Nic się nie zdarzyło. Wziął większy kamyk i tym razem doczekał się odpowiedzi.

- To nie może być nikt inny, jak tylko nasz spóźniony John, który przez cały dzień gapił się na *skrälingar* - odezwał się ze złością Fryggvasson, który wychynął z ukrycia, pocierając czoło.

- Odważyłem się podejść do nich najbliżej - Kovař dał do zrozumienia, że ta uwaga mu się nie podoba.

- Ale sterczałeś tam cały dzień. Na Thora, nie mogłeś wziąć mniejszego kamienia, a nie taki głaz? - złościł się dalej Fryggvasson.

Z trawy wynurzył się McCathail. W odróżnieniu od Fryggvassona nie był zaspany i wyglądał na kogoś wyrwanego z rozmyślań.

- Proponuję, żebyśmy obeszli wioskę i wracali wzdłuż brzegu. Dopóki będzie jasno, możemy iść przez większą część nocy.

Kovař kiwnął tylko głową. To był mądry pomysł. Pozostawać nadal w pobliżu wioski mogło okazać się zbyt ryzykowne.

Dużym łukiem, sięgającym aż za rzeczkę, z której Indianie czerpali wodę, obeszli osadę i poszli pod wiatr, prosto ku zapachowi morza. Natrafili na wąską, wydeptaną ścieżkę biegnącą wzdłuż koryta rzeczki. Ich domysły, że Indianie często chodzili na wybrzeże, okazały się więc słuszne. Trzymali się z daleka od wydeptanej ścieżki, żeby przypadkowo napotkani Indianie nie mogli ich zauważyć. W miejscu, gdzie do rzeczki wlewał się jeden z większych potoków, usłyszeli jakiś hałas. Brzmiało to tak, jakby ktoś radośnie gadał.

McCathail popatrzył na Fryggvassona i Kovařa, wskazał na koryto potoku i natychmiast ruszył przed siebie. Fryggvasson z rezygnacją wzruszył ramionami i ukucnął pod sękatą choiną. Kovař przebiegł ku łagodnemu pagórkowi leżącemu na prawo od nich. Jedna jego strona opadała w kierunku koryta potoku. Jeżeli McCathailowi zależało na widoku z bliska, to on chciał mieć szerszą perspektywę.

Kovař wdrapał się na wierzchołek akurat, żeby dostrzec trzech ostatnich mężczyzn znikających za zakrętem ścieżki. Wszyscy nieśli na plecach kosze pełne ryb. Wszyscy trzej byli młodzi, raczej dorastający chłopcy. Leżał cicho na wierzchołku i czekał. Nagle bez żadnego ostrzeżenia na ścieżce pojawili się kolejni Indianie, nadchodzący od strony morza.

Już nie młodzieńcy, lecz dorośli łowcy. Oni też nieśli kosze pełne ryb, a dwóch z nich targało duże zwierzęta o kudłatej srebrnoszarej sierści. Wyglądali na zadowolonych z wyniku łowów, ale w odróżnieniu od chłopców szli cicho, bez rozmów. Jeden z nich pozostał w tyle i zaczął

poprawiać szelki kosza. Gdy pozostali chcieli na niego poczekać, dał im znak, żeby szli dalej.

Kovař miał nadzieję, że McCathail nie ulegnie pokusie i nie będzie chciał wziąć jeńca. To by im mocno skomplikowało sytuację.

Mężczyzna naprawił uprząż. W chwili gdy pochylił się nad koszem, aby zarzucić go sobie na plecy, dał się słyszeć cichy świst. Kovař nie był pewny, czy słuch go nie zawiódł, ale Indianin drgnął, wyprostował się i klepnął w tyłek, jakby go coś ugryzło. Później zatoczył się i osunął na ziemię.

Kovař zacisnął zęby, pochylił głowę, lecz przypatrywał się nadal. Wydarzyło się coś szczególnego i za wszelką cenę chciał wiedzieć co.

Indianin leżał na ziemi i nie ruszał się, chociaż nie było widać żadnego zranienia.

Wysoko pomiędzy drzewami przeleciał ptak z charakterystyczną czerwoną czapeczką, zaraz potem zabrzmiał szybki stukot dzioba, przez ścieżkę przebiegło kilka łań z młodymi. Nie zauważyły nieruchomego ciała spoczywającego o kilka kroków od nich. Kovař był pewny, że jeśli poczeka cierpliwie, zagadka zostanie rozwiązana. Ale nagle usłyszał hałas osypującej się gliny, to McCathail schodził po zboczu. Kovař stłumił przekleństwo i wstał, starając się dać Irlandczykowi do zrozumienia, żeby zawrócił. Brzęknęła cięciwa, strzała wbiła się w drzewo tuż obok głowy McCathaila. Ten, zamiast się ukryć, popędził ku miejscu, z którego wyleciała, Kovař z zaciśniętymi zębami podążył za nim. O ile napastnik był sam, istniało prawdopodobieństwo, że ucieknie, nie próbując strzelić powtórnie.

Rzeczkę przebrnęli jednocześnie i usłyszeli, jak łucznik przedziera się przez krzewy.

W końcu go dostrzegli, niewyraźny zielonkawy cień. Kovař pośliznął się i upadł w maźliwe błoto. Zapomniał, jak podmokły bywa tu teren. McCathail zatrzymał się tuż obok niego.

- Ten bękart o mało co mnie dostał - wycedził przez zęby.

Kovař ostrożnie wstał. Obawiał się, że naciągnął ścięgno, ale okazało się w porządku.

- Musimy wrócić, Fryggvasson będzie nas szukał - przypomniał cicho.

- Wyglądał jak leśny demon, gnom - powiedział McCathail z zamyśleniem, kiedy ostrożnie wracali przez las, który przed chwilą przebyli sprintem.

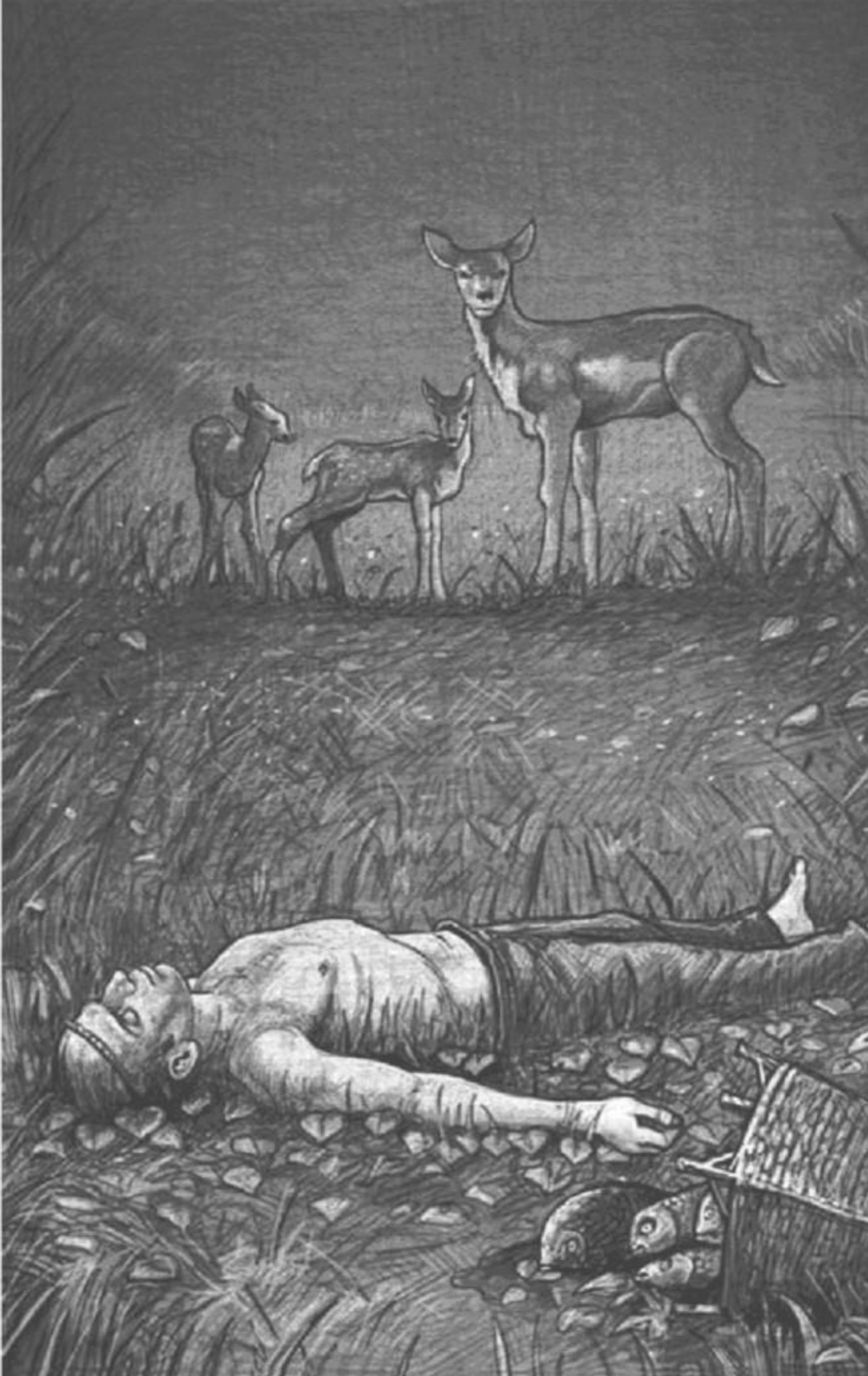
- Albo ktoś, kto powiesił na sobie kilka gałązek i sporo trawy - stwierdził nadal rozszłoszczony Kovař.

Gniewało go, że Irlandczyk nie zdołał utrzymać swego temperamentu na wodzy. Z

drugiej strony miał dla tego wikinga godną podziwu cierpliwość.

- Ta możliwość bardziej mi się podoba, John - zaśmiał się McCathail. - Następnym razem poczekam, aż ten przekłety syn Lokiego pójdzie zobaczyć, co złowił - dodał

zniechęcony.



Kovař się skrzywił. Niczego więcej nie mógł oczekiwać ze strony swego towarzysza.

Do dolinki wracali ostrożnie i dobrze zrobili, bo Indianin gramolił się już na nogi.

Chwiał się jak ktoś, kto niedawno dostał po głowie, i widać było, że jest zupełnie zdezorientowany. W końcu z trudem podniósł kosz i zataczając się, poszedł w kierunku wioski.

McCathail podszedł do drzewa, w którym utkwiała przeznaczona dla niego strzała, a Kovař zaczął szukać miejsca, z którego została wystrzelona. Udało mu się dopiero w momencie, gdy dołączyli do niego McCathail z Fryggvassonem.

- Strzelał do nas któryś z naszych - rzekł spokojnie Irlandczyk, pokazując strzałę.

Kovař uważnie obejrzał grot. Był wykonany z żelaza, ale nic więcej z niego nie wyczytał.

- Może działa tu jakaś inna grupa wikingów? - wyraził przypuszczenie.

Fryggvasson pokręcił głową.

- Sturlurson zlecił mi zakupy narzędzi, strzał i grotów do oszczepów. Poznaję tę strzałę. Kupiłem ich trzysta od Kurunsena Widłobrodego. To jego wyrób. A co to jest?

Wskazał na szklaną ampułkę leżącą obok stopy Kovařa.

Kovař nie odważył się dotknąć jej palcami i rozejrzał się za patyczkiem, którego chciał użyć.

Przeznaczenie takich ampulek było mu dobrze znane, podobnie jak żółty emblemat oznaczający zagrożenie biologiczne, który umieszczono na jej etykiecie.

- Gołą ręką lepiej tego nie dotykać - powstrzymał ciekawskiego Fryggvassona i ostrożnie podniósł ampułkę na wysokość oczu.

Teraz zauważył jeszcze jeden znak, stylizowany mózg ludzki obramowany trójkątem.

Tak oznaczany był materiał psychoaktywny magicznie. To właśnie dobrze zapamiętał z okresu nauki podczas rekonwalescencji.

- W błocie znaleźliśmy jeszcze to. - McCathail pokazał małą igłową strzałkę ze stabilizującym pędzelkiem na końcu.

- Nie zadrasnąłeś się grotem? - upewniał się Kovař.

Irlandczyk pokręcił głową.

- Myślisz, że na tym jest trucizna? - domyślił się Fryggvasson.

Kovař przytaknął.

- Ale tego *skrǣlingar* nie zabił.

- Są różne trucizny. - JFK wzruszył ramionami, wziął strzałkę od McCathaila i razem z ampułką wsadził pod największy kamień, jaki zdołał odchylić na bok.

- Mnie bardziej ciekawi, jak on to wystrzelił. To jest za krótkie, żeby dało się wyrzucić z łuku. - Irlandczyk w zamyśleniu pogładził swoje sterczące wąsy.

Kovař nie chciał wyjaśniać, że napastnik prawdopodobnie miał pistolet pneumatyczny albo wykorzystujący inny sprężony gaz.

- Powinniśmy jak najszybciej wracać. Co będzie, gdy *skrǣlingar* przyjdą się tu się rozejrzeć? - powiedział zamiast tego.

* * *

Droga powrotna okazała się o wiele łatwiejsza. Noc była jasna, jak zazwyczaj bywa na północy, a ponadto świecił księżyc, któremu niewiele brakowało do pełni. W połowie nocy osiągnęli obóz, gdzie już na nich niecierpliwie czekali. Sturlurson zawołał ich do swego ogniska, inni słuchali z pewnego oddalenia.

Kovař zdał sobie sprawę, że nie uzgodnili między sobą, czy wspomną o dziwnym ataku na Indianina. Nie chciał wyjaśniać jarlowi swojej teorii o truciznie. A głównie tego, skąd wie o takich rzeczach.

- Nie mają obwałowań - rozmyślał głośno Sturlurson. - Ilu ich tam może być?

Kovař popatrzył na Fryggvassona. Wiking miał od niego o wiele więcej doświadczenia, jeśli chodzi o ocenę liczby mieszkańców długich domów wikińskich.

- Sześćdziesięciu ludzi, może troszkę więcej - rzekł po namyśle bywały w świecie wiking. - Ale widzieliśmy niewielu. Może byli na łowach.

- A jak są uzbrojeni?

Sturlurson już o to pytał, lecz teraz powtarzał pytania, kierując je za każdym razem do innego z nich.

- Nie noszą zbroi - powiedział McCathail. - Widziałem oszczepy, może też noże, toporki.

- Nie znają żelaza - Kovař wmieszał się do rozmowy po raz pierwszy, do tej pory mówili tylko jego towarzysze.

Wśród słuchających podniósł się pomruk zdziwienia. W ich ojczystych stronach nawet najbiedniejsi z wolnych ludzi nosili u pasa przynajmniej nóż.

- Ale widziałem, że niektórzy mieli siekiery - zaprotestował zaskoczony Fryggvasson.

- Były zrobione z kamienia. Tak samo jak noże - Kovař uściślił swą relację. - Mają też pałki i kije z końcówkami z rogu. Wszystko bardzo porządnie wykonane, ale bez udziału żelaza.

- A niech ich będzie nawet stu. Nie mają zbroi ani tarcz, przejdziemy przez nich jak nóż przez masło - oznajmił głośno Thori Sigfusson, ogromny Gotlandczyk.

Nie powiedział tego z bojowym zapałem, raczej skonstatował fakt.

- To by była krótka wyprawa, zabawa na jeden dzień - z entuzjazmem przyłączył się Jori Loset. - Wieczorem będziemy mogli już ucztować we wiosce.

Kovař poczuł, że mężczyźni rozważają kwestię ataku. Znajdowali się na obcym gruncie i nie wiedzieli, na co mogą sobie pozwolić. Może rozsądniej byłoby najpierw rozejrzeć się, stwierdzić, skąd może grozić niebezpieczeństwo, a później zaatakować najbogatsze miejsca i szybko zniknąć.

Sturlurson milczał.

- A ile dobra, jak myślicie, mogło być w tej wiosce? - zapytał przeciągle Bjorkedal.

Jego pozycji skalda i sławnego wojownika nikt nie lekceważył. Kovař natychmiast zrozumiał, ku czemu zmierza swym pytaniem.

- No, może znaleźlibyśmy tam kilka sieci rybackich, zapasy orzeszków laskowych, jakieś niezłe skórki. To wszystko - odpowiedział pewnym głosem McCathail. - Oni wszyscy wyglądali na biedaków, to pewnie mają pełne chałupy chłamu.

Ludzie zaśmiali się.

- Ale mają kobiety. Na pewno znalazłoby się tam piętnaście, dwadzieścia ładnych kobiet - podsunął Loset.

Rysy twarzy Irlandczyka stężały.

- Jaja mogłem sobie obcierać w domu. A tu przypląnąłem po coś innego.

- Naprawimy łódź, uzupełnimy zapasy. Fryggvasson i Li Cheu rozejrzą się po okolicy, może znajdą coś, co by nam zastąpiło warzywa. I pierwsi tego jedzenia spróbują - Sturlurson zaczął wydawać polecenia.

Z tylnych szeregów słuchaczy odezwały się pomruki niezadowolenia.

- Czy jest tu ktoś, kto chciałby sprzeciwić się moim rozkazom? - zapytał cicho Sturlurson i wstał.

Kovař stłumił uśmiezek i zauważył, że McCathail zrobił to samo.

Barczysta postać jarła zwieńczona jasną grzywą włosów górowała nad pozostałymi jak sylwetka demona. W lewej ręce, niby przypadkowo, trzymał oszczep, palce drugiej swobodnie położył na

rękojeści miecza.

Kovař musiał przyznać, że jest znakomitym psychologiem. Jego cichy głos budził

większą grozę niż krzyk.

Nagle wydał się wikingom większy niż ogromny Sigfusson, być może stał na czymś, co dodało mu wzrostu.

- A więc wszyscy respektują moje rozkazy - stwierdził Sturlurson.

Na tym zgromadzenie się zakończyło i wkrótce obóz pogrążył się w ciemności i ciszy zakłócanej tylko oddechami śpiących.

* * *

Naprawa uszkodzeń powstałych podczas długiej żeglugi przez Atlantyk i bitwy z Chińczykami zajęła im cały tydzień. Kovař głównie towarzyszył Fryggvassonowi i Li Cheu w poznawaniu terenu. Inni wikingowie byli od niego o wiele sprawniejsi w ścinaniu i obróbce drzew. W ciągu dnia miał o czym rozmyślać. Żaden z nich nie powiedział jarlowi o postrzeleniu Indianina i sami też więcej o tym nie mówili. Kovař początkowo starał się odgadnąć, który z mężczyzn może być agentem nieprzyjaciela, ale prowadziło to donikąd, częściowo dlatego, że nie miał pojęcia, kim był nieprzyjaciel. Ljuba Bytewska nie podała mu bliższych informacji, a w zwięzłych instrukcjach operacyjnych, które otrzymał tuż przed transferem, również nic o tym nie napisano. Możliwe, że nie zdałoby się to na nic, ale w przeszłości kilka razy opłacało mu się wiedzieć więcej o motywacji i środkach, którymi dysponował przeciwnik. Płacił frycove za to, że był w agencji nowicjuszem niemającym dostępu do informacji o wyższym stopniu utajnienia.

Teraz starał się odgadnąć motywy skłaniające poszczególnych wikingów do uczestnictwa w tak niebezpiecznej wyprawie bez wyraźnego celu, jakim byłoby złupienie któregoś z bogatych miast. Rozmowy, jakie zasłyszał, potwierdziły jego poprzednie przypuszczenia, że Sturlurson skompletował załogę w większej części z ludzi, którzy nie mieli po co wracać do Norwegii czy Szwecji, ludzi będących praktycznie wygnańcami. Jakby i on nie zamierzał wracać.

Najbardziej interesował go McCathail. Jego sprzeciw wobec napadu na wioskę wydawał się żywiołowy, instynktowny, nie podlegał racjonalnym pobudkom. McCathail nie był agentem wroga. Ten nie miałby nic przeciw zagładzie spokojnej wioski. Co więcej, McCathail, tak samo jak Fryggvasson, nie postrzelił Indianina.



PIERWSZE SPOTKANIE ZE ŚMIERCIĄ

W osiem dni po przybiciu do lądu podczas maksymalnego przyływu zepchnęli drakkar na wodę i popłynęli dalej wzdłuż wybrzeża, w kierunku, w którym Sturlurson spodziewał się natrafić na wielką rzekę.

Kovař wiedział, że naprawdę się tam znajduje, kilkaset, a może już tylko kilkadziesiąt kilometrów przed nimi. Ponad sześćset lat później odkryje ją francuski żeglarz, odkrywca Kanady, Jacques Cartier.

Chociaż w tym świecie mogło być inaczej, pomyślał. Niektóre sprawy przebiegały tak samo jak w jego świecie, ale niektóre całkiem odmiennie.

Wiatr wzmógł się nieco i sprawiał wrażenie chłodniejszego. Kovař rozejrzał się ostrożnie. W odróżnieniu od niego wikingowie czuli się w łodzi jak w domu, on natomiast zdał sobie sprawę, o ile pewniej czuł się na lądzie, chociaż dzikim i nieucywilizowanym.

Jednak nie znalazł żadnych powodów do niepokoju.

Pogoda nadal im sprzyjała, wiał północno-wschodni, prawie tylny wiatr, z którym prostokątny żagiel radził sobie znakomicie. Fale były niewielkie i smukły kadłub drakkara niemal się po nich ślizgał. Kovař usiadł na jednej z wolnych ławek wioślarskich i przez chwilę obserwował deski kadłuba poddające się naciskowi fal. Morska Żmija była niczym żywa istota, od jej humorów i kaprysów zależało w pewnym sensie ich życie. Zwrócił wzrok ku dzikiemu wybrzeżu, pełnemu skał przechodzących w kamieniste plaże. Tym, co nie ulegało zmianie, była zielona ściana drzew liściastych i iglastych pralasu. Od czasu do czasu widział wygrzewające się na brzegu morsy. Do ogromnych stad ptaków, których nie potrafił

zidentyfikować, już zdążył przywyknąć na tyle, że przestał je zauważać.

To była bogata ziemia, bogata i surowa. Może w tym właśnie kryła się tajemnica późniejszego rozwoju cywilizowanej Ameryki. On jednak znalazł się tu po to, żeby Ameryka ucywilizowała się dokładnie tak, jak powinno się to rozegrać w tym świecie, bez interwencji z zewnątrz. Po raz tysięczny zamyślił się nad wszystkim, co do tej pory przeżył podczas misji.

Przez cały tydzień nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego i żaden nowy element nie uzupełnił

jego układanki. Oznaczało to, że nie wie prawie nic i nie może się nawet domyślić, jaką kolejną akcję przeprowadzi obcy agent. A już zupełnie nie wiedział, jak powinien wypełnić główny cel wycieczki, pomóc w nawiązaniu przyjacielskich stosunków między Indianami i wikingami.

- Łatwiej byłoby ich wszystkich powrzucać do wody - mruknął pod nosem.

- Mówiłeś coś? - usłyszał go Spar Gurgysson.

Kovař tylko machnął ręką. Lubił tego gościa z małpimi rękami. Nie mówił wiele, można było na nim polegać, a w razie potrzeby potrafił zrobić więcej niż ktokolwiek inny.

- Wioska! Widzę wioskę! - wykrzyknął nagle Spar, wskazując brzeg, zanim Kovař zdążył mu odpowiedzieć.

Ludzie podnieśli wrzawę, Sturlurson ryknął, żeby wszyscy nie skupiali się po jednej burcie i nadmiernie nie przechylili drakkar. JFK przysłonił oczy. Nisko wiszące słońce oślepiało go, odbijając się od powierzchni wody. To nie była wioska, raczej kilka chat.

Długie domy, które widział przed tygodniem, zdawały się przy nich pałacami.

- Wygląda na opuszczoną - skonstatował po chwili ciszy Bjorkedal.

Drakkar szybko zmienił kurs, gdy Sturlurson napał na wiosło sterowe. Reja zaskrzypiała pod naporem wiatru, uderzającego ze zmienionego kierunku.

- Zajrzymy tam - zdecydował krótko jarl.

Kovař już spostrzegł miejsce, gdzie dowódca chciał wylądować. Spłacheć gruboziarnistego piasku, który tworzył naturalne kotwicowisko pomiędzy skałkami. Przy silniejszym wietrze bezużyteczne, ale teraz idealne dla szybkiego cumowania. Sturlurson nawet nie musiał wydawać polecenia, już Loset stanął na dziobie z sondą i zaczął podawać głębokość wody pod kilem.

- Piętnaście stóp, trzynaście... - odczytywał.

- Rzucić żagiel, ludzie Fryggvassona do wiosła! - zawołał Sturlurson.

Łódź ślizgała się po falach, popędzana ostrożnymi uderzeniami wiosła.

- Dziesięć stóp! - krzyknął Loset.

Dno podnosiło się powoli, jak przystało na plażę.

- Loset, kiedy kil dotknie dna, wysadzę dwudziestu ludzi. Zabezpieczycie przedpole, a Sigfusson z dziesięcioma ludźmi podepchnie łódź bliżej do brzegu! - Sturlurson przydzielał

załodze zadania. - Nikt nie rusza do ataku, wszyscy zostają na plaży za Losetem! Kto nie posłucha, dostanie strzałę w plecy! Brigvassonowie, bierzcie łuki.

Kovař już dawno stwierdził, że wikingowie słuchają rozkazów i pracują jak zgrany zespół. Teraz jednak jarl obawiał się ich wrodzonej wojowniczości.

Kil zaskrzybiał po dnie, pierwsi ludzie wskoczyli do wody z tarczami i mieczami albo toporkami w rękach. Wskoczyli na ląd jak diabły i utworzyli obronny półokrąg. Tymczasem inna grupa wyciągnęła łódź na płyciznę.

- Fryggvasson, McCathail i John pójdą ze mną! - zabrzmiał kolejny rozkaz.

Oprócz ludzi, którzy już się zetknęli ze *skrǣlingar*, Sturlursonowi towarzyszyło dziesięciu wojowników straży osobistej, którzy pochodzili z jego rodzinnej Jutlandii.

* * *

Powoli, rozważnie przeszli przez krąg wikingów osłaniających łódź i ostrożnie ruszyli w kierunku wioski, niewidocznej teraz zza wielkich głazów. Kovař odetchnął głęboko, a Fryggvasson kiwnął głową.

- Też nic nie czuję i nie widzę.

Bez przeszkód przekroczyli obszar usiany kamieniami i zobaczyli pięć prowizorycznych chat rozrzuconych w płytkiej dolince chronionej przed wiatrem.

- To nie jest wioska, raczej sezonowy obóz rybacki - ocenił sytuację Sturlurson.

Jego słowa potwierdzała podarta sieć rozwieszona pomiędzy dwoma drzewami. Spod jednej z chałupek wyrzało duże, kosmate zwierzę, Kovař poznał w nim rosomaka. Wyraźnie szukał czegoś do jedzenia, ale nie wyglądało, żeby mógł się tu najeść.

Sturlurson wybrał największą chatę i z obnażonym mieczem w dłoni odsunął skórzaną zasłonę. Była pusta, pozostało w niej tylko skromne wyposażenie właściciela. Drewniane naczynia, wymoszczone skórą łóżko, kilka kamiennych noży służących do oprawiania ryb.

Kovař zaglądał do wnętrza zza pleców dowódcy. Znał ten świat na tyle długo, żeby zrozumieć, że coś jest nie w porządku. Im człowiek biedniejszy, tym większe znaczenie mają dla niego nawet najzwyklejsze rzeczy. A Indianie byli biedni, także według kryteriów wikingów z dziewiątego, dziesiątego stulecia.

Sturlurson pozostawił dokładniejszy przegląd chaty swoim ludziom i zamyślony rozejrzał się po

obozie.

- Kiedy odeszli, jak sądzisz? - zwrócił się do Fryggvassona.

Wiking zniknął w chacie.

- Już dość dawno - powiedział, gdy wyszedł. - Popiół z ogniska jest od dawna zimny, w misce była jakaś ciecz, może zupa, ale zdążyła wyschnąć. Kilka dni, więcej niż dwa.

Sturlurson kiwnął głową, jakby zgadzało się to z jego osądem.

- Porządnie wszystko przejrzyjcie, potem was wysłucham - zarządził i wrócił do łodzi.

Szukanie jakiegoś łupu okazało się próżnym trudem. To stało się jasne już na pierwszy rzut oka.

Kovař zaczął systematycznie badać jedną chatę po drugiej, nie zapomniał również o najbliższej okolicy. Starał się znaleźć ślad, który by mu podpowiedział, co tu zaszło. Ani na chwilę nie zapomniał, że za każdym głazem może ukrywać się Indianin z łukiem lub kamiennym tomahawkiem. Jakie właściwie mieli łuki? Nie był pewny. Jeśli krótkie, do łowów na niewielkie zwierzęta, to zbroja chroniła go przed nimi skutecznie, ale jeśli byłyby to długie na ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów łuki, używane już od czasów epoki kamiennej, mogli go zastrzelić z odległości dwudziestu metrów. Niestety, nie wiedział, jakim rodzajem broni dysponują hipotetyczni przeciwnicy. Li Cheu i Fryggvasson również przetrząsali obóz, zamieniając od czasu do czasu kilka słów. McCathail czekał na nich ze znużoną miną, chociaż w rzeczywistości trzymał straż, myszkując oczami po okolicy.

- Odeszli nagle, bez specjalnych przygotowań. Niektórzy zabrali swoje rzeczy, niektórzy nie - Fryggvasson podsumował wynik oględzin.

- Chodźmy, bo inaczej jarl zostawi nas, żebyśmy płynęli za łodzią - popędził ich McCathail.

Odbili od brzegu tak samo łatwo, jak wylądowali, i popłynęli w poprzednim kierunku.

Nikt tego głośno nie mówił, ale opuszczony obóz zdenerwował załogę. Gdyby znaleźli trupy, ślady masakry, rozumieliby, w czym rzecz, i wcale by ich to nie zaniepokoiło. Tu jednak mieli do czynienia z czymś innym.

Wraz z zachodem słońca dobili do brzegu i zaczęli przygotowywać nocleg. Kovařa z nagłą rozboleła głowa, czuł się tak, jakby ktoś tłukł go po ciemieniu kijem bejsbolowym grubo owiniętym pianką poliuretanową. Był zadowolony, że nie wypadła jego kolej na wartę.

Leżał w śpiworze z foczej skóry, wystawiając twarz do ogniska, żeby jak najmniej odczuwać ostry, przybierający na sile wiatr wiejący od strony morza. Nawet teraz, w pełni lata, było w nim wspomnienie śniegu i lodu. Fryggvasson przysiadł się do ogniska Sturlursona, a McCathail usiłował wymienić skórę bobra, którego przypadkowo upolował, na coś smacznego do zjedzenia. Li Cheu położył się obok Kovařa. Była to idealna okazja do rozmowy, Kovař czekał na nią już od dawna.

- Jak to jest pływać na naszej łodzi, a nie na tamtej wielkiej, chińskiej? - zaczął

ostrożnie, używając na określenie słowa „chińskiej” wyrazu, którym posługiwał się Li Cheu.

Chińczyk wyszczerzył zęby i patykiem przysunął do ognia duży kawał drewna.

- Ta wasza łódź nic bardzo, ale dalej lepszy niż chińskie więzienie - odpowiedział po chwili. - Z niego się człowiek już w większość nie wyjdzie.

Nie było w tym ani szczypty humoru, Li mówił poważnie.

- Umiesz czytać? - zapytał go Kovař.

Chińczyk zrobił zdziwioną minę.

- Nasze pismo czy wasze prymitywne runy?

- Pismo - uściślił Kovař, starając się nie krzywić.

Rasizm i nacjonalizm były po prostu właściwością charakteru ludzkiego. Tu i gdzie indziej, w przeszłości i w przyszłości.

- Oczywiście. Runy też już prawie umiem, chociaż jeszcze nie wszystko rozumiem -

odpowiedział Li Cheu.

Fryggvasson cały czas go uczył i pozwalał, aby Chińczyk uczył jego. Kovař zaczynał rozumieć przyjaźń tych z pozoru tak różnych, ale w pewien sposób podobnych ludzi.

- Co tu jest napisane? - zapytał obojętnie, podając lekarzowi pierwszy zwój papieru.

- To są rozkazy dla kapitana! - stwierdził zaskoczony Li.

- Są - przytaknął Kovař, a gdy przypomniał sobie, jaką cenę za nie zapłacił, aż go ukłuło w żebra.

- Podpisane przez wielkiego eunucha Jego Cesarskiej Miłości! - Po raz pierwszy w głosie Li obok zaskoczenia pojawiło się coś na kształt szacunku. Kovař nie zareagował. -

Tekst zaczyna się od tego, że rozkazy są ściśle tajne i może je znać tylko najwyższy oficer na okręcie. Nie na każdym okręcie, tylko na wojennym - tłumaczył dalej Li.

Kovař podał mu pozostałe zwitki i czekał.

Chińczyk najpierw je przeczytał, a potem zaczął tłumaczyć, z przerwami, chropawo, ale zrozumiale.

- Wielki eunuch pisze, jednym z powodów przedsięwzięcia wielkiej wyprawy wokół

świata jest odkrycie demonów, nieprzyjaciół naszego boskiego cesarza, które wysłali w świat władcy podziemi. Twory te wyglądają jak ludzie i mają liczne umiejętności. Są rozpoznawalni po swoich niezwykłych zdolnościach, a także po przedmiotach, które u siebie ukrywają.

Li wskazał na szkice znaku psi, małych pistolecików, komunikatorów i innych gadżetów dla agentów.

- Na szczęście dla naszego wielkiego imperium boski cesarz ma swoich pomocników, którzy posiadają podobne umiejętności i środki jak nieprzyjaciół, a można ich rozpoznać według takiego obrazka.

Li pokazał prosty szkic obrazujący sztucznego węża, który już przedtem zainteresował

Kovařa. JFK wziął zwitki i schował je szybko, zanim Chińczyk zdążył coś powiedzieć. Gra szła o wysoką stawkę. Jeżeli przeciwnik zdołał wciągnąć w nią nawet dwóch cesarzy, a co za tym idzie - całe średniowieczne Chiny... Jaką miał szansę na sukces? To bez wątpienia były informacje ważne dla agencji.

McCathail wrócił ze świeżym udźcem jelenim, już podpieczonym na ogniu, i z zadowoleniem nadział go na rożen. Li wyraźnie nie chciał kontynuować tematu w obecności Irlandczyka i tylko z żalem wzruszył ramionami.

- Piękne pismo, doskonała kaligrafia.

Kovař przytaknął i przymknął oczy. Walenie pod czaszką powróciło. Może nie będzie musiał łamać sobie tym wszystkim głowy, bo zaraził się jakąś średniowieczną chorobą i umrze. Zsunął się głębiej do śpiwora i zamknął oczy.

Rano obudził się jako jeden z ostatnich. Spojrzał pytająco na McCathaila, który zdążył

już ugasić ogień i nosił teraz do łodzi świeżą wodę ze źródła. Na kamieniu czekał placek owsiany z kawałkiem mięsa z wczorajszego wieczoru. Solidnym kawałkiem.

- Nie wyglądałeś i dalej nie wyglądasz zbyt dobrze, więc daliśmy ci odpocząć. O

osłabionych trzeba zadbać. Kto by wylewał wodę z łodzi w drodze powrotnej? - Irlandczyk skrzywił usta.

- Ty - odpowiedział Kovař i sięgnął po śniadanie, chociaż nie był głodny.

Potrzebował nabrać siły.

- Ja nie - odpowiedział Irlandczyk z pewnością w głosie i znów wziął się do swojej pracy.

Jedząc, Kovař starał się dociec, co znaczyły słowa jego przyjaciela. Zabrzmiały tak, jakby McCathail nie chciał wracać. Czyżby zamierzał tu umrzeć?

- Jesteś przeklęty łgarz, za te durne bzdury rozwalę ci tę twoją niewyparzoną gębę! - z zamyślenia

wyrwał go wściekły wrzask.

Kłóciło się dwóch mężczyzn. Jeden nazywał się Stenkil Warth, drugiego nie znał. Z

całej załogi tylko on był łysy, błyszczącą skórę na głowie pokrywały niezliczone blizny.

- Ja nigdy nie łżę! - zaprzeczył niewzruszony łysol. - A za to, że nazwałeś mnie łgarzem, będę musiał cię zabić.

Coraz więcej ludzi przyglądało się przybierającej na gwałtowności kłótni, między innymi Sturlurson, Bjorkedal i kilku członków jego drużyny.

- A może to ty powinieneś udowodnić, że tak naprawdę łżę - dosypał soli do ran Loset.

Kovař wiedział, że łysy niczego nie musi udowadniać. Samo oskarżenie o kłamstwo wystarczało do wyzwania na pojedynek. Jedynie Sturlurson mógł, używając swego autorytetu, odłożyć go w czasie, choć nie zakazać.

On jednak tylko z zainteresowaniem obserwował obu przeciwników, jakby starając się ocenić, który jest dla niego użyteczniejszy. Kovař przypomniał sobie, że łysy był jednym z tych, którzy walczyli z nim ramię w ramię na środkowym pokładzie dżonki. Dobrze posługiwał się mieczem, a tarczy używał jak gilotyny.

- O co poszło? - zapytał Spara, który od początku był na miejscu zwady.

Łysol tymczasem wrócił do swojego ogniska i zaczął nakładać zbroję.

- Farhair twierdzi, że po walce z Chińczykami sterczało z niego trzydzieści i jeszcze siedem bełtów. Warth oskarżył go, że się przechwala.

Kovař kiwnął głową na znak, że rozumie, i bezskutecznie rozmyślał o tym, jak łysy wiking chce udowodnić swoją prawdomówność. Kovař mu wierzył.

Farhair powrócił w pełnej zbroi, w hełmie i kolczudze dłuższej niż zazwyczaj spotykane, jej rękawy sięgały aż do łokci, do stalowych ochraniaczy. Tarczy nie wziął, miał

tylko miecz. Niósł również trzy chińskie kusze powtarzalne. Gdy podawał je Warthowi, z magazynka jednej z nich wypadł bełt. Były naładowane do pełna.

- Trzy kusze, trzy razy po dziesięć strzałów - oznajmił łysy wiking zwięźle i nałożył

hełm. - Odejdę na dziesięć kroków, z większej odległości nie da się z tego trafić, a bełty nie mają już siły. Gdy dojdę aż do Wartha, to znaczy, że mówiłem prawdę.

Wikingowie zamruczeli na znak zgody i rozstąpili się, żeby przeciwnicy mieli więcej miejsca.

Farhair odliczył kroki i odwrócił się do Wartha.

- No to możemy zaczynać, ty pomocię Lokiego - powiedział spokojnie i zrobił

pierwszy krok.

Wartoth nie czekał, nacisnął spust, bełt minął Farhaira o dobry metr. Wiking z mieczem zbliżał się bez pośpiechu, Wartoth szarpnął dźwignię ładowania i kolejny pocisk wśliznął się do rowka. Drugi strzał trafił wikinga w pierś, a później w powietrzu zaroilo się od bełtów. Wartoth odrzucił pustą kuszę, sięgnął po następną. Farhair zaczął przypominać maszerującego jeża. Kilka pocisków wycelowanych w twarz szczęśliwie odbił ręką, krwawił

tylko z ran na nogach i jednego draśnięcia w szyję. Ale już doszedł do przeciwnika, który go wyzwał. Ostatni bełt wbił mu się w pierś, miecz świsnął i spadł tuż nad obojczykiem, gdzie szyja oddziela się od korpusu. Wartoth jęknął, wiking zamierzył się powtórnie i cięciem z góry rozłupał mu głowę.

- To był łgarz - oświadczył, nie okazując emocji, gdy trup upadł na ziemię.

- Trafiłeś mnie w głowę! - żalił się któryś. - Nie widzę na jedno oko.

Sturlurson popatrzył na poszkodowanego, który całą twarz miał zalaną krwią.

- Powinieneś zajmować się swoją pracą, a nie gapić się tutaj - powiedział bez współczucia. - Nie chcę widzieć, żebyś próżnował przy wiosle. Młodzieńcy! Do roboty!

Następne pojedynki odkładamy do czasu, gdy będziemy mieli łódź pełną zdobyczy i Norwegię na horyzoncie!

Ktoś zarechotał, dwóch ludzi odciągnęło martwego Wartotha i zaczęło dzielić się jego majątkiem. On go już nie potrzebował.

- Nigdy bym nie powiedział, że Farhair jest łgarz - Kovař usłyszał czyjeś pomrukiwanie. - To uparty bękart, ale żonie pozwolił odejść, kiedy go oskarżyła, że nie ma z niego w łóżku żadnego pożytku.

- Ale później za to samo zabił starego Klucka.

- No tak. Ale nigdy nie powiedział, że jego żona łgała.

Kovař potarł skronie. Dudnienie w głowie powróciło. Co się, do cholery, dzieje?

Starając się stłumić ból, obserwował Farhaira, jak zdejmuje zbroję i z niezadowoleniem ogląda dziury, które pociski porobiły w koleczudze i przeszywanicy.

Późnym popołudniem Kovař zdał sobie sprawę, że rozgląda się za miejscem dogodnym do ładowania. Wielu ludzi zachowywało się tak samo, tylko Sturlurson, stojąc przy sterze, sprawiał wrażenie, jakby nic go nie niepokoiło. Nie była to jednak prawda, Kovař już kilkakrotnie zauważył, że Sturlurson działa z intuicją, która go zaskakiwała. I tym razem go nie zawiodła. W chwili gdy spód słonecznego kręgu dotknął horyzontu, natrafili na zatokę z wąskim wejściem, obramowanym z obu stron wystęпами ładu, na których rosły drzewa o pokręconych pniach. Smukły drakkar płynnie zmienił

kierunek i wśliznął się na spokojną wodę. Natychmiast wszyscy odczuli zmianę, długie fale powstałe gdzieś na bezkresnym obszarze szarego Atlantyku zniknęły i łódź płynęła teraz po prawie gładkiej tafli. Słychać było tylko szelest wody pod kilem i szum drzew. Zatoka ciągnęła się coraz dalej, jeziora morza wcinął się głęboko w stały ląd.

- Dobre miejsce - powiedział głośno jeden z braci Brigvassonów.

Kierowali się już ku łagodnie wznoszącemu się wybrzeżu, gdy nagle w odległości kilkuset metrów za niewysokim pagórkiem wzniósł się w niebo słup czarnego dymu.

Równocześnie Kovařowi wydało się, że słyszy krzyki i bitewną wrzawę.

- Lewe wiosła! - ryknął Sturlurson, napařł na ster i Morska Źmija wykonała ostry skręć, aż zakipiała woda za rufą. - Dziś będziemy spać na łodzi - oznajmił załodze. - Wiosła z wody!

Drakkar stopniowo wytracał szybkość, kilwater skracał się, aż zniknął zupełnie.

- Kotwica! - zawołał jarl, a przygotowany na tę komendę człowiek natychmiast wrzucił do wody duży kawał żelaza.

Lina odwijala się z pętli, w którą była zwinięta, i łódź zatrzymała się z lekkim szarpnięciem.

Panujący poprzednio dobry nastrój zniknął, wszyscy z ukosa spoglądali na złowieszczy słup dymu. JFK jeszcze raz roztarł skronie, jakby to mogło zniwelować coraz silniejszy ból, i ocenił odległość od brzegu. Na pewno ponad pół kilometra. Ci na lądzie musieliby być szaleńcami, żeby próbować napaść na nich w nocy.

Kolacji nie jadł, zakopał się w śpiworze i starał się zasnąć, choć za bardzo nie wierzył, że mu się to uda. Kij bejsbolowy nadal tłukł go po głowie.

* * *

- Johnie Francisie Kovařu! Pański upór i nieustępliwość są nieskuteczne!

JFK wiedział, że śpi i równocześnie nie śpi. Głos należał do Ljuby Bytewskiej, jego bezpośredniej przełożonej.

Otworzył oczy, a właściwie pomyślał, że je otwiera, i dojrzał kobietę w postaci nieco rozmazanego hologramu, unoszącego się jakieś trzy metry od niego. Dziwne, że nie widział

żadnego z wikingów ani burt łodzi.

- W końcu udało mi się z panem skontaktować.

Jeszcze dziwniejsze mu się wydało, że Bytewska ubrana była tylko w bieliznę, koronkowy staniczek, podwiązki i wysoko wykrojone majteczki. Wszystko uszyte z luksusowej, jedwabiście błyszczącej białej tkaniny.

To oznaczało również, że z tym briefingiem coś nie jest w porządku. Z drugiej strony nie był to byle jaki widok. Ljuby Bytewskiej wszędzie było troszkę za dużo i chociaż Kovař nie należał do miłośników baroku, było to cholernie ładne za dużo, tworząc razem nadzwyczaj interesujący i atrakcyjny obraz.

- Madame - Kovař skorzystał z okazji i pozdrowił ją na sposób, w jaki salutowali Ghurkowie, najgroźniejsi chyba żołnierze, których spotkał podczas służby w SAS. - Cieszę się, że panią widzę.

Bytewska zrobiła podejrzliwą minę.

- Ciekawa jestem, w jakiej postaci mnie pan właściwie widzi. Rozmawiam z panem za pomocą kontaktu parapsychologicznego, poprzez zaprzyjaźnione medium ze świata, w którym się pan znajduje.

Kovař ledwo dostrzegalnie kiwnął głową. Nie przypuszczał, że szefowa nagle zmieniła przyzwyczajenia i sposób ubierania się. Prawdopodobnie chodziło o jego własną mentalną projekcję. Może z powodu kilkutygodniowej abstynencji seksualnej na pokładzie drakkara.

- W każdym razie zapewniam, że wygląda pani bardzo ładnie - nie powstrzymał się od uwagi.



- Hm, widzę, że więcej się od pana nie dowiem. Chyba że przy psychobadaniu -

powiedziała z pozorną powagą. - Do rzeczy - zmieniła temat. - Stwierdziliśmy, że w obszarze pana działania znajduje się dwóch agentów, nie tylko jeden.

- W załodze Sturlursona? - Kovař nie wytrzymał i przerwał Bytewskiej. - Byłoby dla mnie dużą pomocą, gdybym wiedział, kim jest przeciwnik.

Bytewska zachmurzyła się, a jej okazały biust uniósł się do góry, gdy głęboko odetchnęła.

- Nie ma pan uprawnień do posiadania takich informacji. Agenci terenowi otrzymują je tylko w specjalnych przypadkach. Niech pan przyjmie, że stoimy na drodze silnej grupie interesów, raczej mafii przemytniczej, która inwestuje w wielu światach i różnych epokach. Z

jakichś powodów doszli do przekonania, że będzie dla nich korzystne, jeśli ten świat bardziej upodobni się do tego, z którego pan pochodzi.

Kovař znowu kiwnął głową. Nie powiedziała mu za dużo, ale wynikało z tego, że przeciwnicy będą mieli do dyspozycji znaczne środki. Choć powstawało pytanie, czy w świecie charakteryzującym się technologią właściwą dla wczesnego średniowiecza będą w stanie tych środków używać. Jednak ich ludzie na pewno będą doskonale wyćwiczeni i bardzo sprawni.

- A ten drugi agent, czy wiemy coś o nim? - wrócił do poprzedniego pytania.

- Tylko jedno. To rezydent, zamieszkały w tym świecie już od wielu lat. Podobnie jak nasz człowiek, którego zabito. Może przebywać pomiędzy Indianami. Mógł zginąć podczas drogi, chociaż nie uważam tego za prawdopodobne. Tacy ludzie mają siedem żywotów.

- Tak jak ja - powiedział cicho Kovař.

- Nie, Johnie, pan ma tylko jeden, a więc niech pan na siebie uważa. Nie potrzebujemy kolejnego martwego agenta. Niech pan zda meldunek operacyjny - powiedziała znacznie ciszej.

Kovař zwięźle poinformował ją o wydarzeniach, nie opuszczając dziwnego incydentu z postrzelonym Indianinem oraz ampulką z symbolem zagrożenia biologicznego i oznaczeniem materiału psychoaktywowanego magicznie.

- Nie zaobserwował pan u siebie jakichś zmian? Fizycznych lub psychicznych? -

zapytała go z powagą Bytewska. - Nie wyrasta panu trzecie oko albo na przykład skrzela?

Parapsychologiczny kontakt nie był chyba doskonały, jej pytania wydawały się bez sensu. Zanim zdążył zdać sobie z tego sprawę, kontynuowała:

- Nie robię sobie żartów. Sądząc po pańskim opisie, jest to substancja ekstremalnie niebezpieczna. Kombinacja magii i biotechnologii na najwyższym poziomie. Nawet ja nie mam dostępu do takich materiałów. Będę musiała poinformować o tym zarówno Wydział

Militarny, jak i Wydział Atlantycki.

Kovař poprawił swoją ocenę możliwości przeciwnika, podnosząc poprzeczkę mocno w górę.

- Czuję się dobrze, tylko od dwóch dni boli mnie głowa.

- To wynik naszych prób przebicia się przez pana hiperrealistyczne myślenie. Zanim pana opuszczę, kilka informacji. Niezmiernie ważne jest, żeby pan dopomógł w pomyślnym zakończeniu wyprawy Snori Sturlursona. Mamy dowody na to, że nieprzyjaciel w ciągu stu lat zlikwidował trzy podobne wyprawy. Ponadto większa część kontynentu północnoamerykańskiego jest w stanie wojny. Każde plemię walczy z innymi. To oznacza, że podczas kontaktów z wami Indianie będą bardzo podejrzliwi. Z drugiej strony możecie tego użyć dla własnej korzyści. Dalej, udało mi się zmienić priorytety swoich przełożonych i w ten obszar kierują się dwaj nasi agenci. Jednak czy w ogóle dotrą na miejsce, to się okaże.

- Kto? Vega?

Przez twarz Ljuby Bytewskiej przebiegł krótki uśmiech. Kovař dopiero teraz zauważył, że jest zmęczona. Chyba w ostatnim czasie nie spędziła zbyt wielu godzin w łóżku.

- Gdyby było można, posłałabym go razem z całą artylerią, jaką dysponujemy.

Niestety, w ciągu kilku najbliższych miesięcy do świata, w którym pan przebywa, nie można bez specyficznych skutków wysłać czegokolwiek czy kogokolwiek. To świat niesynchroniczny, szczegóły wyjaśni panu później profesor von Wonder. Tylko wtedy, gdy naczelne dowództwo wojskowe zdecyduje, że chodzi o przypadek najwyższej konieczności, wytworzy twarde okno. Ale żołnierze agencji nigdy nie liczą zabitych. Ani cudzych, ani własnych, a to znaczy, że dla pana i ludzi w pana otoczeniu lepiej będzie obejść się bez żołnierzy, John. Może ucieszy pana, że jeden z agentów usiłujących tam dotrzeć jest panu znany, to...

Szefowa oddziału do zwalczania międzyświatowego przemytu znikła nagle w czarnej plamie, która pochłonęła całe pole widzenia Kovařa. Później ciemność przestała być absolutna i JFK uświadomił sobie, że leży w śpiworze, czuje łagodne kołysanie łodzi, zapach morza i słyszy ciche oddechy śpiących wokół niego ludzi. Rzeczywistość wróciła, a głowa już go nie bolała.

* * *

Sturlurson obudził ich skoro świt. Wyciągnęli kotwicę i tylko na wiosłach, ostrożnie zbliżyli się do brzegu. Dwudziestu ludzi wysiadło na ląd i zachowując maksymalną ostrożność, w zwartym szyku z tarczami i bronią ruszyło ku miejscu, z którego wieczorem unosił się dym.

Znaleźli spaloną wieś indiańską. Ogień strawił chaty, okoliczne pola i większą część palisady. Między resztkami natrafili na kilkadziesiąt zwęglonych ciał. McCathail chodził po pogorzeliśku tak długo, aż wzbudził zniecierpliwienie pozostałych. Kovař mu towarzyszył i uważnie obserwował, jak Irlandczyk bada poszczególne pozostałości przedmiotów znalezionych w popiele. Nie przestawał też obserwować okolicy. Nie chciał, żeby znajdujący się być może w pobliżu nieprzyjaciel zaskoczył ich

niespodziewanym atakiem. Dwudziestu uzbrojonych po zęby wikingów w kolczugach było oczywiście o wiele trudniejszym przeciwnikiem niż Indianie, ale mimo wszystko przygotowani ginęli później niż ci, którzy dali się zaskoczyć. W większości, od czasu do czasu.

Z gęstwiny najbardziej oddalonej od pogorzelska, która jakimś cudem uniknęła spalenia, wygramolił się rosomak. Kudłate zwierzę przez jakiś czas obserwowało ich podejrzliwie, a później ruszyło w kierunku leżącego nieopodal ciała, szturchnęło go nosem, prawie pogardliwie prychnęło i oddaliło się.

- Nie lubi pieczystego - stwierdził któryś wiking.

Żart nie wypalił, nikt się nie roześmiał.

McCathail w końcu wyprostował się, otarł czoło, zostawiając na nim ciemną smugę sadzy.

- Napastnicy nie brali jeńców ani zdobyczy. Po prostu przyszli, zmasakrowali wszystkich i zniknęli. Mieszkańcy bronili się, ale z jakiegoś powodu nic im to nie dało -

przekazał swoje spostrzeżenia Losetowi, który na tych oględzinach zastępował Sturlursona.

Ludzie skupili się jeszcze ciaśniej. Nie brać łupu ani jeńców? To było coś nienaturalnego. Po co w takim razie wojować?

- Skąd wiesz? - zapytał nieprzyjaźnie Loset.

- Dobrze wiem, jak wygląda spalona wieś, w której zabijają wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, a żadnego łupu nie biorą.

Irlandczyk patrzył Losetowi w oczy i Kovař wyczuł wzrastające między nimi napięcie.

Wystarczyłaby jedna nieopatrzna uwaga wikinga, a rudowłosy wojownik rzuciłby się na niego.

Loset na szczęście zdawał sobie z tego sprawę.

- No dobrze. Wracamy na łódź i opowiemy jarłowi, co tu znaleźliśmy.

* * *

Odeszli tak samo cicho, jak przyszli. Sturlurson nie obrócił łodzi, odpłynęli tyłem i zawrócili dopiero z dala od brzegu. Gad wyrzeźbiony na dziobie znów wskazywał kierunek. Informacje przyniesione przez grupę rozpoznawczą zaniepokoiły wikingów, ale tylko na chwilę.

Wstający dzień, świadomość własnej siły, jaką przedstawiało stu pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych wojowników, pomyślny wiatr i szybko przesuujące się wybrzeże, przypominające ludziom północy raj, spowodowały, że nastrój szybko się polepszył.

- Tyle zwierza, a jakie lasy - zamruczał oszołomiony Thori Sigfusson, a Kovařowi nie pozostawało

nic innego, jak zgodzić się z nim.

Po niebie przeciągały stada mew, alek, rybołówów, zewsząd dobiegał świergot i kłapanie dziobami. Polujące ryby i te, na które polowano, błyskały pod powierzchnią jak żywe srebro. Po krótkiej chwili dostrzegł niedźwiedzia pluskającego się w wodzie. Musieli często zmieniać kierunek, bo przybywało małych wysepek i całkiem sporych wysp. Drzewa rosnące nieraz na samej granicy przypływu były wyższe i potężniejsze niż te, które widzieli kilka dni wcześniej; ogromne buki i jodły przemieszane z mniejszymi od nich jaworami i świerkami kanadyjskimi. W miejscach, w których wpadały do morza liczne potoki, strzelały w niebo wysokie wieże gigantycznych topoli. Do morza? Kovař zastanowił się, a jego wzrok napotkał spojrzenie Olava Fryggvassona. On też zauważył niedźwiedzia, który pił wodę.

Wiking podniósł cebrzyk uwiązany do powrozu, opuścił do wody, wyciągnął i ostrożnie pociągnął łyk.

- Słodka, tylko ślad soli - powiedział głośno.

Ci, którzy dosłyszeli jego słowa, odwrócili się w drugą stronę, ale przeciwległego brzegu rzeki nie ujrzeli.

Kovař posłużył się drewnianym dzbankiem i porządnie napił. Wiedział, że Rzeka Świętego Wawrzyńca jest ogromna, ale rzeczywistość go zdumiała. Nie miał tu za sobą tysiąca lat postępu, stalowni, silników, okrętów, przy których największe wieloryby wydawały się małymi stworzeniami. Byli osamotnieni, skazani na siłę swych ramion, swoją pomysłowość i to, co zabrali ze sobą. Tu była Kanada. Dzika i niezmiernie.

* * *

Dopiero na trzeci dzień zaczęli sobie uświadamiać, że istotnie są na rzece, chociaż przeciwległy brzeg można było dojrzeć tylko przy wyjątkowo dobrej widoczności. Ludzie rozprawiali o tym, ile złota ukrywa się w skarbcach miast leżących w tak bogatym kraju i ile trudu sprawi ich zdobywanie. Kovař nie brał udziału w tych debatach, myślał o dwóch agentach i miał nadzieję, że Bytewska jeszcze raz się z nim połączy.

Sturlurson rozglądał się za wyspą dogodną do przenocowania, a do Kovařa, który w zamyśleniu spoglądał na wybrzeże, przysiadł się Fryggvasson.

- Ta rzeka to znakomita droga handlowa do wnętrza krainy. Z pewnością jeszcze kilkaset mil będziemy po niej płynąć.

Kovař przytaknął i czekał, do czego zmierza bywały w świecie wiking. Jego chiński towarzysz stał w pobliżu i słuchał, McCathail natomiast rozmawiał opodal z Losetem, obaj byli doskonale słyszalni.

- Jeśli są tu jacyś *skrælingar* sprytniejsi i mocniejsi niż pozostali, to zbudują fortecę w miejscu, z którego będą mieli wgląd na całą szerokość rzeki i będą mogli kontrolować handel pomiędzy wybrzeżem a wnętrzem kraju.

Sprytnie to było pomyślane i Kovař znów poczuł podziw dla mądrości wikińskiego wojownika.

- A co na to nasz jarl? Mówiłeś z nim o tym? Morska Żmija kluczy to tu, to tam, jakby poszukiwał takiej twierdzy.

Fryggvasson tylko kiwnął głową.

A nieprzyjacielski agent oczywiście dobrze wie, gdzie znajduje się indiańska osada, ilu liczy mieszkańców, ilu z nich jest wojownikami i jak są uzbrojeni, dopełnił w duchu zachmurzony Kovař.

* * *

Obudził się skoro świt, tak jak chciał. Im bardziej zdany był na własne siły, tym bardziej stawał się człowiekiem pralasu, wojownikiem polegającym na zmysłach, instynkcie i sile woli. Wstał i rozejrzał się po okolicy, czy nie widać gdzieś dymu. Powietrze było czyste, widoczność doskonała. Indianie, o ile jacyś mieszkali w pobliżu, na pewno dopiero szykowali się na spotkanie nowego dnia.

Cicho, żeby nikogo nie obudzić, ruszył ku wierzchołkowi wysepki, na której obozowali. Gęsta trawa była mokra od rosy, liście drzew błyszczały wilgocią. Tuż przed szczytem wzgórza dojrzał dwie postaci stojące przy pniu starej jodły. Inni mieli taki sam pomysł jak on. Fryggvasson i McCathail. Sturlursona dostrzegł na niższym pagórku, trochę bardziej na wschód. Kovař pomyślał, że z tamtego miejsca jarl nie miał tak dobrego widoku.

Ale może interesował go tylko prawy brzeg rzeki... Jak gdyby wiedział więcej niż inni.

Czekali na nadejście dnia i rozglądali się w milczeniu. Kovař poczuł, jak na pagórku robi mu się coraz zimniej. Kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią wody wiał rześki, chłodny wiatr.

- Tam. - McCathail wskazał na północny zachód.

Dopiero po chwili Kovař dostrzegł ledwo widoczny słup dymu. Zastanawiał się, czy dym z jednego ogniska byłby widoczny z takiej odległości. Raczej nie.

- To bliżej niż pół dnia łodzią od nas - zauważył Fryggvasson.

W tej chwili spostrzegli Sturlursona schodzącego ze swego stanowiska obserwacyjnego.

Wrócili do obozu i zastali klnących ludzi gaszących ledwie rozpalone ogniska.

- Dziś żadnego ciepłego śniadania nie będzie - oznajmił Sturlurson bez dalszych wyjaśnień. - Odpływamy, gdy tylko wsiądziemy do łodzi - dodał jeszcze i wystarczyło to jedno zdanie, żeby leniwie budzący się do życia obóz zmienił się w ruchliwe mrowisko.

Nikt nie wątpił, że jasnowłosy demon dotrzyma słowa. Jedynym, który nie wyglądał

na zaskoczonego czy podnieconego, był Jori Loset. Na pewno dobrze znał zamiary dowódcy.

Sturlurson wezwał do siebie kilku najbardziej poważanych wikingów, między innymi Kovařa, McCathaila i co dziwne, również Li Cheu.

- Sądząc po dymach, na prawym brzegu rzeki znajduje się wielka osada *skrälingar*.

Potrzebuję ludzi, którzy zbadają tę okolicę. Wysadzę ich na brzegu o pół dnia marszu od osady i zabiorę z tego samego miejsca następnego dnia albo kolejnego.

Zgromadzeni popatrzyli po sobie. Czym innym było zaatakować wraz z towarzyszami, poszukać sławy w bitwie albo śmierci, a czym innym wydać się z jednym czy dwoma ludźmi na łaskę i niełaskę obcej ziemi.

- Potrzebuję mężów, którzy dadzą radę przemknąć borem po cichu i wrócić -

dokończył Sturlurson.

- Ja to zrobię - zgłosił się Jori Loset.

Jarl pokręcił głową.

- Jesteś moim zastępcą, przy takiej akcji nie mogę ryzykować twojej utraty.

Odrzucił też drugiego kandydata i Kovař dobrze wiedział dlaczego. Rurik należał

wprawdzie do najlepszych wojowników, ale zupełnie nie nadawał się do ostrożnego patrolu.

Raczej do czołowego ataku na rząd tarcz nieprzyjaciela.

- Już raz obserwowałem osadę *skrälingar*, mogę to zrobić jeszcze raz - Kovař usłyszał

swój głos i aż wstrzymał oddech.

To mogło okazać się jeszcze bardziej ryzykowne niż przedzieranie się przez górskie bory Gwatemali. Tubylcy byli tam na wpół cywilizowani i zapomnieli części umiejętności swoich przodków dotyczących łowiectwa i tropienia śladów. Indianie mieli wszystkie atuty w rękach. Nie mógł jednak dopuścić do wywołania przez któregoś ze zwiadowców niepotrzebnej utarczki, a co więcej, potrzebował jak najwięcej informacji.

- Ty zawsze wolisz mieć pod nogami ziemię niż pokład łodzi, co? - wyszczerzył zęby Loset, a Kovař pod przykrywką zwykłego pytania wyczuł prześmiewkę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zwracać uwagi na lekki przytyk, czy podjąć jakąś kontrakcję, ale zrezygnował. Na to będzie dość czasu po powrocie z wyprawy.



ZWIADOWCY, WODZOWIE I WOJOWNICY

Bór liściasty jest o wiele rzadszy i jaśniejszy niż jego tropikalny lub iglasty odpowiednik. Szerokie korony drzew powodują, że pnie rosną z dala od siebie, a krzewy muszą tłoczyć się na każdym choć trochę tylko nasłonecznionym miejscu. Ale Kovař wiedział, że to złudzenie, marsz zwiadowców hamowały liczne wykroty, skupiska leszczyn albo potoki o brzegach porośniętych wierzbami. Co więcej, w każdym takim zakamarku mógł się kryć nieprzyjaciel.

Szli cicho, on, McCathail i Fryggvasson, drugą grupę patrolową, wysadzoną o kilka mil dalej, tworzył ogromny Sigfusson, Sven i Spar Gurgysson. Sturlurson wierzył, że silny Gotlandczyk, mający naturalny autorytet, pohamuje bojowe zapędy swych towarzyszy. Kovař zgadzał się z jarlem, to był dobry wybór.

Do szumu liści dołączył odgłos płynącej wody. Nie bulgotanie bystrego strumyczka, ale odgłos, jaki wydaje duży potok lub rzeczka. McCathail, idący na czele, przystanął i pochylił się, Kovař natychmiast zrobił to samo, skupiając uwagę na terenie po swojej lewej stronie. Fryggvasson obserwował prawą. Ten sposób patrolowania pralasu zrodził się samoczynnie, przedtem nie poczynili żadnych ustaleń.

- Przez te krzewy ktoś przechodzi. Ostrożnie, ale dość często - syknął Irlandczyk.

Kovař zbliżył się i spojrzał we wskazanym kierunku. Delikatne listki i najcieńsze gałązki z jednej strony krzewu były połamane i zwiędłe. McCathail wsunął się głębiej w gęstwiny i odkrył wąskie przejście utworzone przez wyrwany celowo krzew. Prowadziło w kierunku wody. Fryggvasson rozejrzał się, Kovař zauważył, że oddycha głęboko i stara się wyczuć w powietrzu ślad obecności innego człowieka. McCathail palcami obmacywał ziemię przed sobą. Wystarczyła jedna chwila, a zaczęli zachowywać się jak zwierzęta. Przeistoczyli się w myśliwych, którzy w każdej chwili mogą paść ofiarą innych myśliwych. Irlandczyk opadł na czworaka i wpełznął do przejścia. Kovař

wymienił krótkie spojrzenie z Fryggvassonem i poszedł w jego ślady.

Czołgał się za McCathailem, zwracając uwagę, żeby ciemieniem ani plecami nie zawadzić o pędy nad głową. Słońce prześwitywało poprzez krzewy, kreśląc na ziemi ostre plamy światła, tuż przy poszyciu lasu zapach wilgoci i wody był wyraźniejszy. Irlandczyk posuwał się coraz wolniej i ostrożniej, aż w końcu położył się na brzuchu i znieruchomiał.

Przejście rozszerzało się w tym miejscu i Kovař mógł ułożyć się obok niego. Otwierał się przed nimi widok na występ rzeki, oddzielony od głównego nurtu wąską przestrzenią pomiędzy dwoma złamanymi drzewami. Miejsce stanowiło znakomicie chronioną przystań dla dużego kanoe z kory brzoźowej. Było większe niż łodzie, do których Kovař był

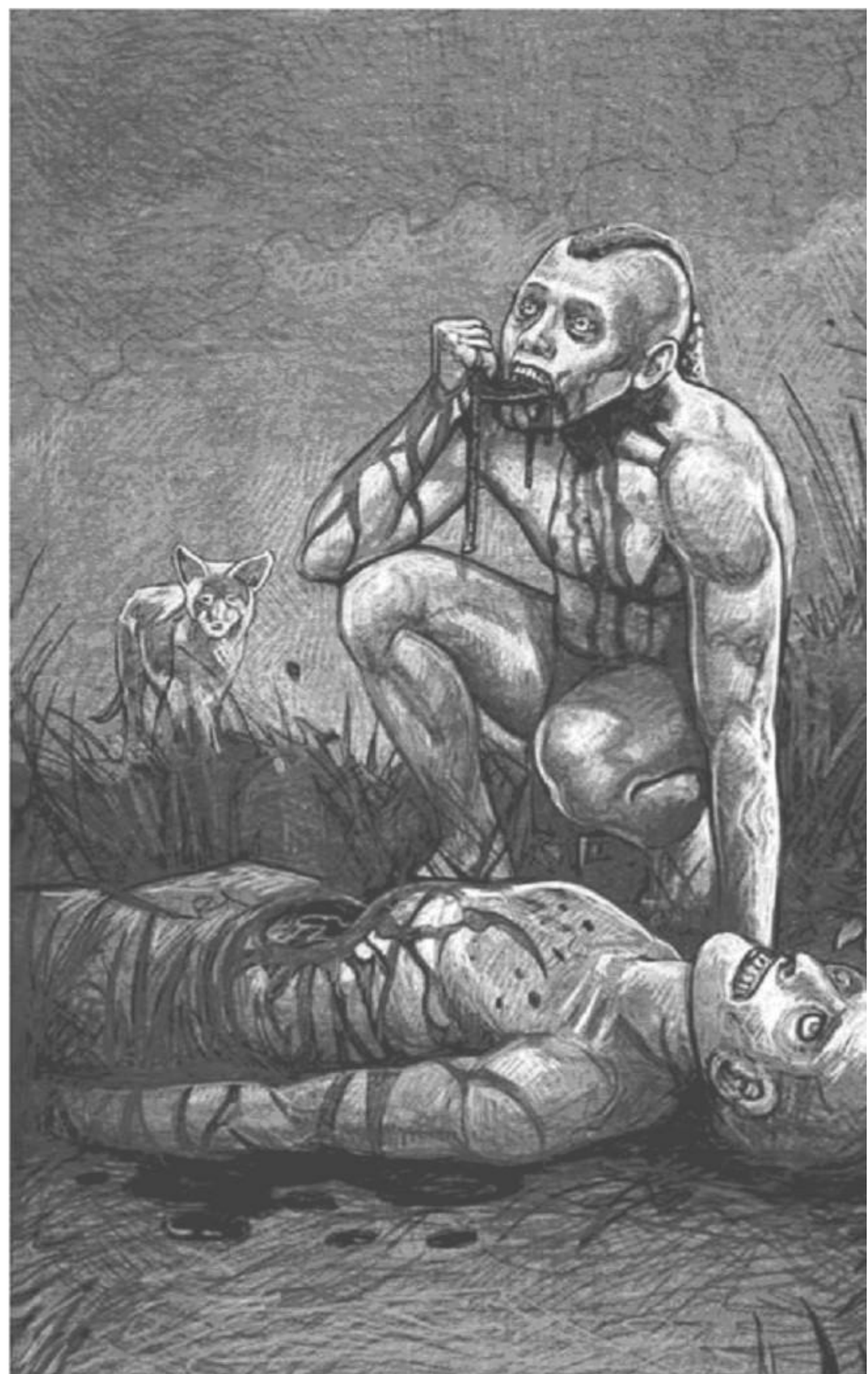
przyzwyczajony. Oceniał, że znalazłoby się w nim dosyć miejsca dla czterech ludzi i dużego ładunku. Oczywiście nie dlatego McCathail starał się zachować szczególną ostrożność. Kovař spoglądał to w lewo, to w prawo i posunął się nieco do przodu, żeby zobaczyć część zatoczki, którą zakrywała mu głowa Irlandczyka.

Na brzegu, z nogami w wodzie, leżał na plecach człowiek. Był dobrze zbudowany, umięśniony, szerokie kości policzkowe i płaski nos znamionowały Indianina, zapewne z plemienia północnego, gdyż wydawał się nieco podobny do Inuitów, mieszkańców zimnych obszarów. Nad nim siedział w kucki inny Indianin. Szczuplejszy, o bardziej pociągłej twarzy.

Obojętnie przyglądał się powierzchni wody i coś przeżuwał. Nie licząc przepaski na biodrach, był nagi, a wszystko wskazywało na to, że zupełnie mu nie zależy na ubraniu, bo podczas przedzierania się przez cierniste krzewy tak podarł swój mizerny przyodziewek, że przepaska mogła z niego spaść w każdej chwili. Nagle zrobił coś, co zaparło Kovařowi dech. Dopiero po chwili agent zrozumiał, co widzi.

Żywy Indianin sięgnął ręką w głąb otwartego brzucha martwego i jakby siedział przy szwedzkim stole, urwał sobie kawałek jego wnętrzości, włożył do ust, a potem bez pośpiechu zaczął żuć. Kovař poczuł, jak McCathail się wstrząsnął. W pobliżu trupa leżała pałka z kamienną głowicą i skórzany worek. Zabity wyraźnie próbował się bronić, ale nic mu z tego nie przyszło.

Kolejny kęs. Kovař spostrzegł, że kanibal ma dziwaczną postawę, w jakiś sposób odmienną od ludzkiej. Jakby cały czas był rozluźniony i używał tylko tych grup mięśni, które były niezbędne do wykonania pożądanego ruchu. A oczy? To one były najdziwniejsze. Białka zaczerwienione, tęczęwki intensywnie niebieskie. Z taką pigmentacją musiał być w pełnym świetle prawie ślepy, osądził Kovař. Tu jednak znajdował się w półmroku gęstych krzewów, co pewnie pomagało mu widzieć.



Trawa zaszeleściła, ktoś zbliżał się brzegiem rzeki. Indianin obojętnie spojrział w kierunku, skąd dobiegał dźwięk, i znów sięgnął do brzucha trupa. Kovař odniósł wrażenie, że jego ręce mają niezwykle kształt, choć nie był tego pewny. Pomiedzy dwiema kępami trawy pojawił się kojot, przywabiony zapachem padliny. Indianin przestał żuć i zmienił się w nieruchomy posąg. Zwierzę zbliżało się ostrożnie, oczekując sutej uczyty. Człowiek go nie interesował, jego zapachem, nie wiadomo czemu, nie był nawet zaniepokojony. Indianin blokował mu dostęp do trupa, więc zбочył z drogi i naraz zaskowyczał i zwiotczął. Kanibal złapał kojota za gardło i szarpnął.

Ten ruch był tak szybki, że Kovař zarejestrował go dopiero po fakcie. Martwe zwierzę opadło ku ziemi, ale kanibal, nie puszczając, podniósł je wyżej, zębami rozdarł szyję i zaczął pić ciepłą krew. Cały czas obojętny wzrok miał skierowany gdzieś w przestrzeń.

McCathail piędz po piędzi zaczął się wycofywać, a Kovař po chwili zrobił to samo.

W milczeniu wrócili do Fryggvassona i zwięzle opowiedzieli mu, co widzieli.

- Był szybki, nieludzko szybki - stwierdził na koniec Kovař.

- Szybszy od ciebie? - zapytał Fryggvasson.

- Szybszy od Sturlursona czy jakiegokolwiek człowieka, którego spotkałem -

odpowiedział zamiast niego McCathail. - I miał dziwne ręce. Wyglądały bardziej na łapy.

Krótkie palce z pazurami - dodał jeszcze.

Wiking spojrział na Irlandczyka z powątpiewaniem.

- Wilkołak?

Kovař nie chciał, żeby mężczyźni ulegli zabobonnemu strachowi, ale nie mógł

zaprzeczyć, że w kanibalu było coś bardzo szczególnego.

- Być może, chociaż krwawi. Widziałem na jego plecach kilka szram. To znaczy, że nawet jeśli jest wilkołakiem, można go zabić.

- To dobra wiadomość - wyszczerzył zęby rudzielec. - Ale gdy zdecydujemy się go zabić, chciałbym mieć przy sobie miecz, topór i tarczę. A więc na razie odłóżmy to na później i chodźmy dalej.

Kovař przytaknął i pierwszy ruszył w kierunku zachodnim. Spotkał się z nową zagadką, czy mogła mieć coś wspólnego z dotychczasowymi wydarzeniami? Czyżby ten nieludzko szybki kanibal miał jakiś związek ze spalonymi lub opuszczonymi wioskami albo z magiczną, biologicznie aktywną substancją? Ta myśl go zmroziła. Jeśli tak, to będzie musiał

skorygować swoje wyobrażenia o tym, co jest możliwe, a co nie. O ile oczywiście wyniesie stąd

całą skórę.

Posuwali się pralaszem niczym doświadczony zespół zwiadowczy i stopniowo znajdowali coraz więcej oznak obecności ludzi. Wydeptane ścieżki łowieckie i komunikacyjne, wypalone przestrzenie lasu obsadzone dyniami, kukurydzą i fasolą, brzegi dużych potoków przystosowane do połowu ryb, klony ze śladami zacięć charakterystycznych dla zbierania syropu. Chociaż na pierwszy rzut oka nic o tym nie świadczyło, była to ziemia zamieszkiwana przez ludzi.

Gdy natrafili na kamieniołom, z którego jeszcze niedawno wydobywano łupki, Fryggvasson się zatrzymał.

- Odpocznijmy i naradzimy się, już mamy niedaleko.

Kamieniołom zdumiał Kovařa. Nie rozumiał, do czego Indianie potrzebują łupków.

- Dobre na dachy. Dachówki z łupków są lepsze niż mech albo wiklina. Oczywiście jeśli masz pod ręką odpowiedni materiał - wyjaśnił niepytany McCathail.

- Sądząc z tego, ile kamienia wydobywają, to musi być duża osada, może nawet miasto

- rozważał na głos Fryggvasson.

- Rozdzielimy się. Gdyby złapali jednego z nas, pozostali będą mogli uciec -

zapropozował Kovař.

Wiking i Irlandczyk popatrzyli po sobie.

- No tak, John samotny wilk. Czy wiesz, że niektórzy boją się ciebie bardziej niż Sturlursona? - wykrzywił twarz McCathail.

Kovař zrobił nieokreśloną minę.

- Podobno jest w tobie coś z dawnych olbrzymów, jesteś bardzo poważny i bardzo tajemniczy, a przy tym niczego się nie boisz.

- Ja? Według mnie wesoła gromadka to jest na cmentarzu! - odparł Kovař i wstał.

- No właśnie, twoje żarciki potrafią człowieka zmrozić - powiedział Irlandczyk.

JFK wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie będzie dobrze, jeśli dacie się złapać. Ci *skrälingar* torturują jeńców.

McCathail z triumfem spojrzał na Fryggvassona.

- A nie mówiłem? To właśnie są jego żarty.

Po dwóch godzinach marszu przez las Kovař mógł nareszcie ocenić wielkość indiańskiej siedziby. Na wyspie, nad rzeką, znajdowała się ogrodzona palisadą osada, w porównaniu z poprzednio widzianymi siołami prawdziwa twierdza. Pale tworzące częstokół

wykonano z potężnych pni, wydawało się, że z drugiej strony zbudowane są podesty dla obrońców. W odróżnieniu od ostrokołów spotykanych w Europie poszczególne pale nie były jednakowej wysokości, co stwarzało naturalne strzelnice dla łuczników. Poniżej palisady rozrzucone były indiańskie chaty, niektóre długie na ponad czterdzieści metrów. Pomiędzy nimi znajdowały się poletka i spłachcie nieuprawianej ziemi.

John obszedł siedlisko dużym łukiem, poprzez gaj wiązów pozbawionych kory, którą Indianie używali do wykładania ścian domów.

Parę razy natrafił na grupy mężczyzn i kobiet zajętych pracą. Zauważył, że będąc przecież na swoim terytorium, wciąż zachowują dużą ostrożność, jakby się czegoś obawiali.

W pewnym momencie przeciął wąską ścieżkę wyraźnie służącą do komunikacji i handlu z innymi osadami, położonymi w dole biegu rzeki. Nie musiał być mistrzem czytania śladów, żeby stwierdzić, że tą dróżką przeszła niedawno duża grupa ludzi. Z ciężkimi ładunkami, niektórzy ranni. Wszyscy zmierzali do twierdzy.

Powoli wracał do miejsca rozstania z Fryggvassonem i McCathilem, gdy dobiegł go odgłos ożywionej rozmowy w języku pełnym samogłosek. Przez las przechodziła grupa mężczyzn obciążonych bagażem. Na grubej gałęzi, jak zdobycz łowiecką, nieśli ludzkie ciało.

Kovař zaryzykował i skryty pośród leszczyn zmienił miejsce, żeby uzyskać lepszy widok.

Opłaciło mu się. Ciało, które nieśli Indianie, nie było całkowicie ludzkie. Związane dłonie przypominały raczej łapy drapieźnika z rodziny kotów, szczeka wystawała do przodu jak u goryla. Skóra martwego wydawała się cienka niczym papier, ścięgni pod nią uwidaczniały się nienaturalnie wyraźnie.

Indianie przeszli, a Kovař odetchnął z ulgą.

* * *

Na miejsce, w którym miała na nich oczekiwać Morska Żmija, wrócili dopiero po dwóch dniach. Zaledwie wsiedli do łodzi, Sturlurson odbił od brzegu i wpłynął pomiędzy dwie wysepki, gdzie odkrył kotwicowisko niewidoczne z obszaru zajmowanego przez twierdzę.

Sigfusson ze swoimi ludźmi był już na łodzi, a sądząc z wyrazu ich twarzy, nie przynieśli dobrych wiadomości. Sturlurson poczekał na meldunki aż do zacumowania, żeby pomówić z Kovařem i jego towarzyszami na osobności.

W milczeniu wysłuchał relacji i zaczął rysować na piasku.

- Sigfusson ze swoimi towarzyszami miał za zadanie zbadać okolicę położoną bardziej na zachód i ku

wnętrzu łądu. Odkrył dwie wioski, obie niedawno spalone. Przedtem znaleźliśmy jedną dużą osadę spaloną i jedną małą opuszczoną. Jedyne miejsce, w którym tubylcy pozostali nie niepokojeni, odkryliśmy zaraz po wylądowaniu - komentował rysunek. -

Jakby ta wojna toczyła się tylko kawałek od nas. A w twierdzy nad rzeką już z pewnością o niej wiedzą - dodał. - Ilu ludzi może być w środku? - zapytał, spoglądając na McCathaila.

- Może nawet i tysiąc - odpowiedział spokojnie Irlandczyk. - I kolejny wokół twierdzy.

A wiemy, że w ostatnim czasie dotarła tam duża grupa złożona z dziesiątków, a nawet setek *skrälingar*. Założę się, że w większości wojownicy.

- Dobrze zaplanowanym atakiem moglibyśmy ich rozbić i zrównać twierdzę z ziemią.

Zwyczajni wieśniacy uciekną. Jak dotąd nie widzieliśmy jeszcze prawdziwych wojowników -

przerwał McCathailowi Loset.

Sturlurson w zamyśleniu przyglądał się swemu przybocznemu.

- A czy się nam ta walka opłaca? Co będzie, jeśli zaraz po zwycięstwie spadną nam na kark armie, które niszczą wioski *skrälingar*?

- Zawsze możemy wsiąść do łodzi i odpłynąć.

Zamyślony Bjorkedal przeczyścił rękawem klamrę, która spinała jego płaszcz. W tym wilgotnym środowisku na metalowych przedmiotach szybko pojawiała się rdza.

- Ja bym najpierw sprawdził, czy opłaca się z nimi walczyć. Na razie nie zauważyliśmy bogato ubranych ludzi, handlowców, wielmożów. Kiepski łup.

- A co z tym dziwnym zjadaczem ludzkiego mięsa i złapanym wilkołakiem? -

zapytał Fryggvasson.

Mężczyźni siedzący wokół ogniska jarla zrobili zakłopotane miny, nikt nie chciał

pierwszy zabrać głosu.

- Można ich zabić - przypomniał Kovař i spojrzenia wszystkich zwróciły się na niego.

W trakcie narady ściemniło się, dźwięki dobiegające z pobliskiego lasu nabrały nagle innego znaczenia, niektórzy instynktownie ściskali w dłoniach talizmany ze znakami lub podobiznami swoich bogów.

Loset obserwował Kovařa, jakby zastanawiając się, czy coś powiedzieć, ale rozmyślił

się.

Li Cheu, którego do kręgu nie zaproszono, stał dość blisko i wszystko słyszał. Kiwnął lekko głową.

- To było właściwe słowo wojownika - Bjorkedal przerwał milczenie. - Mam wrażenie, że zanim się wzbogacimy, będziemy zabijać, zabijać i zabijać.

Te słowa skalda brzmiące dźwięcznie na tle trzaskania ogniska mogłyby być początkiem heroicznej sagi z dawnych wieków, w której wszyscy, dokładnie według prawideł starych legend, kończą bohaterską śmiercią.

Kovař, ujrawszy kończący naradę gest Sturlursona, pierwszy odwrócił się do odejścia. On bohaterską śmiercią umrzeć nie chciał. Jego zadaniem było wykryć i unieszkodliwić dwóch nieprzyjacielskich agentów, zakończyć bratobójczą wojnę Indian i odegrać rolę parlamentariusza, który pomoże bandzie podrzynaczy gardeł z północy nawiązać przyjacielskie stosunki z dumnymi łowcami i wojownikami.

- Przecież płacą mi cholernie dobrze - zamruczał, moszcząc się w śpiworze. - A jedzenie i mieszkanie mam za darmo.

Li Cheu spojrzał na niego podejrzliwie, bo Kovař powiedział to po czesku.

- Słuchaj, może lepiej wymyśliłbyś jakąś maść na wilkołaki - doradził mu Kovař.

- Ja już na tym pracować, waleczny John - wyszczerzył zęby chudy Chińczyk.

JFK wolał zamknąć oczy i udawać, że śpi. W rzeczywistości rozmyślał o tym, kto mógł

być agentem. Najprawdopodobniej to jeden z przybocznych jarla. W ten sposób mógł łatwo wpływać na losy całej wyprawy. Albo zwykły, szeregowy wojownik, który chował w swym worku materiał wybuchowy czy inną broń, za pomocą której był w stanie zniszczyć wszystkich wikingów. Jednak taka broń po długich miesiącach z trudem oparłaby się degeneracji spowodowanej efektem Maurby'ego. Chyba że chciałby użyć na przykład czarnego prochu. On już został lub wkrótce zostanie wynaleziony w tym świecie.

* * *

Rano Sturlurson poprowadził Morską Zmiję ku odkrytemu brzegowi pod twierdzą, w miejsce, z którego mogli szybko wypłynąć na wodę i uciec Indianom dysponującym jedynie małymi kanoe, ale równocześnie niedające żadnej widomej korzyści strategicznej dla ewentualnego ataku na twierdzę.

- Chce rozmawiać - Fryggvasson odgadł zamiary jarla. - Nie chce wystraszyć *skrälingar* i przypląwa za dnia na miejsce, z którego niełatwo byłoby zaatakować.

- Żeby tylko oni nas nie zaatakowali - mruknął Sven.

- Masz miecz - wzruszył ramionami ogromny Gotlandczyk.

- Nie widziałem u nich żadnej broni z żelaza - oznajmił Fryggvasson. - Może powinniśmy im jakąś podarować, żeby było chociaż trochę zabawy.

Ktoś się zaśmiał, a Kovař poczuł, że jemu też nastrój się polepszył. Czarny żagiel wydymał się na wietrze o wiele weselej.

Wylądowali na płaskim, piaszczystym brzegu. Żmiję zostawili na wodzie na tyle daleko, żeby nie została zepchnięta przez wiatr, ale żeby mogli w jak najkrótszym czasie znów wypłynąć na rzekę. Żagiel ściągnęli, sześćdziesięciu sześciu ludzi siedziało przy wiosłach, pozostali oczekiwali w pełnych zbrojach, gotowi wyskoczyć na brzeg lub ochraniać wiosłarzy.

Sturlurson w zbroi, z mieczem w pochwie i bojowym scramasaksem u pasa stał na dziobie z wielkim pakunkiem pod pachą. Z nikim nie konsultował swoich zamierzeń. Jako dowódca nie musiał tego robić, ale ludzie byli ciekawi i oczekiwali, co uczyni.

- John - wskazał Kovařa - i Fryggvasson pójdą ze mną. Ty też - zwrócił się ku powszechnemu zaskoczeniu do Li Cheu. - Jesteś do nich bardziej podobny niż my. Może wezmą cię za takiego samego człowieka jak oni. Niech każdy z was weźmie ładunek drewna i mięsa.

Zamilkł na chwilę. Kovař stłumił uczucie zaskoczenia i po raz setny tego dnia sprawdził miecz i nóż u pasa oraz tarczę. Mimowolnie odczuwał zdenerwowanie. To było coś innego, cholernie innego niż sytuacje, które do tej pory przeżył. Trochę jak w filmie awanturnicznym. Zdawał sobie jednak sprawę, że łatwo może całkiem niefilmowo zginąć. Z

hełmu wypadło kilka kryształków soli, zlizał je z rozmysłem. Smakowały przyjemnie, gorzkawo. Lepiej niż jakakolwiek sól w życiu.

- Bjorkedal dowodzi zbrojnymi - jarl zwięźle wydawał dalsze rozkazy. - Sven, Sigfusson, bracia Briggvassonowie, Spar, McCathail będą gotowi przyjść nam z pomocą jako pierwsi. Jori Loset dowodzi łodzią i wiosłarzami. Jest moim zastępcą i nie może wychodzić na brzeg, dopóki nie wydam takiego rozkazu.

Kovař się rozejrzył. W bezpiecznej odległości przepływało kilka dużych kanoe, ale nawet wszystkie razem nie przedstawiały dla Morskiej Żmii najmniejszego zagrożenia. Burta drakkara sięgała zbyt wysoko, aby można było wykonać atak z poziomu wody.

Snori Sturlurson bez dalszej zwłoki wskoczył do wody, sięgającej mu zaledwie do kolan. Zaczął brodzić do brzegu. Kovař odetchnął głęboko, podniósł wiązkę drewna i skoczył

za swoim dowódcą. Agencja i jej cele poszły z nagłą w zapomnienie. Stał się człowiekiem z mieczem za pasem. Tylko on, jego towarzysze i jarl, od którego decyzji zależało ich życie.

Pięćdziesiąt kroków od brzegu, pięćdziesiąt kroków, które dłużyły się jak pięćdziesiąt kilometrów, nim Sturlurson dał znak i usiadł na piasku. Kovař zaczął rozpalać ogień, Fryggvasson i Li Cheu przygotowywać mięso i pręty do opiekania. Później usiedli wokół

ogniska, słuchając szumu wiatru, skwierczenia tłuszczu i trzaskania płomieni.

Nic się nie działo, ale Kovař mimo to był pewny, że kilkadziesiąt metrów od nich spoza palisady obserwują ich uważne oczy. Znał zasady tej gry, rozumiał ją. Była stara jak świat, jak ludzkość, jak ludzie zabijający innych ludzi.

Pierwsze paski mięsa były przypieczone. Li Cheu zdjął je z prętów, położył na tarczy Fryggvassona i razem z wikingiem zaczął piec następne kawałki. Kovař dokładał do ogniska w taki sposób, aby drewna wystarczyło na długo. Chociaż było chłodno i wiał rzeński wiatr, czuł krople potu pod hełmem. To przypominało rosyjską ruletkę, może coś jeszcze gorszego.

Nagle w górze na stoku pojawiły się cztery postaci, a każda z nich niosła jakieś przedmioty. Kovař nawet najmniejszym ruchem nie dał znać, że ich dostrzega.

W końcu podeszli. Jako pierwszy kroczył dobrze zbudowany mężczyzna o wygolonych skroniach, z czarnymi włosami splecionymi w warkocz. Głowę zdobiło duże orle pióro zatknięte za opaskę na czole. Tubylec nosił osobliwą odzież splecioną ze sznurów i kory brzozonej oraz płaskich kawałków kości. Kovař ze zdumieniem rozpoznał prymitywną zbroję. Musiała być jednak dość odporna na ciosy broni niewykonanej z żelaza. Wódz szedł

uzbrojony w coś przypominającego morgenstern, pałkę połączoną pasem skóry z kamienną kulą, do której przymocowane były porozcinane groty sporządzone z rogu. U pasa na lince wisiał szczególny nóż, prawie dwudziestocentymetrowe kamienne ostrze z łupanego krzemienia osadzone w niedźwiedziej szczęce. Twarz miał starą, ogorzałą od słońca i mrozu, pobrużdżoną bliznami i dawno zagojonymi ranami. Oczy ciemne, spojrzenie pewne siebie i harde. To był pan wojowników, wynikało to z każdego jego ruchu i spojrzenia.

Towarzyszył mu starszy mężczyzna ubrany w wilcze skóry, z wilczą czaszką na głowie oraz młody wojownik. A także... Coś podobnego! Kovař wciągnął powietrze. Kobieta!

Była wysoka, wyższa nawet od wodza, atletycznie zbudowana. W odróżnieniu od niego zostawiła sobie wszystkie włosy, a warkocza nie zaplotła w skomplikowany węzeł, lecz pozwoliła mu swobodnie zwisać. Ubrana była w długą bluzę z jeleniej skóry, spódnicę z frędzlami i nogawice z grubej bawolej skóry. W ręce trzymała coś w rodzaju nadziaka z rogu leśnego bizona, u pasa miała taki sam nóż jak wódz. Sądząc z wyrazu twarzy, musiała w ostatnim czasie sporo wycierpieć. Nie umniejszało to jednak jej dumy i pewności siebie. Była to... Kovař przełknął ślinę i przymusił się do zachowania pokerowej miny. Poznał ją. To była Marilyn Morgan, pracowniczka agencji, którą spotkał jeszcze jako przemytnik, kiedy polowała na niego równocześnie policja, armia i agencja. Co tu, u diabła, robiła? Czy pracowała dla drugiej strony? Nie przypuszczał.

Czwórka Indian usiadła po drugiej stronie ogniska, młody wojownik rozwinął swój pakunek i włożył do ognia przyniesione przez Indian mięso, a na rozpalone kamienie położył

grube na palec placki z ciemnego ciasta.

Gra toczyła się dalej.

Sturlurson odczekał, aż jedzenie Indian będzie gotowe, potem zdjął ze swojego pręta najlepszy pasek mięsa, kawałek odkroił i zjadł, a całą resztę podał wodzowi. Ten przyjął dar i powtórzył gest wikinga. Po niedługim czasie wszyscy ostrożnie i pomału podjadali mięso i placki, każdy z zapasów drugiej strony.

Kovař nie odważył się skupić uwagi na Marylin Morgan i zaczął przyglądać się najstarszemu z Indian, którego uważał za szamana. W chwili gdy napotkał jego spojrzenie, poczuł, że spada w jakąś bezdenną przepaść. Świat się rozplynął, czarne, urzekające oczy zmieniły się w ogromne, szybko rosnące jeziora. I nagle wyłoniła się z nich Ljuba Bytewska.

Tym razem ku uldze Kovařa nie miała na sobie wyzywającej bielizny, lecz stalową zbroję, godną każdego rycerza późnego średniowiecza.

- A więc znów się spotykamy, John - zaczęła po prostu. - Żyje pan, a to znaczy, że dobrze panu idzie. Proszę o zwięzłość, nie wiem, jak długo ten stary oszust będzie miał

ochotę z nami współpracować.

Kovař zaczął się już przyzwyczajać do szokujących wrażeń, których mu dostarczały technologia, pseudotechnologia i magia używane przez agencję.

Bez wahania przekazał meldunek, zwracając uwagę na realny upływ czasu, jaki mu to zajęło.

- Dziękuję. Teraz kilka informacji dla pana. Marylin Morgan jest naszym rezydentem.

Pozostaje na miejscu już od pięciu lat. Wiem, że spotkał ją pan przed kilkoma miesiącami pańskiego subiektywnego czasu, ale to są proste paradoksy właściwe dla światów równoległych. Wewnątrz kontynentu trwa wojna i Morgan z pozostałościami swojego plemienia przebiła się aż do pana, żeby panu pomóc.

Kovař poczuł ulgę, obecność tłumacza znacznie zwiększała ich szanse.

- Podczas próby podesłania panu posiłków straciliśmy w walkach z Indianami komando szybkiego reagowania z naszego Wydziału Militarne. Jest jeszcze jeden oddział, ale ma do dyspozycji tylko krótkotrwałe okno. To znaczy, że będzie przebywał w pana świecie tylko kilka godzin, starając się w tym czasie zminimalizować szkody. Mają dla pana mnóstwo rozkazów, ale nie mam czasu ich teraz objaśniać. Co więcej, do ich wypełnienia potrzebowałby pan co najmniej kompanii zabijaków. Musimy polegać na Morgan i jej ludziach.

Kovař uświadomił sobie, co to znaczy. Morgan i jej wojownicy, dysponujący technologią z epoki kamiennej, poradzili sobie tam, gdzie nie dali rady specjaliści z dwudziestego pierwszego wieku. Musiała być dobra, cholernie dobra.

- A teraz gorsze informacje - kontynuowała Bytewska. - Wygląda na to, że druga strona zastosowała broń biologiczną drugiej klasy. Z najwyższym prawdopodobieństwem chodzi o pandemię choroby objawiającej się zwiększoną agresją, stłumieniem niektórych wyższych funkcji rozumowych, ale z równoczesnym zachowaniem zdolności do logicznego myślenia. Wszystko, co przedstawię dalej, jest tylko spekulacjami analityków. W pierwszej fazie zarażenia występuje podwyższony przymus migracji, chorzy się rozpraszają. W drugiej fazie migrujący stanowią nosiciele epidemii i zarażają innych ludzi. W trzecim, ostatnim stadium zmieniają się w agresywnych zabójców.

- A dlaczego nie pozabijają się wszyscy nawzajem? Masakra wymaga wspólnego działania większych grup - Kovař przerwał wykład swojej przełożonej.

- W grę wchodzi identyfikacja poprzez zapach lub pokrewieństwo. Nie zabija się krewniaka ani tego, którego się zaraziło podczas trwania drugiej fazy. Wraz z nimi tworzy się niszczycielską hordeę. Jednak jeszcze w fazie roznoszenia zarazy od wcześniej wspomnianych odłączają się jednostki, nadal szerzące zarazę.

- Dobrze, a co ze zmianami cielesnymi? - zapytał jeszcze Kovař.

Bytewska zrobiła minę, jakby jej nadepnął na odcisk.

- Nie wiem. To skomplikowana sprawa. Jeśli udział magii w tym zjawisku jest tak znaczny, jak się wydaje... - zawahała się. - To nie ma szans. Będzie pan zadowolony, jeśli szybko umrze i się nie zarazi. Mamy jednak nadzieję, że pański meldunek nie był do końca zgodny z prawdą i analitycy mylą się z tego powodu. W tak napiętej sytuacji, w jakiej się pan znajduje, John, otoczony zabobonnymi ludźmi, wystawiony na długotrwały stres graniczący z wytrzymałością zwyczajnego człowieka, byłoby to bardziej niż zrozumiałe. Nie pozostaje nam nic innego, niż zakładać, że u zarażonych do żadnych zmian fizjologicznych nie dochodzi.

- A co z agentami nieprzyjaciela? - przypomniał.

Bytewska wciągnęła głęboko powietrze, szykując się do odpowiedzi, aż uniósł się jej obfity biust, lecz niespodziewanie obraz rozpadł się i Kovař widział już tylko sardoniczny grymas starego szamana.

Podczas rozmowy ze swoją przełożoną zjadł prawie całą porcję i prawdopodobnie włączył się do dyskusji, jaka tymczasem się rozpoczęła.

- Dlaczego mielibyśmy z wami handlować? - usłyszał Morgan tłumaczącą w łamanym staronordyckim. - My wszystko mamy.

Negocjacje rozpoczęły się definitywnie.

Snori Sturlurson pochylił się i zaczął starannie rozpakowywać okazały pakunek, który przyniósł osobiście. Wszyscy przyglądali się temu z ciekawością. Gdy odwinął grubą skórę i dotarł do ostatniej warstwy cienkiego płótna, silniejszy podmuch wiatru porwał garść piasku i cisnął na pakunek. Sturlurson starannie, bez okazywania zniecierpliwienia, strzepnął

wszystkie ziarenka i odsłonił kolczugę, przyłbicę i miecz w pochwie wykładanej złotem oraz kamieniami szlachetnymi. Ostrożnie wyciągnął ostrze, pokazał wszystkim doskonałą strukturę damasceńskiej stali i schował broń do pochwy.

- To nie na handel. To jest dar naczelnika dla wodza.

Isi-woto, jak się nazywał indiański wódz, bez ceremonii ujął miecz do ręki. Sprawdził ostrze, machnął nim na próbę, jakby rąbał siekierą, i z zadowoleniem kiwnął głową.

- Przeciw takiej broni ubranie moich ludzi jest tak dobre jak skórzana czapka przeciw mojemu rozbijaczowi czaszek. - Poklepał swój morgenstern z epoki kamiennej.

- To znaczy, że do niczego - przetłumaczyła Morgan.

- Dobry dar. A co oferujecie na handel? - zapytał wódz, a Kovař zrozumiał sens jego wypowiedzi nawet bez tłumaczenia.

Wiedział, że Sturlurson zaoferuje więcej broni, chińskich szabl i toporów, które zabrali ze sobą właśnie w tym celu.

Negocjacje przerwał dobiegający z góry krzyk. Grupa ludzi uciekała w kierunku twierdzy. Uciekała to za słabo powiedziane. Wielu z nich było niesionych lub podpieranych, większość doznała niedawno cięższych lub lżejszych zranień. Kobiety i dzieci znajdowały się wewnątrz kręgu, ale mężczyźni, którzy je ochraniali, równie rozpaczliwie potrzebowali pomocy. Kovařowi wydało się, że pozostawiają za sobą krwawy ślad. Nie widział go, ale czuł

krw w powietrzu, podobnie jak inni obok niego.

Isi-woto coś krzyknął, uciekający mu odkrzyknęli, a Morgan jakby przez pomyłkę natychmiast przetłumaczyła:

- Zniszczyli Geotanu, wioskę naszych przyjaciół! Rozbili trzystu pięćdziesięciu wojowników! Są tuż za nimi!

Sturlurson zmienił treść przygotowanego zdania.

- Na handel oferujemy nasze ramiona, nasze miecze, naszą siłę. A w zamian chcemy przyjaźni twojego ludu - powiedział z mocą.

Indianin popatrzył na wikinga, na miecz, który trzymał w ręce, a potem na zmasakrowaną grupę uciekinierów. Kovař prawie czuł zawrotną szybkość jego myśli. Wódz rozważał szanse swoich ludzi bez pomocy cudzoziemców i z ich pomocą oraz wszystkie ujemne skutki, jakie później z tego wynikną.

- Dobrze. O handlu pomówimy potem, teraz pokażcie, że nie tylko słowa macie na sprzedaż. Musimy zatrzymać wroga i opanować spaloną wioskę, zanim napastnicy znikną w lesie, jak za każdym razem!

Sturlurson spojrział na Kovařa i Fryggvassona.

- McCathail, Bjorkedal! Weźcie dwudziestu ludzi i biegnijcie za Johnem i Fryggvassonem.

Isi-woto przyjrzał się wikingom skaczącym do wody, kiwnął głową zamiast odpowiedzi i pośpieszył z boczem na górę za swymi ludźmi.

Kovař biegł o krok za nim. Ważne, żeby nie stracić kontaktu, żeby Indianie wiedzieli, że doszło do pokojowego porozumienia.

Słyszał, jak za jego plecami brodzili w wodzie następni wikingowie. Zaczynała się bitwa, chociaż na razie nie było wiadomo z kim.

Wikingowie nie byli dobrymi biegaczami i jedynym, który dotrzymywał kroku lekkonogim Indianom, był Kovař. W jednej ręce trzymał miecz, w drugiej tarczę, piął się w górę po zboczu, tymczasem krzyki i jęki dobiegające z okolicy twierdzy oznaczały, że napastnicy już się pojawili i zaatakowali mieszkańców domów stojących u podnóża warowni.

Jak rozmazany cień zarejestrował wzrokiem uciekającą pomarszczoną Indiankę; nagle potknęła się, pochyliła i upadła na ziemię. Zza niej wynurzył się zgarbiony mężczyzna z wykrzywioną twarzą, trzymający w ręce kamienną pałkę. Kovař nie czekał, ciął z lewa na prawo, kopiąc równocześnie i uskakując w bok, żeby nie upaść. To go uratowało, w ostatniej chwili spostrzegł drugiego napastnika i odbił jego cios tarczą. Nie odwracając miecza, ciął

odwrotną stroną ostrza, na muskularnym torsie wroga pojawiła się krwawa szrama, ale nieprzyjaciel zamierzył się do następnego ciosu, jakby nie poczuł zranienia. Kovař pchnął, mierząc w twarz, lecz pośliznął się i miecz trafił w korpus. Włożył w pchnięcie tyle siły, że klinga zagłębiła się w nagim ciele do połowy długości.

Z wejścia do długiego domu wyłonili się dwaj kolejni Indianie, wystarczyło spojrzeć na ich wykrzywione wściekłością twarze i zakrwawione pałki, aby stwierdzić, kim są. JFK

szarpnął miecz, ale stał tylko zaskrzypiała, zatrzymując się na kości. Wyciągnięcie broni z ciała wroga nie okazało się tak łatwe, jak sądził. Dwaj napastnicy byli już prawie obok niego.

Kovař zrozumiał, że nie zdąży. Puścił rękojeść miecza, nadchodzący cios odbił tarczą i sięgnął po nóż. Oślepiła go tryskająca krew, człowiek po jego lewej ręce padł na ziemię z rozplataną głową. McCathail ze swoimi toporami, bez tarczy, jak szalony przebiegł obok Kovařa, naprzeciw dalszym wrogom. JFK w końcu wyszarpnął miecz z ciała zabitego i pobiegł za Irlandczykiem, aby go ubezpieczać. Wyglądało na to, że rudym wikingiem o władnęło budzące grozę szaleństwo bojowe.

Przebiegli obok ostatniego długiego domu i stanęli naprzeciwko zielonej ściany wyrosniętej kukurydzy. Z wielu miejsc dobiegała jeszcze bitewna wrzawa, bojowe okrzyki, jęki rannych, ale nie dostrzegli nieprzyjaciół w pobliżu. Nagle wysokie łądygi zafalowały i jak spod ziemi wyrosli przed nimi czterej Indianie, każdy z pałką w ręce. Kovař zawahał się.

Przyjaciele czy wrogowie? Mężczyźni ruszyli na nich z żądzą mordy w oczach. Świsnęła strzała,

jedna, druga, Kovař znalazł się naprzeciw postawnego Indianina z twarzą poznaczoną rytualnymi bliznami. Czerwonoskóry zaatakował toporem z taką siłą, że Kovař nie zdołał

odpowiedzieć kontratakiem, skrył się za tarczą. Indianin przykucnął i drugi cios wyprowadził

nisko, z boku, mierząc w biodro. Kamień znów natrafił na tarczę. Kovař nie miał czasu na rozmach i uderzył upartego przeciwnika pięścią, w której trzymał miecz. Drugi raz i trzeci.

Dopiero teraz Indianin cofnął się, ale tylko po to, żeby uzyskać więcej miejsca do zamachu.

Kovař skręcił w miejscu, uderzył tarczą w bok przeciwnika i natychmiast dosięgnął go mieczem. Indianin próbował jeszcze odpowiedzieć ciosem, ale krew rzuciła mu się z ust i w końcu upadł na ziemię.

Nagłą ciszę zakłócał tylko ciężki oddech. Spazmatyczny i bolesny. Kovař stwierdził, że to on oddycha z takim trudem. Walka była skończona. Popatrzył na zwłoki u swych nóg, dwa trupy trafione strzałami i bezgłowy korpus, w który McCathail zmienił swego przeciwnika.

- Mimo że nie mają mieczy ani porządnych zbroi, są dość dobrzy - warknął Irlandczyk.

Twarz miał czerwoną, wargi tworzyły w niej dwie wyraźne linie. Kovař kiwnął głową i zaczął przyglądać się zabitym. Zdecydowanie byli to wojownicy niezwykle zdeterminowani i umiejący walczyć. Na szczęście na ciele żadnego z nich nie znalazł śladu zmian, które ostatnimi czasy straszły go w snach.

Zauważył, że McCathail też ogląda ciała. Razem z indiańskim łucznikiem, który w samą porę pomógł im swymi strzałami, ruszyli do twierdzy.

Pomimo że ludzie wodza zareagowali natychmiast, trzy długie domy płonęły, a na ziemi leżały zwłoki kilku mieszkańców zaskoczonych atakiem, głównie starszych wiekiem i kobiet. Dzieci udało się uratować.

McCathail przystanął obok jednego z napastników, leżącego obok kobiety, której roztrzaskał głowę pałką.

Indianin poruszył się, Irlandczyk rzucił okiem na kobietę, zacisnął wargi i z zastraszającą obojętnością ciął toporem. Nawet nie zważając o ziemię, odciął ciężko rannemu kilka palców prawej ręki. Drugi, mocniejszy cios amputował umierającemu przedramię, a ostatni pozbawił go połowy czaszki. Mózg zmieszał się z krwią, a to, co niedawno było jeszcze człowiekiem, leżało pokryte kurzem i gliną.

Człowiekiem? - pomyślał Kovař.

McCathail jakby się wreszcie uspokoił, poszedł za towarzyszącym im Indianinem.

Kovař nie wiedział, czy powinien czuć się zszokowany tym pokazem bestialstwa, albo raczej mistrzostwa we władaniu tak brutalną bronią, jaką jest topór bojowy.

- Mógłbym wreszcie do tego przywyknąć - warknął pod nosem i ruszył za nimi.

Nagle zaczęły się boleśnie odzywać wszystkie urazy, których doznał w walce. Póki buzowała w nim adrenalina, wcale nie zdawał sobie sprawy, że nieźle oberwał.

- Ciepła kąpiel, coś do picia i jedzenie, które nie będzie spalonym albo surowym mięsem, niczego więcej nie wymagam - rzekł głośno.



W BLASKU KSIĘŻYCA

Wieczorem, siedząc w indiańskiej łaźni, po uroczystym rytuale, który uczynił z niego członka plemienia, czuł się zupełnie zadowolony, choć z lekką otumaniony dymem palącego się ziela. Wiedział, że powinien mieć się na baczności, że dzieje się dużo rzeczy, których nie rozumie, ale nie potrafił się przemóc. Może winne temu były narkotyczne zioła, a może tylko całkowite wyczerpanie. Ktoś chlusnął na rozpalone kamienie kolejną porcją wody, zioła zapachniały jeszcze intensywniej i przybyło pary. Kovař zauważył na szyi Sigfussona amulet w kształcie młota. Przypomniało mu to medalion agenta narysowany na chińskich zwojach. Zaczął się uważniej rozglądać, czy go u kogoś nie spostrzeże, jednak bezskutecznie.

Wyszedł na zewnątrz, w chłodne wieczorne powietrze, beztroski i zadowolony. Gdzieś w głębi mózgu wiedział, że w każdej chwili może zostać napadnięty, okradziony lub zabity.

Ale było mu wszystko jedno.

Wolnym krokiem ruszył do miejsca, które wódz przydzielił wikingom na kwaterę.

Wstęp do twierdzy umożliwił tylko jarlowi z asystą dziesięciu ludzi. Beztroska zniknęła w mgnieniu oka, gdy usłyszał zduszony krzyk kobiety.

Stu pięćdziesięciu chłopów kilka miesięcy bez kobiet mogło spowodować tylko jedno. A to oznaczało konflikt z nowymi sojusznikami.

Kovař pobiegł do miejsca, skąd dobiegał krzyk, w ręce trzymał dobyte scramasax.

Zanim dotarł do ścieżki pomiędzy polem kukurydzy a zagajnikiem krzewów leszczyny, głos kobiety ucichł, zamiast niego odezwał się głuchy jęk. Kovař zatrzymał się zdyszany, w ciemności spostrzegł trzy postaci, jedna z nich właśnie waliła się na ziemię.

Mężczyzna, stwierdził Kovař z opóźnieniem.

Mniejszy cień oddalił się biegiem. Drugi cień nie zatrzymywał go.

- A więc po dłuższym czasie spotkaliśmy się, Johnie Francisie Kovařu - usłyszał znużony głos.

Angielszczyzna brzmiała nieco chropawo i niepewnie, jakby mówiący od dawna jej nie używał.

- Marylin Morgan?

- Tak, to jestem ja, a właściwie to byłam ja - odparła cicho agentka. - Pięć lat tutaj, człowieku, to jak pół życia.

Kovař kiwnął głową, chociaż uświadamiał sobie, że w ciemności kobieta tego nie zobaczy.

- Co się stało? - zapytał, mimo że było to dla niego jasne.

- Chciał ją zgwałcić, to się stało - odpowiedziała spokojnie. - A Indianie, mam na myśli plemiona leśne, nie lubią, kiedy mężczyźni źle traktują kobiety. Przeważnie powoduje to krwawą zemstę. A was uważają za jedną rodzinę. Więc załatwiłam to jednym pchnięciem.

Jednym zabójstwem, cisnęło się Kovařowi na usta, ale zmilczał. Miała rację.

- Powinieneś ostrzec swego wodza albo wszyscy traficie do piekła - powiedziała bez emocji, jakby jej to w ogóle nie obchodziło.

Kovař miał ochotę pogawędzić z Morgan, lecz wyczuwał, że nie jest tym zainteresowana.

- Masz jakieś nowe informacje od Bytewskiej? - zapytał tylko.

Pokręciła ze znużeniem głową.

- Mniej od ciebie. Im dłużej tu przebywasz, tym trudniej nawiązać kontakt parapsychologiczny. Wszystkiego się dowiesz podczas kolejnego briefingu. A teraz wybacź, ale też pójde się wyparzyć.

- Dobranoc - pożegnał ją Kovař, chociaż słowa Morgan wzbudziły w nim ciekawość.

Mężczyźni i kobiety korzystali z osobnych łaźni, ich używanie łączyło się zazwyczaj z rytuałami religijnymi, a ponadto wiedział, że o tej porze nikt już nie nagrzewał kamieni.

Chwilę nad tym rozmyślał i poszedł za agentką. Miał niemiłe uczucie, że ona o tym wie.

Marylin Morgan poruszała się jak pantera, jak kwintesencja indiańskości, wiele też mówił

fakt, że pierwsza zareagowała na próbę gwałtu. Mimo to chciał wiedzieć, jak się rzeczy mają.

Morgan nie szła w stronę twierdzy, lecz kierowała się w bok, do łaźni stojącej nieco dalej od pozostałych. Wokół ognia krzątał się tylko jeden człowiek, jego widok zaskoczył

Kovařa. Był to wódz Isi-woto. Pocałował wchodzącą Morgan, tak jak zrobiłby to mężczyzna w cywilizowanym świecie o wiele lat później. Marylin wyraźnie była u siebie.

Kovař odwrócił się i szybko odszedł do obozu. Nie chciał szpiegować, wystarczyły mu informacje. Teraz musiał ostrzec Sturlursona. Nie wątpił, że jarl wkroczy z całą stanowczością, nawet gdyby musiał użyć ostrych środków.

Trzymał się ścieżki wydeptanej pomiędzy domami a poletkami, prowadzącej na teren, na którym znajdowały się ramy przeznaczone do wyprawiania skór i mnóstwa suszącej się kory wiązów i brzoź. Wszystko wskazywało na to, że Indianie przebywają tu już od dawna, nie mniej niż od kilkudziesięciu lat. Napotkał gromadkę złożoną z trzech indiańskich kobiet.

Słyszał ich chichotanie, widział ukradkiem rzucane spojrzenia i rozbawione gesty, którymi go sobie wskazywały. Skrępowanie najwyraźniej było im obce. Zabity wiking był głupcem. To, czego pragnął, mógł uzyskać o wiele prościej i łatwiej.

Kovař przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej oddalić się od kobiet. Nie chciał

niepotrzebnych kłopotów. Gdy zbliżał się do obozu, zauważył, że nie wraca do niego jako ostatni. Spostrzegł dwie sylwetki, wyższą i niższą. Kobieta zrobiła gest, jakby chciała pociągnąć mężczyznę za rękaw, ale on odwrócił się i pośpiesznie od niej oddalił. To wzbudziło zainteresowanie Kovařa. Począł, aż mężczyzna wejdzie w zasięg światła ognisk, i rozpoznał McCathaila. Z kim się tak szybko pożegnał, nie zdołał stwierdzić. Rudowłosy Irlandczyk wyraźnie wzbudzał zainteresowanie niektórych indiańskich kobiet. I nie wykorzystał tego. Ciekawe.

Ludzie porozkładali się wokół ognisk, na których piekło się podarowane przez Indian mięso, niektórzy spali, lecz większość zajęta była rozmową. Li Cheu pracował nad swymi maściami leczniczymi, McCathail smutno patrzył w płomień, Fryggvassona i Sturlursona jeszcze nie było.

- Opatrywałeś wielu ludzi - zagadnął Kovař Li Cheu. - Nie widziałeś u kogoś czegoś takiego? - Pokazał nieźle już podniszczony zwitek z rysunkiem węża pożerającego swój ogon.

Chińczyk pokręcił tylko głową. Kovař przytaknął i usiadł.

McCathail, nie patrząc, podał mu tykwę z wodą.

- Nie mają piwa, nawet kiepskiego piwa - powiedział ze zniechęceniem.

Kovař napił się i uświadomił sobie, jak bardzo wysuszyła go łaźnia. Milczał, popijał

chłodną wodę i słuchał urywków rozmów otaczających go mężczyzn. W większości dotyczyły walki, rozważań, czy *skrǎlingar* mają złoto lub inne kosztowności. Wszyscy zgadzali się co do tego, że jeśli mają, to jest ono schowane w twierdzy, do której dostęp ma tylko Sturlurson i jego ludzie.

- Nie mają żadnego złota - stwierdził McCathail, nadal tylko w połowie obecny duchem. - Gdyby mieli, wódz by się nim ozdobił.

Kovař kiwnął głową. To była niegłupia myśl. Zachmurzony Jori Loset siedział

samotnie przy ognisku jarla, który coraz częściej wprawdzie nazywał go swoim zastępcą, ale poruczając mu nadzór nad wikingami, uniemożliwiał tym samym kontakt z Indianami. Kovař uważał, że Sturlurson robi to celowo. Jori Loset uchodził za najbardziej wojowniczego z Nordów.

Rozmowa przy sąsiednim ognisku toczyła się teraz o kobietach. Sven uważał, że są ładne, szczególnie podobały mu się ich włosy i to, jak się uśmiechały, dwaj inni oponowali, że zupełnie nie umieją się ubrać i niektóre z nich zbyt przypominają Eskimoski. Wszyscy jednak zgadzali się, że ci, którzy brali udział w bitwie z najeźdźcami, powinni zostać nagrodzeni ich przychylnością.

Kilku mężczyzn milczało z zadowolonymi minami. Kovař miał uczucie, że zostali już nagrodzeni, ale, co dziwne, nie mówili o tym.

- Bardzo kochałem matkę i siostrę - niespodziewanie zaczął półgłosem McCathail. -

Pewnego razu, gdy mężczyźni zaganiali bydło przed zimą, napadł na nas sąsiedni klan i porwał kilka młodych kobiet i dziewcząt. Między nimi i moją siostrę. Matkę zabili. Świat to dzikie miejsce.

Kovař słuchał spowiedzi Irlandczyka i milczał.

- Później się ożeniłem. Nazywała się Miri, miała mnóstwo piegów i delikatne ręce.

Właśnie skończyłem budować dom i zagrodę dla bydła, dwie krowy się ociełiły, to był dobry rok. Najlepszy w moim życiu. Zabili ją bandyci. Oczekiwała właśnie dziecka. Świat to dzikie miejsce... Kiedy straciłem drugą żonę, córkę i syna, postanowiłem nigdy się już nie ożenić i nie mieć dzieci. Na wszystkim przestało mi zależeć. Od tego czasu przeżyłem tyle, że wystarczyłoby dla trzech innych ludzi. Zginąć mogła cała armia. Może na to nie wyglądam, ale jestem bogaty. Należy do mnie kilka gospodarstw, którymi zarządzają w moim imieniu moi ludzie. Mnie one niepotrzebne. Wypiłbym piwo. Wielki kufel piwa. Świat to zasrane, kurewskie miejsce.

Li Cheu podszedł do Irlandczyka, z obojętną miną sięgnął do swego bezdennego tłumoka i podał McCathailowi tykwę, w której coś chlupotało. McCathail podniósł naczynie do ust i pił, dopóki starczyło mu oddechu.

- To jest to wasze ryżowe wino, no nie? - zapytał z oczami załzawionymi od mocnego trunku.

Chińczyk kiwnął głową.

- Ja już nie chcę widzieć umierających kobiet i dzieci. Wolę szczeznąć. Powiniennem był skończyć w walce z napastnikami, ale nie udało się. Już nigdy.

Irlandczyk pił, dopóki nie opróżnił naczynia, a potem zwałił się na ziemię i zasnął.

Poranek nadszedł ciepły, zapowiadał się piękny dzień. Wśród wikingów panowało poruszenie. Rozniosła się wiadomość, że *skrälingar* nie mają złota ani drogich kamieni i majątek w ogóle ich nie interesuje. Mówili wprawdzie o bogatej krainie leżącej gdzieś daleko w górę rzeki, ale równocześnie wspominali o toczącej się tam wojnie. Kovař zastanawiał się, jak długo jarl utrzyma posłuszeństwo swoim autorytetem. Większość ludzi pożądała łupów i miała do tego prawo.

* * *

Kolejne dyplomatyczne rozmowy miały się toczyć pod gołym niebem, w obecności większej grupy najważniejszych wojowników. Kovařowi, jako wikingowi znanemu Indianom, przypadło miejsce obok Sturlursona, tak samo jak McCathailowi i Fryggvassonowi.

Zanim wszyscy zdążyli się usadowić, dołączyła do nich Morgan, partnerka Isi-woto i tłumaczka w jednej osobie.

- Większości rannych, którzy doznali wczoraj obrażeń, już nie ma w obozie. Tych, którzy byli pogryzieni albo walczyli w bezpośrednim kontakcie z nieprzyjacielem - zdążyła mu powiedzieć. - I niektórych z tych, którzy ich opatrywali.

Kovař natychmiast przypomniał sobie opuszczoną wioskę napotkaną po drodze. Czy mogła to być ta sama zaraza, o której wspominała Ljuba Bytewska? Choć z drugiej strony walczyli ze zwyczajnymi ludźmi, nie z jakimiś zmutowanymi szaleńcami.

- Moi ludzie znaleźli kilka dalszych wiosek. Opuszczonych lub spalonych. Wrócili dziś w nocy. A w lasach grasują podobno wilkołaki - mówiła dalej po angielsku.

Miała poważny wyraz twarzy, jakby nie wątpiła w prawdziwość tych informacji.

- Na razie nikt o tym nie wie oprócz tego parszywego kojota. - Kiwnęła w kierunku szamana. - Ale Isi-woto powiem o tym zaraz, muszę.

- Kim on dla ciebie jest? - zapytał Kovař wprost.

Kim mógł być dziki wojownik z niepokonanej Ameryki dziesiątego wieku dla wykształconej kobiety z innego świata i innej epoki?

Błysnęła dziko oczami, palcami dotknęła noża z łupaną klingą osadzoną w szczęce niedźwiedzia, który mógł pod względem ostrości iść o lepsze ze skalpelem.

- Nie pozwól się zmylić. Dziś widzisz mnie taką, jaka jestem. Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, byłam w przebraniu. Jak myślisz, skąd właściwie pochodzę? - Pokręciła głową. - On wiele dla mnie znaczy. A teraz musimy się postarać, żeby nasz czas nie minął

zbyt szybko.

Gdy tylko rozmowy się rozpoczęły, Kovař z wyczekiwaniem spojrzał na starego szamana.

Czekasz na spotkanie z dużą kobietą? - zabrzmiało mu nagle w głowie. Indianin nie mówił w swoim języku, ale mową symboliczną, wspólną dla wszystkich istot myślących.

Zanim cię z nią połączę, będzie dość czasu, żeby mi zapłaciła za moje usługi.

- Ten stary chytrus nigdy nie zapomni o naładowaniu się mocą, będzie nas to kosztowało cholernie dużo energii i kilku czarodziejów oddelegowanych do tego na całe tygodnie - słyszał w oddali niewyraźny głos Ljuby Bytewskiej.

Sceneria nagle się zmieniła, teraz widział krainę jakby wieloma oczami równocześnie, oczami zwiadowców, ptaków, wilków. Postrzegał ziemię i czuł ją, jakby sam był jej częścią.

Widział opuszczone wioski, spalone, zwęglone ciała zabitych, słupy dymu.

- Poprzez specjalną bramę międzyświatową wysyłamy czarodziejskie i telepatyczne zdolności temu staremu małpisonowi. Najlepiej by było, gdyby pracował dla agencji, ale nie chce o tym gadać - równocześnie cały czas słyszał z oddali wyjaśnienia swojej szefowej.

A pomiędzy zwierzętami, roślinami i ludźmi, którzy byli naturalną częścią tego świata, wyczuwał ciemne, poruszające się plamy, istoty dotknięte zarazą. W różnych liczebnie grupach włóczyły się po krainie i stopniowo zbliżały do tego samego miejsca, do twierdzy Indian.

- Skąd wiedzą, dokąd mają iść?

- Nie wiem, nawet twoja duża kobieta nie zna odpowiedzi - tym razem odezwał się szaman. - Może obcy czarodziej ma przynętę, którą wabi do siebie jego dzieci. A tym, co przyciąga potwory, jest jeden z was, człowiek z łodzi.

Dziwne połączenie parapsychologiczne zniknęło, Kovař znów znalazł się w swoim ciele. Ze zdumieniem stwierdził, że rozmowa wodzów dobiega końca. Może przyczyniła się do tego okoliczność, że Isi-woto był świadomy zbliżającego się niebezpieczeństwa. Kovař szybko przypominał sobie wiadomości uzyskane podczas połączenia z szamanem.

Morgan i wódz zaoferowali wieczne przymierze plemienia z ludźmi z łodzi tym, którzy zostaną i pomogą im w wojnie. Sturlurson w zamian za zapasy dla tych, którzy będą chcieli odejść, obiecał *skrälingar* zdobyczną chińską broń i zbroje. Później, gdy wojna się skończy, a przymierze zostanie przypieczętowane dziećmi narodzonymi ze związków pomiędzy mężczyznami z łodzi i kobietami *skrälingar*, również wyjawienie tajemnicy wyrobu długich, sprężystych noży.

To było dobre porozumienie, ale teraz czekała jarla znacznie trudniejsza rozmowa z własnymi ludźmi. Musiał jak największą część przekonać do pozostania.

- Johnie Kovařu? - znowu odezwał mu się w głowie głos Ljuby Bytewskiej. - Czy napisał pan testament? Już mamy pewność. Choroba jest zaraźliwa, wystarczy drobna ranka i infekcja gotowa.

Kovař zaśmiał się mimo woli.

- Umiecie podnieść człowieka na duchu - zdążył powiedzieć, zanim połączenie ponownie zostało przerwane.

Zgodnie z oczekiwaniami przy rozpalonych ogniskach rozpoczęła się burzliwa debata.

Tylko kilku ludzi od razu zgodziło się na propozycję jarla, żeby zostać w Ameryce. Był

między nimi McCathail, dla którego oznaczało to dalsze awanturnicze przygody, wieśniak Sven i co dziwne, również Spar Gurgysson. Inni nie mogli się zdecydować i wsłuchiwali się w ożywioną argumentację jarla i jego największego oponenta, Jori Loseta.

Kovař, słuchając ich sporu, zdawał sobie sprawę z tego, że kwestia pozostania wikingów w Ameryce zależy tylko od wyniku starcia tych dwóch mężczyzn. I nagle zrozumiał. Jeśli jakiś wiking nieustannie podzegał do napadu na Indian i sprzeciwiał się nawiązaniu z nimi przyjacielskich stosunków, to właśnie Loset. Czy to on jest agentem nieprzyjaciela? Możliwe, a nawet prawdopodobne.

Debata skończyła się późnym wieczorem. Stało na tym, że sześćdziesięciu czterech ludzi zostanie, a siedemdziesięciu pięciu wróci do domu. To oznaczało wyrównane szanse dla każdej ze stron. Przez cały dzień było ciepło, lecz teraz ochłodziło się, wszyscy starannie owijali się śpiworami i pomału przestawali dokładać do ognia. Sturlurson rozkazał braciom Brigvassonom stanąć na straży, ale Kovař wątpił, czy będą ją uważnie pełnić. Znajdowali się w osadzie Indian, którzy teraz zostali uznani za sprzymierzeńców. Nie było powodów do zdradzieckiego ataku. Z drzemki wyrwała go inna myśl. Co się stanie, jeśli Sturlurson zginie?

Loset, o ile to naprawdę on, maczał palce w zabójstwie agenta. Był przecież mistrzem walki z bronią i bez broni, przypominał sobie pojedynek pod pokładem dżonki.

Senność i zmęczenie zniknęły. Odwrócił się tak, żeby księżyc ani przygasające ogniska nie świeciły mu w oczy, nasłuchiwał i rozglądał się.

Za plecami Kovařa zaszeleściła focza skóra, ktoś wyplątywał się ze śpiwora. Mógł iść ulżyć pęcherzowi. Tylko że cichutko, niemal niedosłyszalnie, brzęknęła o kamień stal. Gdyby nie oczekiwał podobnego dźwięku, nie usłyszałby go. Iść sikać z mieczem w ręce? Inną nocą i w innym miejscu może i tak. Ciche kroki ginęły w poszumie nocnego wietrzyku. Kovař również wylazł ze śpiwora. Siedząc w kucki, rozejrzał się, a potem wstał. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić, kogo brakuje. Śpiący wyglądali tak samo. Sięgnął po miecz leżący w pobliżu i poszedł za odchodzącym w ciemność wikingiem. Na granicy obozu dobył miecza, a pochwę złapał w drugą rękę jak łaskę. Gdzieś z boku przeszedł inny mężczyzna. Nie widział Kovařa, śpieszył za pierwszym. Kovař

przypadł do ziemi, starając się nie zdradzić nawet oddechem.

- Roczna płaca za karabin szturmowy i noktowizor - mruknął pod nosem, gdy potknął się o korzeń i o mało nie nadział na własny miecz.

Wiedział już, dokąd idą obaj mężczyźni. Do łodzi, do Morskiej Żmii, która wyciągnięta na brzeg, zamaskowana była naciętymi gałęziami. Nie rozumiał tylko, po co tam idą.

Powierzchnia wody i biały piasek powodowały, że nad rzeką było więcej światła.

Pierwszy mężczyzna kierował się prosto ku drakkarowi, nie wiedząc o obecności drugiego.

Zaskrzeczała wyrwana ze snu mewa, woda zapluskala po kamieniach. W ciemności pojawił się migotliwy ogień. Kovař zrozumiał, co zamierza pierwszy mężczyzna. Rozniecał ogień obok drakkara tak, żeby nie był widoczny z twierdzy ani z obozu wikingów. Chciał spalić łódź.

- Myślałem, że coś takiego wymyśli Sturlurson, ale nie ty, McCathail - w ciemności rozległ się zimno brzmiący głos.

Zdumiony Kovař znieruchomiał.

Irlandczyk wstał, ogień pod jego nogami ledwo migotał. Jeszcze nie zdążył go porządnie rozdmuchać.

- No, jak widzisz, jarl to uczciwy chłop. Uczciwszy od ciebie, Jori Loset, z twoim jadowitym językiem - spokojnie odpowiedział McCathail. - Tak, chcę spalić łódź. I kiedy już cię zabiję, dokończę dzieła. Zbliża się tu horda zabójców stworzonych złymi czarami. To my ich tu ściągnęliśmy. Założę się, że maczałeś w tym palce. A ja nie chcę, żeby z mojego powodu ginęły kobiety i dzieci. Ludzie będą o wiele lepiej walczyć, gdy nie będzie drogi powrotnej.

Irlandczyk zaśmiał się, uniósł topór i tarczę.

- Jak chcesz. - Loset wzruszył ramionami. - Nie przeczę, że maczałem w tym palce.

Wmieszales się do gry, której nie pojmujesz. Zginiesz jak wielu innych.

Świsnęła skóra pochew, dobyto broni. Kovař z zaskoczeniem spostrzegł, że Loset zamienił swój miecz na dwie chińskie szable, zdobycz z dżonki. Postawa szermiercza, jaką przyjął, wyjaśniała wszystko. To był rzeczywiście agent, specjalista od walki w kontakcie bezpośrednim, zabójca doskonały. Miał za sobą doświadczenia bojowe całych generacji ujęte w skuteczny, naukowo zoptymalizowany system i poparte wieloletnimi ćwiczeniami.

Kovař nie namyślał się, zrobił to, co uważał za słuszne.

- Ten człowiek zabił jednego z moich przyjaciół i mnie też próbował zabić -

powiedział, występując z ciemności. - Nie stajesz przeciw niemu sam, McCathail.

- Twarde i honorowe chłopcy, dwóch na jednego - zaśmiał się Loset.

- W zadzie mam twardych i honorowych chłopów - warknął Irlandczyk, Loset już na niego ruszył.

Piasek zaskrzypiał, McCathail odbił tarczą cięcie w bok, szabli mierzącej w pierś uniknął zwodem i pochyleniem ciała. Bez zastawy zrobił obrót, uderzył toporem poziomo, poprawił tarczą. Próba podwójnego ataku uratowała mu życie, bo Loset zrobił zwód i skoczył

natychmiast do ataku z nieprawdopodobną szybkością.

Kovař zbliżał się ostrożnie, nie wiedząc, w jaki sposób włączyć się do pojedynku.

Zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel nie ma najmniejszych szans. Ale Irlandczyk zaskoczył go, ruszając do pozornie samobójczego ataku przeciw młynkującym ostrzom, skryty za tarczą jak za ogrodzeniem. Zaskoczyło to również Loseta, przewrócił się, jedna z jego szabli utknęła w tarczy, którą McCathail upuścił na ziemię. Irlandczyk jednak nie wykorzystał okazji, bo zabójca błyskawicznie przetoczył się i znów stanął na nogach.

McCathail natomiast wyraźnie krwawił z rany na prawym ramieniu i szramy na twarzy.

- Zaraz z tobą skończę, ty śmierdzący Irlandczyku - zaśmiał się Loset.

Wykonał krótki ruch przedramieniem, nie rzucił jednak noża, ale białą kulkę, która rozbiła się o tors McCathaila.

Kovař nie czekał dłużej, skoczył naprzód, w ostatniej chwili skrócił wypad i tylko dlatego nie nadział się na ostrze skierowane w brzuch. Zrobił unik, zamarkował cięcie w pierś, a uderzył, mierząc w głowę, lecz Loset był szybszy, błyskawicznie się zastawił i Kovař chybił. Równocześnie poczuł uderzenie klingi w pierś, kolczuga na szczęście wytrzymała.

- Z tobą pójdzie mi łatwiej niż z tym samobójczym maniakiem - wycedził Loset, pozorując atak na głowę z równoczesnym cięciem odwrotną stroną klingi.

Nagle znalazł się tuż przy Kovařu, odepchnął go łokciem i pozbawionego równowagi ciął w ramię. Ból rzucił Johna na kolana. Pchnięcie przeszło na wylot.

McCathail po omacku pełznął ku wodzie, żeby wypłukać z oczu oślepiający proszek.

- No jak, podniesiesz się jeszcze? - drwiąco rzucił Loset, w jego oczach odbił się blask księżyca.

Kovař wstał, przyjął prawidłową postawę i ostrożnie zbliżał się do przeciwnika; wyczuwał szyderstwo i pogardę w pozie, jaką przyjął Loset. Cięcie na głowę odbił, ale krycie poszło za daleko i wiedział, że ponowiony atak trafi w bok. W lewej ręce nadal trzymał

pochwę. Desperacko machnął nią naprzeciw szabli przeciwnika. To zmieniło kierunek ataku i

częściowo go osłabiło. Cios odczuł jak ostre kopnięcie, lecz po raz pierwszy zdołał trafić przeciwnika. Było to słabe cięcie w pierś, jednak Jori Loset zachwiał się i szybko cofnął. W odróżnieniu od Kovařa nie miał kolczugi.

- Szczęście jest zmienne - rzekł Loset spokojnie, wargi miał zaciśnięte w dwie cienkie linie. - To było niezłe, ale jeśli to wszystko, co umiesz, w następnym ataku cię zabiję.

Kovař nie odpowiedział, oszczędzał siły. Może wiking miał rację, chyba miał ją, na pewno, ale on, John Francis Kovař, nie zamierzał mu niczego w najmniejszym stopniu ułatwiać.

Loset ruszył, doskonale skoordynowanymi ruchami urodzonego wojownika, zabójcy zabójców. Oczy spokojne, lekko zakrzywiona, zakrwawiona klinga, niczym wyrok losu.

Kovař zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, który za chwilę go zabije. Mocniej ścisnął

rękojeść miecza i głęboko odetchnął. Dwie linie warg rozciągnęły się w uśmiechu, gdy naraz rozległ się głuchy odgłos uderzenia, któremu towarzyszył trzask gruchotanych kręgów.

Uśmiech zamarł na ustach zabójcy.

- Co to... - udało mu się jeszcze powiedzieć ze zdumieniem, po czym upadł na brzuch.

Z pleców sterczał mu topór McCathaila.

- Dobrze trafienie - ocenił Irlandczyk, nadal przecierając sobie oczy. - Chociaż myślę, że chlubić się nim nie będę.

Kolana zawiodły Kovařa, mimowolnie usiadł i przyglądał się, jak wiking rozdmuchuje zanikający ogieniek i pierwsze płomienie liżą kadłub dumnej łodzi.

Czuł się śmiertelnie zmęczony, błędził spojrzeniem po okolicy, słyszał przybliżających się ludzi. Obok pnia drzewa dostrzegł postać z długimi jasnymi włosami, jak się odwraca i oddala od ognia i miejsca walki. Czy to był Sturlurson? Obserwował walkę? Widział, że McCathail podpala łódź? Dlaczego nie interweniował?

Pierwsi wikingowie nadbiegli i skamienieli, widząc Morską Żmiję w płomieniach.

- Jori Loset zwariował, podpalił drakkar. Próbowaliśmy go powstrzymać, ale nie daliśmy rady - oznajmił McCathail i położył się na ziemi.

Jego walka też wyraźnie wyczerpała. Spojrzenia obecnych skupiły się na pokrwawionym Kovařu.

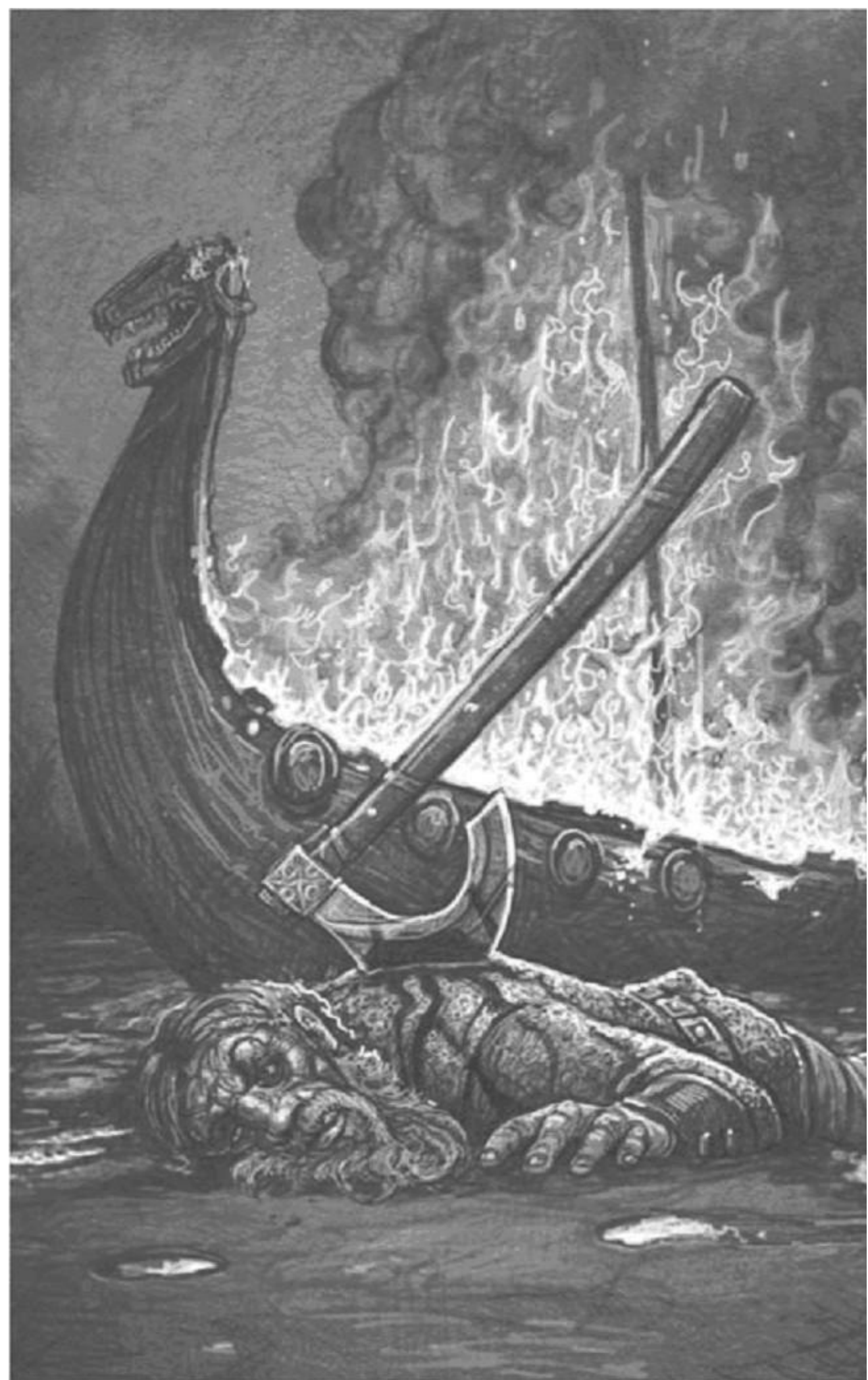
- Tak było, nie daliśmy rady - powtórzył z wysiłkiem po McCathailu.

Rozległ się trzask i płonący kadłub łodzi przełamał się na dwoje.

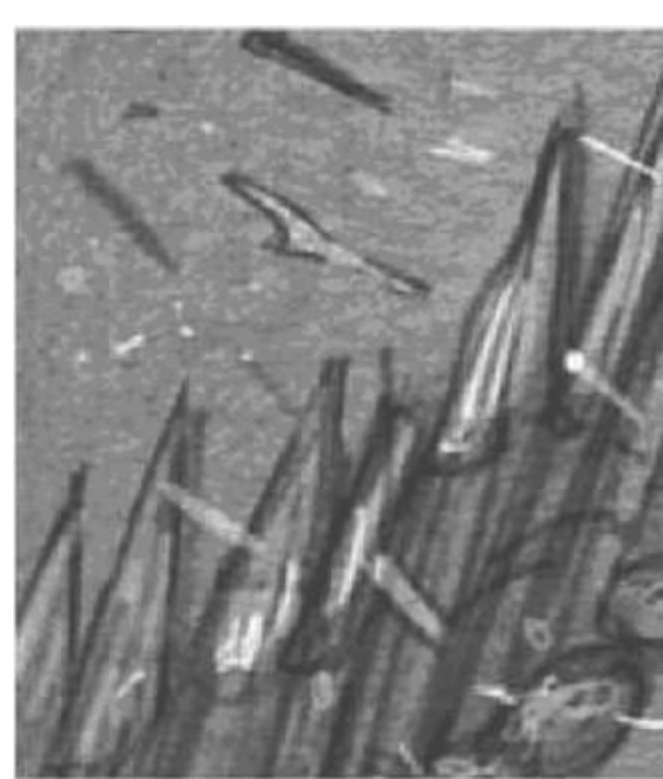
W obozie Kovařem zajął się Li Cheu. Rana ramienia okazała się poważna, pozostałe według kryteriów wikingów były tylko zadraśnięciami. Chińczyk wyczyścił ranę, nasmarował

ją swoją specjalną maścią, której składu Kovař wolał się nie domyślać, i w końcu zaszył.

- Tego szukałeś, prawda? - powiedział Li Cheu, gdy skończył zabiegi i podał mu medalion identyfikujący wrogiego agenta. - Loset miał to na szyi. To chyba był człowiek, któremu miała pomagać chińska flotylla.



Kovař nie odpowiedział, zamruczał tylko coś niezrozumiale i zapadł w gorączkowy sen, w którym widział na przemian to Sturlursona, sypiącego jakieś domieszki do medykamentów Li Cheu, jakby chciał wszystkich otruć, to Fryggvassona, z którym o tym rozmawia, to wreszcie Bytewską, wydającą mu rozkazy i udzielającą rad, których nie rozumiał.



WOJNA DEMONÓW

Następnego dnia obudził się dopiero po południu. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie ma gorączki i czuje się jak nowo narodzony.

Li Cheu przypatrywał mu się ze spokojem, Fryggvasson mówił

coś grupie, którą miał pod rozkazami. Oprócz tego obóz był pusty.

Może jego sny nie były aż tak pozbawione sensu.

- Skoro się już obudziłeś, zamelduj się u Sturlursona i Isi-woto. McCathail już u niego jest - powiedział Fryggvasson.

- Jednego dnia człowieka prawie wypatroszą, a drugiego dołożą kupę roboty - zamruczał niby naburmuszony Kovař.

W rzeczywistości cieszył się, że wszystko jest w porządku.

- Pod opatrunek nie zagłądaj - polecił mu Li Cheu.

Kovař spojrział na Chińczyka podejrzliwie i zamachał ręką. Nie poczuł w niej żadnego bólu. Mógłby się założyć, że po zdjęciu opatrunku ukazałaby się doskonale wygojona rana.

Czy to mógł być wpływ enzymowania skóry, jakie przeszedł przed misją? Wątpił w to.

- Stara medycyna chińska i trochę czarów - wyjaśnił Li Cheu bez mrugnięcia okiem.

Kovař kiwnął głową.

- Darowanemu koniowi nie zaglądamy do pyska - zaśmiał się i zaczął nakładać zbroję, którą z niego wczoraj pracownicy ściągnęli. Ktoś zdążył nawet prowizorycznie naprawić przeciętą pochwę jego miecza.

Starannie sprawdził stan ostrza. Na znakomitej stali damasceńskiej znalazł po wczorajszej walce tylko dwa niewielkie uszczerbki, ale nie było czasu na ich przeszlifowanie.

Włożył hełm, ujął tarczę i poszedł do jarła. Uświadomił sobie, że nie traktuje już tych przedmiotów jak obcych artefaktów. Stały się jego własnością, częścią jego świata, tak jak połączenia satelitarne, karabin szturmowy czy koncentrat energetyzujący.

* * *

Isi-woto na czele najlepszych wojowników, wszyscy w chińskich zbrojach, z kamiennymi toporami lub podarowanymi szablami, tworzyli wraz z wikingami podwójny rząd zbrojnych ustawiony przed domami osady. Mieszkańcy ewakuowali się właśnie do twierdzy. Kierowała tym Morgan. Decydowała, kto odejdzie pierwszy, co wolno komu ze sobą zabrać, dyrygowała wzmocnieniem umocnień i składów żywności. Z Kovařem wymieniła tylko zdawkowe pozdrowienie. Szedł pod prąd ewakuowanych, aż dotarł do wodzów.

- Z meldunku zwiadowców wynika, że zbliża się pierwsza fala nieprzyjaciół - oznajmił

mu Sturlurson. - A to są uciekinierzy, których udało się ostrzec. Kiedy wszyscy będą już w środku, my też się tam wycofamy.

Kovař rozumiał, że ostrokół zapewnia dużą przewagę. W chwili gdy domy za ich plecami opustoszały, a wodzowie dali rozkaz cofnięcia się o kilkadziesiąt metrów, aby skrócić linię obronną, z lasu wynurzyli się pierwsi wrogowie.

Z pozoru wyglądali jak zwyczajni Indianie, ale w ich sposobie poruszania się było coś zwierzęcego, płynne ruchy, przerywane krótkimi chwilami znieruchomienia. Mieli broń, w większości kamienne pałki, niektórzy coś w rodzaju morgensterna, czy wreszcie zwyczajne kije. Ich częściowo przypadkowy marsz uległ zmianie, gdy spostrzegli obrońców. Ruszyli prosto na przeciwników, jakby im nagle przybyło inteligencji i zdecydowania.

Gdy zbliżyli się na dwadzieścia kroków, przed pierwszą linię wystąpili łucznicy.

Świsnęły strzały i fala atakujących upadła na ziemię. Jedyne, który utrzymał się na nogach, bez strachu szedł dalej przeciw szeregowi zbrojnych. Po trzech krokach upadł z dziesięcioma strzałami w piersi.

- Łatwa robota - mruknął któryś. - Tylko pocisków szkoda.

Isi-woto wykrzyczał kilka zdań w kierunku łuczników. Muskularni Indianie podbiegli do zabitych i z zachowaniem ostrożności, często zerkając w kierunku lasu, wyciągnęli ze zwłok swoje strzały.

Kolejni napastnicy pojawili się wkrótce, a gdy nadciągnęła trzecia fala, padli pierwsi wikingowie i Indianie.

Na Tairgila, dobrodusznego Norda z niezwykle gęstą brodą, z której był bardzo dumny, rzucili się dwaj napastnicy jednocześnie. Jeden cios odbił tarczą, drugi mieczem, którym w okamgnieniu przerąbał przeciwnikowi rękę trzymającą broń. Odwrócił się ku drugiemu wrogowi i upadł z kamiennym ostrzem w żebrach. Grot wszedł poprzez kolczugę głęboko w ciało. Na leżącego wikinga runęło ciało martwego napastnika.

Przed zachodem słońca nadciągnęli inni. Wystarczył jeden rzut oka, żeby pojąć, że mają już niewiele wspólnego z ludźmi. Nie nosili broni, a ich ciała były zdeformowane i pokurczone. Nie wyglądali jak kaleki, ale jak pół ludzie, pół górskie pumy, pół ludzie, pół

niedźwiedzie, pół ludzie, pół ogromne owady.

Isi-woto i Sturlurson porozumieli się wzrokiem.

- Wycofujemy się za barykadę! - zawołali obaj równocześnie, pozostawiając oddział

najlepszych wojowników jako straż tylną.

Obrońcy stanęli ramię przy ramieniu i uważnie obserwowali zbliżające się nieludzkie stwory. Nagle jeden z nich zaatakował Sigfussona. Ogromny Gotlandczyk zwinnie ciął

mieczem i zasłonił się tarczą. Napastnik, przypominający potwornych rozmiarów chrząszcza, uniknął ciosu ruchem przeczącym ludzkiej anatomii, uderzył prawą łapą, przebijając tarczę, jakby była z kory. Sigfusson nie zawahał się, uniósł tarczę z utkwioną w niej łapą, podnosząc stwora do pionu, i mocnym cięciem przerąbał mu korpus. Jak na komendę zaatakowały wszystkie pozostałe potwory; ostrożne wyczekiwanie zmieniło się w masakrę.

Przed Kovařem pojawił się stwór mający w sobie coś z niedźwiedzia. Jego głowa przypominała pysk z żółtymi kłami, ręce miał potężne i zwalisty korpus. Kovař uskoczył, ciął, uderzenie łapy odrzuciło jego tarczę, on jednak bez wahania pchnął z całej siły. Potwór zachwiał się, JFK nie starał się wyrwać broni z rany, tylko obiema nogami kopnął mutantą w mordę. Stwór powoli, jakby niechętnie przewrócił się na plecy. Kovař rzucił się na niego i rozciął mu szyję scramasaksem.

- Wycofujemy się za palisadę! Słyszycie? - ryczał ktoś.

Wojownicy, przestraszeni i dezorientowani atakiem nieludzkich napastników, zaczęli ulegać panice, wycofywanie się zaczynało się zamieniać w ucieczkę.

Przygotujcie się do zatarasowania wejścia.

To nie był rozkaz wydany słowami, ale przekaz mentalny przenikający do mózgu poprzez wrzawę bitewną. Stary szaman stał na palisadzie i obserwował narastający chaos.

Z lasu wynurzył się nowy zastęp napastników. Gdzieś za nimi Kovař spostrzegł

ciemne plamy istot naznaczonych czarami i biotechnologią, ciągnących ku twierdzy, równocześnie widział, że wejścia za palisadę bronią tylko dwaj wojownicy, Sturlurson i Isi-woto. Inni starali się jak najszybciej przesunąć ruchomą część ostrokołu, służącą jako brama.

Masa ciemnych plam ruszyła ku najslabszemu miejscu obrony niczym klin uderzeniowy.

Kovař krzyknął ostrzegawczo, prawie mimochodem zmiotł napastnika, który stał mu na drodze, i popędził na pomoc. Dobiegł równocześnie z McCathaiem, każdy z innej strony.

Nim klin zdążył przewalić się przez obu wodzów, rozbili go w samobójczym ataku. Kovař siekł, bódł, bił tarczą, nieczuły na ciosy, zadraśnięcia łapami o pazurach ostrzejszych niż miecz. Wiedział, że za wszelką cenę musi zatrzymać potwory.

Gdy wrócił mu oddech i siły, stwierdził, że siedzi na ziemi, a ludzie zamykają przejście w ostrokole. Cały pokryty był krwią, wnętrznościami, a po kilku uderzeniach w głowę miał pod czaszką istną karuzelę.

Widzisz, teraz twoje myśli są o wiele dostępnejsze - zarejestrował sarkastyczną uwagę szamana.

Przed oczami zobaczył błysk i dojrzał Ljubę Bytewską. Mglistą sylwetkę, nie był

zdolny rozróżnić żadnych szczegółów. Pod jej wizerunkiem rozpoznał mapę okolicy wypełnioną czarnymi kropkami oznaczającymi wrogów. Wszyscy kierowali się ku twierdzy.

Kovař miał uczucie, jakby ktoś wsadził mu mózg pod prasę i w jednej chwili wycisnął

z niego wszystkie informacje.

- Przykro mi, John, nie ma czasu, musimy użyć brutalniejszych metod komunikacji -

usłyszał szorstki, a równocześnie pełen żalu głos szefowej. - Ponieważ odkrył pan i zlikwidował nieprzyjacielskiego agenta, straciłam dowództwo w tej operacji. Przechodzi ono do Wydziału Militarneho. Spróbuję dotrzeć do was na czas, ale za bardzo na tym nie polegajcie. Być może zostanie im tylko posprzątać i wykopać groby. Niech pan nie zapomina, że każde zadraśnięcie może być źródłem zarazy, a jeśli już pana dosięgnie, to nie pomoże nic, nawet woda święcona. Dałabym panu ostatni litr z tego, który tu mamy. Jeszcze pytanie, nim się rozłączymy: Jak pan myśli, dlaczego zmutowani Indianie kierują się właśnie do pana?

Życzę szczęścia...

Kovař wyszedł z transu i spojrzał na swoje przedramiona i ręce pokryte niezliczonymi szramami i płytkimi ranami. Jeśli to była zaraza, możliwe, że już nie musiał się o nic martwić.

Wydział Militaryny agencji? Kim oni naprawdę byli? I co mogła znaczyć ostatnia uwaga Bytewskiej?

- Nie zapomnijcie o Johnie - usłyszał głos Fryggvassona.

Kovař poczuł, jak łapie go kilka rąk, obcesowo zdziera z niego ubranie, a Fryggvasson naciera od stóp do głów kleistą maścią.

- Przepis naszego chińskiego przyjaciela - zaśmiał się jeszcze i ruszył ku kolejnemu wojownikowi, którego tymczasem skończyli rozbierać jego pomocnicy, wybrani spośród najsilniejszych wikingów.

JFK nie miał dość sił, aby skomentować zadziwiającą troskliwość Fryggvassona, i zamiast tego zaczął się ubierać. Kolejny atak mógł nadejść w każdej chwili. Nagle, było to tylko wrażenie, niczym echo źle nastrojonego kanału, usłyszał słaby i niewyraźnie brzmiący głos kogoś, kogo nie znał:

Zmiana priorytetów. Nieważne, czy dojdzie do utrzymania właściwego kierunku rozwoju we wszechświecie równoległym. Za wszelką cenę musimy zlikwidować ognisko zarazy. Straty sięgające tysiąca ludzi i dziesiątek lat są stratami dopuszczalnymi.

Ta informacja na pewno nie była przeznaczona dla niego i nie wiedział, czy przekaz zawdzięcza Bytewskiej, czy na cztery nogi kutemu szamanowi. Nie miał jednak czasu o tym rozmyślać, bo od strony palisady dobiegł ostrzegawczy krzyk.

Horda potworów wspinała się po ostrokole z niezwykłą zręcznością. Te, które nie miały wystarczająco ostrych pazurów, żeby utrzymać się na pionowych palach, posługiwały się zrąbanymi drzewkami, stanowiącymi dla nich drabinki szturmowe.

Kovař nie przyglądał się wojownikom walczącym na podestach, ale rezerwowym szeregom stojącym na ziemi. Musiał odpocząć. Obrońcy ryczeli, umierali i spadali z palisady przeważnie w objęcia stworów słabo tylko przypominających ludzi. Były to raczej maszyny bojowe wyposażone w pazury, tasaki oraz nieprawdopodobną szybkość i wytrzymałość.

Urządzenia do zabijania. Wszystko jedno, czy powołane do życia biotechnologią, czy też jakimś nienaturalnym prastarym czarem.

Jest ich wielu, ciągną ze wszystkich stron - usłyszał starego szamana.

Po sarkazmie nie został najmniejszy ślad, wzmogło się natomiast zmęczenie. Kovař zrozumiał, że szaman jakimś sposobem walczy z wciąż nadciągającym wrogiem. *Jak ćmy do światła.* Walka trwała, przybywało zabitych.

* * *

Gdy księżyc stanął w zenicie, pojawili się pierwsi skoczki. Potwory z nadmiernie rozrośniętymi tylnymi łapami, szcątkowymi przednimi i długim pyskiem pełnym ostrych, trójkątnych zębów. Pierwszy spadł tylko kilka metrów od McCathaila. Wiking zatańczył, jego dwa topory mignęły w krótkich półkolach, bestia jednak wywinęła się i złapała Irlandczyka za ramiona. Uścisk rozluźnił się, gdy tylko Kovař odciął jej głowę.

McCathail wykrzywił twarz w grymasie oznaczającym uznanie i ruszył naprzeciw innemu skoczkowi. Bój trwał na podestach i na ziemi. Kovař już dawno stracił tarczę, walczył

mieczem i scramasaksem. Razem z Irlandczykiem wypracowali doskonałą, chociaż prawie samobójczą taktykę. Jeśli nie udało się zabić stwora cięciem lub pchnięciem miecza, jeden z nich wykonywał atak ciałem jak taranem, aby powalić potwora na ziemię. Drugi natychmiast dobijał leżącego. Kolczugi, przeszywanice, szczęście i zwinność chroniły ich jak dotąd przed fatalnym w skutkach zranieniem. Drobnych ran już od dawna nie liczyli.

Po skoczkach pojawiły się superskoczki. Nie próbowały przeskakiwać barier, ale przebijały się jak pociski przez na stopę grube pale, z których zbudowano ogrodzenie.

Przybywało zabitych, każdy taki potwór mordował przynajmniej jednego człowieka. Krzyki bojowe, jęki umierających mieszały się z trzaskiem drewna ustępującego pod uderzeniami żywych pocisków.

- Cofamy się za barykady! - krzyczeli Sturlurson i Isi-woto.

Kovař nie sądził, że istnieją jakieś barykady. Stworzenie wewnętrznego kręgu obrony było chyba zadaniem Morgan. Kuśtykał w tylnej linii, gdy spostrzegł trzy superskoczki, które przebiwszy się przez ostrokół, barykadę z drewna i płonących ognisk, wylądowały pomiędzy grupką kobiet donoszących drewno i ewakuujących rannych. Machnięcie łapą i jedna z nich zmieniła się w krwawą masę.

- Nieee! - zawył McCathail i prawie tak sprawnie jak potwory przeskoczywszy barykadę, wpadł pomiędzy monstra.

Z toporami w rękach, szybki niczym błyskawica, nie bojąc się śmierci, chciał tylko zabijać wrogów, obojętny na swój los. Wszyscy na krótko skupili wzrok na ludzkim demonie i natychmiast ruszyli mu z pomocą. Kolejny atak został odparty.

Ich jest dużo, za dużo, zginiemy tu wszyscy - Kovař usłyszał szamana. W jego głosie nie było defetyzmu, tylko stwierdzenie faktu.

Jak ćmy do światła, brzmiało Kovařowi w głosie. Dlaczego wszyscy ciągną do twierdzy? Nagle przypomniał sobie słowa Bytewskiej.

To było nagłe olśnienie.

- Gdzie jest trup Loseta? - krzyknął. - Albo jego rzeczy?

Li Cheu trochę niepewnie wskazał jeden z domów.

- Przeniosłem go tam. Chciałem dokładnie zbadać, czy nie ma w nim czegoś szczególnego.

Kovař nie słuchał. Rzucił się na ciało Loseta, błyskawicznie zdarł z niego ubranie, ale żadnego medalionu ani kamienia nie znalazł. Zaczął przetrząsać jego rzeczy. Na samym dnie worka znalazł to, czego szukał. Zawinięty w niepozorny, wytłuszczony łachman zielonkawy kawał przezroczystej masy

przypominającej szkło, z prawie czarnym wielościanem wewnątrz.

Na każdej jego powierzchni znajdował się emblemat zagrożenia biologicznego. Na jednej ze ścianek zauważył czynny wyświetlacz cyfrowy, wskaźnik podający czas, jaki upłynął od momentu aktywowania artefaktu. Nie miał pojęcia, jak go wyłączyć.

Kovařowi było wszystko jedno, co o jego poczynaniach pomyślą inni. Podniósł

przedmiot do góry, pozwolił, aby wszyscy go zobaczyli i zwięźle oznajmił:

- Właśnie ten przeklęty klejnot przywabia tu bestie. Musimy się go pozbyć i będziemy uratowani.



- Może zrzucić go po stoku na dół? - podpowiedział ktoś z wahaniem.

- Nie, to nie wystarczy - stwierdził nagle Sturlurson z zaskakującą pewnością w głosie.

- Musi być daleko, całe mile stąd. Ja go odniosę.

- Sam? - zapytał pogardliwie McCathail. - Musi nas być przynajmniej dwóch, żebyśmy dali radę tym stworom na zewnątrz.

Isi-woto pytająco spojrział na szamana, który kiwnął głową.

Wódz wskazał na siebie, nie dodając żadnego komentarza.

To było sprytne, prawie mądre, człowieku z innego świata - Kovař znowu usłyszał w głowie głos szamana.

- Myślicie, że pozwolę wam zlizać śmietankę? - powiedział spokojnie. - Beze mnie zabłądźcie.

Ktoś się zaśmiał.

A to znowu było głupie. Ale waleczne. Mężczyźni, jak ty, tacy już są.

* * *

Czekali pod barykadą, aż noc ściemnieje i będą mogli wyruszyć w drogę. Isi-woto dokładnie wyjaśnił im, gdzie wzdłuż nurtu rzeki ukryte są kanoe. Ten, który doniesie przekłety kamień aż do tego miejsca, będzie mógł z nim odpłynąć. Trzydziestu ludzi w kolczugach, kościanych zbrojach wzmocnionych prętami i skórą. Trzydziestu wojowników.

- To jak w starej legendzie - mruknął Sigfusson.

- No, ja to nazywam bohaterską śmiercią - zgodził się ktoś.

- Ale kto o nas zaśpiewa, jeśli wszyscy zginiemy?

- Nie ręczę, że to będę ja, naprawdę nie - chmurnie pokręcił głową Bjorkedal.

- Kobiety o was zaśpiewają. Wszystkie Indianki, jakie żyją na tej ziemi - odparła Marylin Morgan.

Nie szła z nimi, miała kierować obroną twierdzy w przypadku niepowodzenia misji.

Isi-woto dał znak do wypadu. W przygasającym świetle gwiazd spostrzegli gromadzących się wrogów.

Puścili się biegiem, bez okrzyków i śpiewów. Oszczędzali oddech, siły, swoją krew.

- Rzucić oszczepy!

Zyskali kilka metrów.

- Strzały!

Kilkadziesiąt metrów.

- Już są blisko!

Chińskie kusze samopowtarzalne zatrzeszczały, bełt za bełtem wbijał się w ciała przeciwników. Nie zabijały ich, nie zatrzymywały, spowalniały tylko, ale lepsze to niż nic.

W końcu nadszedł czas walki w bezpośrednim kontakcie.

Pierwsi ranni, pierwsze jęki, pierwsi zabici. Posuwali się naprzód niczym opancerzony stalą żółw. Ciasno przy sobie, ramię przy ramieniu. Kovař dyszał, ciął, krył się za tarczą, ale nie ustępował. Nikt nie ustępował. Jeden krył drugiego, jeden umierał za drugiego. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Już widzieli rzekę. Krwawili jak zwierzę o trzydziestu żywotach, znikających na podobieństwo śniegu w pierwszym wiosennym deszczu.

Kovař stracił miecz, lecz nie przeszkadzało mu to, ponieważ właściwie nie mógł używać poranionej prawicy i bronił się już tylko bojowym scramasaksem.

Nagle natrafili na coś dużego i bardzo dzikiego. Trzech ludzi padło równocześnie, słyszeli, jak krew tryskała z rozszarpanych tętnic. Sturlurson wysunął się do przodu. Świst ostrza, ryk, odgłos rozcinanego mięsa, przerąbywanych kości, zgrzyt żelaza. Szli dalej.

Pośrodku formacji potykający się, poraniony Sturlurson. Kolejne sto metrów, kolejnych pięciu zabitych. Jarl upadł. Wyciągnął ku Kovařowi rękę z przeklętym klejnotem. Kovař wziął go i w tym momencie dostrzegł na szyi Sturlursona medalion agenta, taki sam, jaki miał

Loset. Na pytania i zaskoczenie nie było czasu. Ruszył na dół ku rzece i czółnom.

Znów atak, znów zabici. Kovař już nie walczył. Nie miał ani sił, ani broni. Tylko niósł

kamień. Krok, drugi krok, padające ciała. Kanoe ześlizgujące się na wodę. McCathail stawiający czoła zbliżającej się bestii. Kovař padający na kolana w wodę po pierś. Ostatnim wysiłkiem podniósł kamień, aby mógł go wziąć ktoś, komu zostały jakieś rezerwy sił, komu jeszcze w żyłach płynęła gorąca krew. Chwiejący się Sturlurson znalazł się obok niego jak zjawą. Jarl z czaszką i twarzą pełną głębokich ran przejął kamień, wgramolił się do łodzi i z triumfalną miną odbił od brzegu.

Wtem dwa monstra rzuciły się do kanoe. Wielki wiking skoczył na bliższego i ściągnął

go do wody. Kovař rzucił się na drugiego, poderżnął mu gardło, przewracając się przy tym.

Ciężar zbroi pociągnął go na dno. Ostatnie, co zobaczył spod powierzchni wody, to błysk toporów

McCathaila, stojącego nad nim wraz z Sigfussonem i Isi-woto.

Potem nadszedł dzień, a wraz z nim przybyli ludzie w maskujących mundurach, z bronią palną. Kovař patrzył na nich jak na widma, anioły śmierci odnoszące wojowników do Walhalli. Obojętnie przechodzili między zabitymi i umierającymi, z ciekawością oglądali zabite bestie.

- To nasz człowiek, doktorze - powiedział ktoś, wskazując Kovařa. - Niech pan go doprowadzi do porządku.

Pomiędzy mundurowymi przedzierał się zachmurzony muskularny mężczyzna o wyglądzie Meksykanina. Wrażenie to potęgowały dwie skrzyżowane na piersi taśmy z nabojami. Na pasie niósł karabin automatyczny, a za nim miał zatknięty miecz. W

odróżnieniu od pozostałych nie miał munduru, ale złachane spodnie i koszulę nieokreślonego koloru. Z nikim nie rozmawiał, uważnie badał ślady, a wszyscy schodzili mu z drogi. Kovař miał wrażenie, że go zna. Może to jego osobisty anioł śmierci?

- Te chłopcy kryły jeden drugiego aż do końca - powiedział wreszcie Meksykanin do dowodzącego oficera.

- Na to wygląda - zgodził się wojskowy.

- Uratujcie wszystkich, których możecie, zasłużyli na to - ciągnął Vega spokojnie. - Z

naszymi możliwościami przeżyje ośmiu na dziesięciu.

- Pan zwariował! Czy pan wie, ile kosztuje użycie oddziału medycznego wyższego stopnia w tym świecie? Nie mogę wziąć za to odpowiedzialności, poza tym to wbrew przepisom! Pan jest tu tylko obserwatorem!

Vega wzruszył ramionami, nonszalancko sięgnął do pasa i wymierzył w oficera z karabinu. Nikt tego nie zauważył.

- Po prostu da pan rozkaz. Albo nie da, to zależy tylko od pana.

Żołnierz przełknął z wysiłkiem ślinę, popatrzył Vedze w oczy i to, co z nich wyczytał, przekonało go.

- Doktorze! Musimy uratować wszystkich, których się da! - zawołał.

Kovař uśmiechnął się. Stary, dobry Vega.



EPILOG

Ljuba Bytewska zaczekała, aż John Francis Kovař usiądzie, wyjęła z sekretarzyka dwa baniaste kieliszki i naląła do nich po szczodrej porcji trunku z rżniętej karafki.

- Armaniak, ten najlepszy. - Uśmiechnęła się. - Pana zdrowie, John.

Kovař w zadumie podniósł kieliszek i spojrzał na niego pod światło.

- I tych, którzy są w Walhalli - uzupełnił toast, a potem łyknął ze smakiem. - Dwóch rzeczy nie rozumiem. Dlaczego nasz oddział stracił kierownictwo operacji?

Bytewska zachmurzyła się.

- W momencie, w którym Loset użył broni biologiczno-magicznej trzeciego stopnia, zrobiła się z tego sprawa wojskowa, i to strategiczna. Priorytety Wydziału Militarynego różnią się od naszych. Nie cieszy mnie to, ale oni muszą wdawać się w takie obrzydliwe rzeczy, że nie ma na to rady. Szczęśliwym dla nich trafem oszczędził im pan mnóstwa roboty. Loset ze strachu przed Sturlursonem uruchomił swój czar w niewłaściwym czasie i epidemia nie zdążyła rozszerzyć się dostatecznie. Praktycznie wszyscy zarażeni zgromadzili się wokół

twierdzy, a potem posuwali się brzegiem w ślad za kanoe.

Kovař kiwnął głową, starając się dopasować informację do swoich doświadczeń.

- A ta druga sprawa? - Bytewska po chwili przerwała milczenie.

Aromat armaniaku wytwarzał przyjacielską, relaksującą atmosferę.

- Co się stało ze Sturlursonem? Był drugim agentem, a przecież cały czas pracował przeciw interesom tych, którzy go wysłali do tego świata.

Bytewska przytaknęła.

- To niebezpieczeństwo czyhające na każdego rezydenta. Jeśli przebywa gdzieś bardzo długo, staje

się zdolny pokochać ten świat, stać się tym, którego rolę odgrywa. A rezydentem może zostać tylko ten, który ma do tego największe uzdolnienia. Sturlurson był tam od dwudziestu lat. Dawno przestał być agentem naszych nieprzyjaciół, stał się jarlem wikingów.

Człowiekiem, który chciał odkryć nowy świat i podarować go swoim potomkom. Sadzę, że dawno zniknął swoim mocodawcom z pola widzenia, a oni nie wiedzieli, że przeciw nim stoi ich własny człowiek. A może grał na obie strony? Nie wiem. - Wzruszyła ramionami.

- Co się z nim stało?

Bytewska uśmiechnęła się.

- Po tym jak Vega zagrał z wojakami w rosyjską ruletkę, nie idą nam za bardzo na rękę. Ale myślę, że dołączyli go do pozostałych. Chcieli, żeby im przekazywał informacje.

Teraz Sturlurson jest w domu, w tamtym świecie, i będzie pracował tylko dla siebie. Dla swoich ludzi. Mam na myśli Indian i wikingów.

Oddalając się od gabinetu szefowej, Kovař spotkał na korytarzu wysoką, atletycznie zbudowaną kobietę. Była krótko ostrzyżona i kogoś mu przypominała. Morgan, jakby młodsze wydanie Marylin Morgan.

- Madame? - zagadnął ją.

- John, cieszę się, że cię widzę! - Poznała go momentalnie i ucałowała serdecznie. - W

górach bardzo mi pomogłeś, cieszę się na pogawędkę i powspominanie starych czasów. Ale teraz wybacz, nasz profesor nie będzie wiecznie trzymał dla mnie otwartego okna transferowego. Bądź zdrow.

Ścisnęła mu ramię i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sekcji technicznej.

Kovař nic nie rozumiał. Stał na korytarzu, dopóki nie wytrąciło go z zadumy rozbawione kasznięcie. Poznał komtesę de Villefort.

- Agencja dysponuje środkami, o których uczonym z twojego czasu nawet się jeszcze nie śni. Dzięki nim my, agenci, nigdy nie umieramy z powodu podeszłego wieku. Ponieważ w różnych światach czas płynie z różną szybkością, na pewno miałeś z naszą Marylin jakieś inne wspólne zadanie. Chociaż jeszcze o tym nie wiesz. Powiedziałabym, że się przy tym, nazwijmy to, zaprzyjaźniliście. - Uśmiechnęła się łobuzersko.

Kovař wzruszył ramionami.

- Niestety, nic o tym nie wiem. W ostatnim czasie praktycznie nie doświadczyłem towarzystwa pięknych kobiet. Może wpadniemy na szklaneczkę? - Spojrzał na komtesę pytająco.

- Nie powinieneś właśnie odbywać kolejnej części kuracji regenerującej skórę?

Bytewska ostrzegęła wszystkich, że mają ci zapewnić spokój. - De Villefort wyglądała teraz niczym wcielenie niewinności.

- Myślę, że twoje towarzystwo będzie dla mnie lepszym lekarstwem niż cokolwiek, co mają nasi doktorzy - Kovař uciął jej pokpiwanie.

- Między tymi Indianami nauczyłeś się prawie komplementy. - Uśmiechnęła się tak szeroko, aż jej ekstrawaganckie kolczyki rozbłysły, odbijając się tysiącem iskier w zmrużonych oczach.

- Szampan? - zaproponował Kovař. - Taittinger?

- Tylko najlepszy jest dla nas wystarczająco dobry - przytaknęła i wzięła Kovařa pod rękę.